Witold Karpyz. a

ZIEMIA WOŁKOWYSKA

Na okładce rysunek Witolda Karpyzy
Dwór w Namejkach

Tekst opatrzono grafikami Witolda Karpyzy

© Przemysław Mikusiński

Wydano nakładem
Przemysława Mikusińskiego

Do druku przygotowała
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku

ISBN 83-918-379-4-7

Spis treści

Słowo o autorze . . . 5
Ziemia wołkowyska . . . 7
Brzostowica Wielka . . . 9
Hornostajewicze . . . 15
Indura . . . 21
Izabelin . . . 26
Krzemienicą . . . 32
Łunna . . . 39
Łysków . . . 45
Moczulna . . . 54
Mogilowce . . . 58
Mścibów . . . 60
Nowy Dwór . . . 65
Podorosk . . . 70
Porozów . . . 75
Repla i jej kościół . . . 81
Rohoźnica . . . 87
Roś . . . 92
Pomnik Traugutta w Świsłoczy . . . 98
Wincenty Tyszkiewicz i jego testament . . . 105
Kościół w Szydłowicach . . . 111
Teolin . . . 114
Werejki . . . 119
Wołpa . . . 122
Zelwa . . . 127
Zancewicze . . . 134

Witold Karpyza - słowo o autorze

Urodził się w Zieniowcach gmina Szydłowiec w powiecie wołkowyskim 20 sierpnia 1913 r. Ojciec Piotr Karpyza był zawodowym oficerem armii carskiej, matka Bronisława Roszczewska pochodziła z rodziny szlacheckiej.

W 1930 r. ukończył szkołę powszechną a następnie uczęszczał do Seminarium Nauczycielskiego w Swisłoczy a później w Grodnie. W 1936 r. otrzymał dyplom nauczyciela szkół powszechnych i rozpoczął praktykę w szkole w Rosi. W trakcie pracy w szkole związał się z harcerstwem, któremu był wierny do końca swej zawodowej kariery. W międzyczasie studiował przez dwa lata w Trzyletnim Korespondencyjnym Ognisku Wakacyjnym w Krzemieńcu na Wołyniu o kierunku malarskim.

Po wkroczeniu Niemców na Kresy wstąpił do Armii Krajowej. W stopniu kaprala ukończył korespondencyjną szkołę podchorążych i otrzymał awans na komendanta placówki w Rosi a później w Werejkach. W 1944 r. został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i otrzymał stopień podporucznika.

Po wojnie w październiku 1945 r. przyjechał wraz z matką (ojciec zmarł w 1930 r.) i stryjeczną siostrą Ireną Roszczewska do Gorzowa. Uczył rysunku w Miejskim Gimnazjum i Liceum uzupełniając etat godzinami matematyki. Od 1950 r. pracował w Liceum Pedagogicznym jako nauczyciel matematyki. W międzyczasie ukończył pięciomiesięczny kurs dla nauczycieli matematyki w szkołach średnich i kontynuował zaocznie naukę w Wyższej Szkole Pedagogicznej uzyskując dyplom nauczyciela matematyki. Po likwidacji Liceum Pedagogicznego w 1970 r. przeniósł się do Liceum Gastronomicznego.

W 1973 r. po 37 latach pracy pedagogicznej odszedł na emeryturę. Uhonorowany został wysokimi odznaczeniami, m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Awansowany do stopnia kapitana. Działając w harcerstwie osiągnął stopień harcmistrza i został również odznaczony Złotym Harcerskim Krzyżem Zasługi. Napisał też 9 gawęd harcerskich wydanych przez Komendę Chorągwi w ilustrowanej książeczce „Gawędy przy ognisku".

Jedną z pasji Witolda Karpyzy były krajoznawstwo i turystyka. W 1948 r. zorganizował w Gorzowie Wielkopolskim PTTK i został jego pierwszym prezesem. Zwiedził prawie każdy zakątek Polski i prawie całą Europę oraz Egipt. Przez rok był kierownikiem i dziennikarzem Oddziału Wrocławskiego „Słowa Polskiego" w Gorzowie. Uczestniczył także aktywnie w życiu Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Pasjonowała go też historia. Był współzałożycielem i członkiem Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego w Gorzowie. Czas wolny od pracy poświęcał poszukiwaniu dokumentów historycznych związanych z Kresami Wschodnimi. Rysował i opracowywał artykuły, które były drukowane w pismach krajowych i zagranicznych. Rysunki i artykuły Witolda Karpyzy dokumentują historię ziemi wołkowyskiej. W powiecie znajdowały się kiedyś liczne dwory, pałace, zaścianki, zabytkowe kościółki itp., po których pozostały dziś już tylko grafiki Witolda Karpyzy a opisywana przez niego historia licznych miejscowości

powiatu oddaje barwę i urok minionych czasów. Opracowania, pisane z wielką znajomością tematu, oparte są na bogatym materiale źródłowym oraz są bogato ilustrowane rysunkami autora.

Obecnie, od października 2001 r. przebywa w Domu Opieki Społecznej w Gorzowie. Mimo wieku i choroby jest nadal aktywny. Pisze oraz rysuje a ostatnio nauczył się pisać na komputerze co w wieku 92 lat jest niezwykłe.

Niniejsza publikacja jest zbiorem artykułów Witolda Karpyzy, które ukazywały się drukiem w latach dziewięćdziesiątych w pismach kresowych. Dzieje poszczególnych miejscowości opisano ze znawstwem, pasją i miłością do ziemi wołkowyskiej. Z kart tej książki można uczyć się historii i patriotyzmu a opisy w niej zawarte mogą zastąpić przewodnik po Kresach Wschodnich.

Zapraszam więc do lektury i odwiedzenia pełnej uroku ziemi wołkowyskiej, tak ściśle związanej z historią naszego kraju.

Przemysław Mikusiński

Ziemia wołkowyska

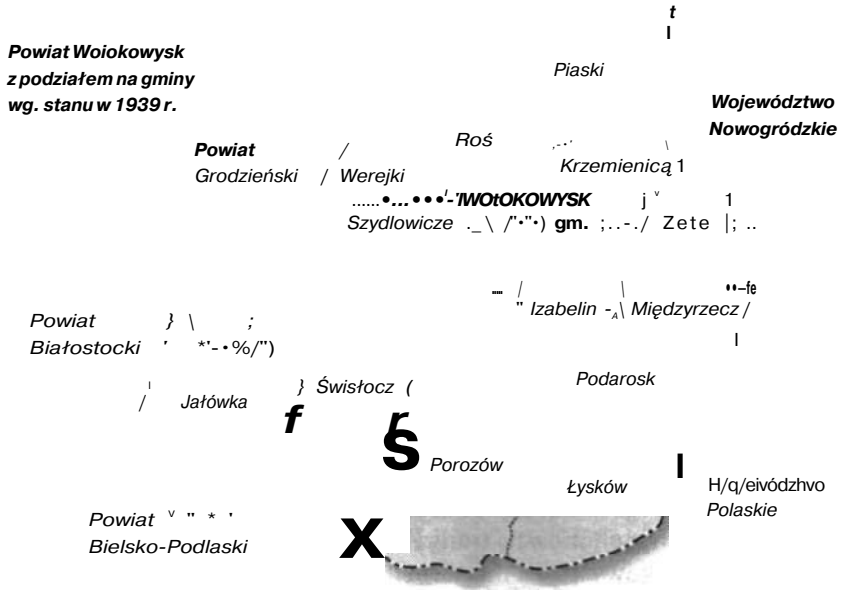

Ziemia wołkowyska ma długą i ciekawą historię. Jej położenie na pograniczu Litwy i Rusi Halickiej powodowało częste walki o te tereny. Często więc władali nią książęta litewscy lub ruscy. Dopiero od 1258 r. po kilkuletniej wojnie pozostaje przy Litwie. W ciągu wieków nawałnice wojenne powodują poważne zniszczenia. W XIII w. pustoszyli ją Tatarzy i Mongołowie w XIV Krzyżacy, w XVII Szwedzi a w XVIII w. i później Rosjanie i Niemcy. Obie wojny światowe też jej nie ominęły i nie oszczędziły a szczególnie ostatnia II wojna światowa.

Ziemia wołkowyska w okresie międzywojennym stanowiła powiat złożony z 16 gmin. Był to najdalej wysunięty na wschód powiat w województwie białostockim. Powiat wołkowyski powołano w roku 1507 w ramach województwa nowogródzkiego a w następnych latach przeznaczony został na miasto powiatowe guberni Słonimskiej (1796 r.) później litewskiej a od 1802 r. grodzieńskiej. Zdradziecki pakt Ribbentrop-Mołotow oderwał ją od Macierzy przyłączając do Białorusi co też potwierdziły następne traktaty w Jałcie i Poczdamie.

Stolicą ziemi wołkowyskiej jest Wołkowysk, jedno z najstarszych miast Białorusi. Pierwsze nieoficjalne wzmianki znaleźć można w Kronikach Ipatjewskich w 1005 r. Nazwa miasta związana jest z dwiema legendami. I tak: W okolicach gdzie dziś istnieje miasto niegdyś rozciągały się ogromne puszcze pełne wilków. Mieszkańcy tych stron wymawiając „wołków isk" - co znaczyło poszukiwanie wilków, lub „wołków wisk" - oznaczało wycie wilków i stąd powstała najprawdopodobniej nazwa miasta Wołkowysk. Przepływająca przezeń rzeka nazwana została Wołkowyją. Dlatego to w herbie miasta widzimy głowę wilka lub wilka w całości.

Druga wersja związana z nazwą miasta jest bardziej wiarygodna. Została

zapisana przez parocha wołkowyskiego D. Bułakowskiego w końcu XVI lub na początku XVII w. Rękopis znajdował się w Różanej, w dawnej bibliotece Sapiehów, przełożony na język ruski a w 1881 r. był ogłoszony w Wileńskim Wiestu. Według tego spisanego podania w miejscu, gdzie leży dzisiejszy Wołkowysk ciągnęły się ogromne lasy i wiodły przez nie szlaki podróżnych. W tej puszczy, przez którą przepływała rzeka Nietupa (dziś nie istniejąca) dokonywano napadów na wędrowców. Miały tu swoje kryjówki dwie bandy rozbójników, na czele których stali Wołko i Wisek. Niejaki Zabejko słysząc o tych ciągłych napadach wytropił zbójców i powywieszał ich na drzewach ptakom na pożarcie. Natomiast na miejscu ich kryjówek polecił zbudować kilka chałup, w których osadził niewolników nazwawszy osadę Wołkowisek. Na miejscu kaźni zbójców położono wielki kamień. Według miejscowych przekazów kamień ten potem rozbito i użyto do budowy świątyni.

W 1252 r. oficjalnie wzmiankowano o tym mieście, ale prawa miejskie Wołkowysk otrzymał dopiero w 1503 r. Stąd też Władysław Jagiełło w 1385 r. z nieistniejącego już zamku wyprawił posłów do Krakowa prosząc o rękę Królową Polski, Jadwigę oświadczając, że wraz z całym ludem litewskim przyjmuje wiarę katolicką. Układy ciągnęły się długo a na ich rezultat Jagiełło oczekiwał w tutejszym zamku gdzie przyjmował poselstwo polskie. To właśnie stąd zaczynał się pochód Jagiellonów na trony Polski i Europy.

Dzisiejszy Wołkowysk jest miastem liczącym prawie 50 tys. mieszkańców, gdzie mieszka dużo ludności pochodzenia polskiego. Mimo swej bogatej historii miasto nie posiada żadnych znaczących zabytków historycznych. Przyczyną tego jak pisałem wyżej były liczne wojny, które nie ominęły miasta oraz niszczące pożary. I tak w 1739 r. podczas pożaru spłonęła część miasta, zamek i kościół a podczas II wojny światowej zniszczono całe centrum miasta.

O przeszłości przypomina Dom Bagrationa - dziś muzeum - dworek zbudowany w 1805 r., w którym podczas kampanii napoleońskiej mieścił się sztab II carskiej Armii Zachodniej. Zachowały się dwa kościoły katolickie i cerkiew (w okresie międzywojennym cerkiew pełniła funkcje kościoła garnizonowego stacjonującego w mieście 3 Pułku Strzelców Konnych). Na cmentarzu w centrum miasta niedaleko kościoła farnego p.w. św. Wacława znajduje się wiele zabytkowych grobów coraz bardziej podupadających w ruinę. Obok tego cmentarza jest również cmentarz wojskowy gdzie na głównym pomniku widnieje napis „Bohaterom poległym za Ojczyznę w latach 1918-1920".

Jednak w 2004 r. miasto zmieniło swój wygląd po odbywających się w nim dożynkach centralnych.

Dzisiejszy Wołkowysk to miasto rejonowe w obwodzie grodzieńskim. Położone w dolinie nad rzeka Wołkowyją niedaleko jej ujścia do rzeki Rosi, która zmierza z kolei wprost na północ ku oddalonemu o 25 km Niemnowi. Miasto jest otoczone z trzech stron pagórkami. Bardziej znane wzniesienia to Góra Zamkowa, Góry Mysie i Góra Szwedzka, skąd rozciąga się piękna panorama miasta i okolic.

Przemysław Mikusiński

Brzostowica Wielka

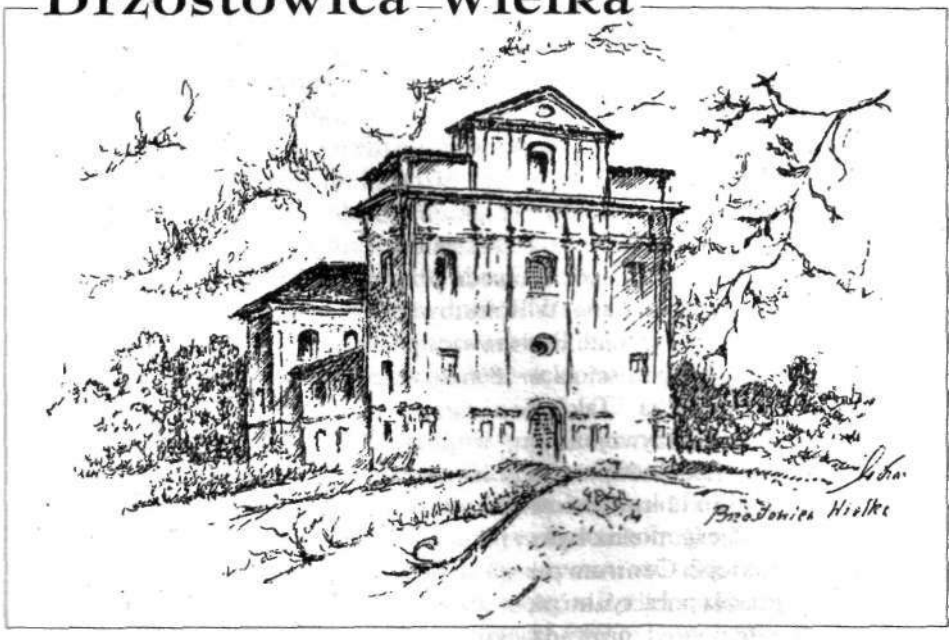

Znany pisarz, Melchior Wańkowicz podróżując po Kresach w 1937 r. opisuje Brzostowicę:

„Błądziliśmy po olbrzymich podziemiach starego kościoła między kośćmi ludzkimi, leżącymi powszędy. W 1863 r. żołdactwo powyrzucało trupy w kontuszach i przez trzy dni uprzątnąć nie pozwalało. W 1864 r. miejscowy proboszcz; Kozłowski, zakochany w córce popa, przeszedł na prawosławie i kościół oddał na cerkiew. Ale na straży archiprezbiterium kościoła stał katolicki Chrystus ze stopami jednym gwoździem przebitymi. Według tradycji prawosławnych każda stopa winna być przybita oddzielnie. W całym powiecie nie można było znaleźć majstra żadnej narodowości, który by się podjął przeróbki. Wreszcie znalazł się starowier, który sobie poradził w ten sposób, że obciął Chrystusowi obie nogi. I tak pozostał w Ołtarzu. Starozakonnemu, przy przebudowie kościoła, spadł na nogi blok kamienny tak złośliwie, że musiano mu je amputować w tym samym miejscu, w którym obciął nogi Chrystusowi. W czasie pierwszej wojny światowej w kościele tym był szpital koński i ludzki. Teraz stoi bezużytecznie, bo parafia jest w drugim kościele, wystawionym przez Józefa Kossakowskiego. W bożnicy fotografuję mizrachi - tablicę rytualną na wschodniej ścianie. Tablica jest umieszczona pod pułapem na ścianie malowanej w cudowne zwierzęta, ale nad skrzydlatymi gryfami, lwami i lewiatanami siedzi spokojnie orzeł dwugłowy. Sędziwe sukiennice drewniane, ciekawy zabytek, patrzą czeluściami krytych, tuneli schodów. Stara karczma z podcieniami jest ta sama, pod którą zatrzymywały i się karoce, jadące do Warszawy. Baciuszka miejscowy w dużej randze, ongiś naczelny kapłan rosyjskiego frontu zachodniego, następnie zwierzchnik duchowny I armii Kołczak, prosi nas na plebanię, która garniruje portrety Kołczaka *wo wsiech*

ordienach".

Sięgnijmy jednak do źródeł bardziej wiarygodnych, jakim jest Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego. Brzostowica, po rosyjsku Bieriestowica, leżała dawniej w parafii Pobojsk przy trakcie handlowym z Grodna do Świsłoczy. W 1878 r. miała 1694 mieszkańców. Kiedyś była tu parafia katolicka z filią w Rudawie. Brzostowica Wielka była własnością Chodkiewiczów z nadania króla Aleksandra. Chodkiewiczówna wniosła Brzostowicę w dom Mniszków. Jerzy Wandalin Mniszech wyrobił dla miasta różne przywileje. Jego córka, Amelia, wniosła Brzostowicę Szczęsnemu Potockiemu a córka Szczęsnego, Józefowi hr. Kossakowskiemu. W 1858 r. cesarz Aleksander II dozwolił Brzostowicę wcielić do Ordynacji Kossakowskich, lecz z powodu przeprowadzania kwestii włościańskiej, formalnie tego nie uregulowano. W Brzostowicy mieszkał czas jakiś wielki książę Konstanty Pawłowicz. Obecnie Brzostowica posiada dwie cerkwie, jedna dawna a druga z przerobionego kościoła w 1866 r., w którym przechowywało się serce Jana Karola Chodkiewicza.[3] Tak było za cara.

W okresie międzywojennym, według Orłowicza, Brzostowica Wielka posiadała 2000 mieszkańców, w tym Polaków 580, Żydów 730, reszta Białorusini. Na dworzec odległy o 11 km kursował autobus (1 zł od osoby) i furmanki (1,50 zł). Hoteli nie było. Zjeść można było i przenocować u Dominiki Chwieśko, przy ulicy Świętojańskiej 2. Centrum miasta stanowił obszerny rynek, gdzie zwracała uwagę, zajmująca całą połać rynku piętrowa kamienica z podcieniami i oryginalnymi schodami drewnianymi, prowadzącymi na piętro od frontu. Nazywali ją „sukiennicami", a według niektórych istniała od czasów Chodkiewiczów, kiedy „była zajazdem". Budynek ten złocony, z budynku centralnego z facjatą i dwóch skrzydeł z nadbudowaniami drewnianymi i rodzajem podsieni, stanowi jedyny niemal w swoim rodzaju, starego, małomiasteczkowego polskiego budownictwa drewnianego. Również przy bocznych ulicach posiadała Brzostowica kilka interesujących dworków drewnianych. Nad rynkiem dominował murowany dawny kościół karmelitów, pod nazwą Nawiedzenia Matki Boskiej, dużych rozmiarów budynek barkowy bez wieży. Kościół ten był fundowany w 1615 r. przez Hieronima Chodkiewicza. Po kasacie klasztoru zamienili go Rosjanie w 1866 r. na cerkiew, przy czym usunięto barokowe urządzenia. W 1920 r. został zwrócony katolikom. W połowie XVIII w. był przebudowany. Był to kościół filialny, w którym nabożeństwo odbywało się rzadko. Jest on stale zamknięty, a klucz jest na plebani. Kościołem parafialnym jest nowy kościół Przemienienia Pańskiego stojący na przedmieściu. Zbudowano go w latach 1910-1912 kosztem hr. Józefa Korwin-Kossakowskiego i jego żony Marii. Jest to budynek neoromański z wieżą. W sąsiedztwie rynku stoi stara synagoga, mniej stylowa niż inne stare synagogi. Ładny widok na miasto, gdzie znajdują się cmentarze katolicki i prawosławny, oba z kaplicami.

Za rzeką, wśród dużego parku, stoi pałac Kossakowskich z wieżą, którą widać z daleka. Dwór składa się z trzech części, z których najstarsza pamięta czasy Chodkiewiczów. Pałac posiada dużo cennych zabytków: galerię obrazów mistrzów obcych, portrety rodzinne, stylowe meble, porcelanę sewrską, korecką, saską itp. W parku widać stary budynek o grubych murach i lochach podziemnych zwanym skarbcem.[4] Druga wojna światowa nie oszczędziła tych zabytków.

Brzostowica Wielka już w XVI w. była miasteczkiem. Według Herszela miał tu być w 1494 r. kościół drewniany, który się spalił.' Potwierdzenia tego nie znalazłem w żadnym źródle, ani w Kodeksie Dyplomatycznym Katedry Wileńskiej, ani też u Ochmańskiego,[6] który podaje, że Kościół w Brzostowicy fundacji bojarskiej wzniesiono w 1522 r. Następny kościół w Brzostowicy Wielkiej zbudował w 1615 r. Hieronim Chodkiewicz, kasztelan wileński i uposażył go nadaniami na utrzymanie proboszcza i 4 wikariuszy, bakałarza, kantora organistę, 3 młodzieńców i 3 chłopców do posługi proboszczowi, dom w Brzostowicy, folwark w Moszniach orazSiemiakowszczyznę, Bursowszczyznę, od dawna do kościoła należących, które dawały dochodu 80 kóp groszy, 29 kop żyta, 24 owsa, dziesięciny z miasta, 49 gęsi, 73 kury, 12 kop jaj oraz od poddanych. Kapłani obowiązani byli każdego dnia odmawiać officium do Matki Bożej a w niedzielę i święta odprawiać sumę w asyście diakonów i subdiakonów.[7]

Biskup, wizytując kościół brzostowicki w 1655 r., a więc w czasie *„szweckiego potopu"*, zanotował:

„Kościół prepozytalny wspaniały i kosztowny, wzniesiony przez Chodkiewiczów, którzy są kolatorami. Ksiądz Władysław Silnicki, kanonik gnieźnieński i wileński, wikary Jan Gutmeusz. Nie ma officium do Matki Bożej, ani organisty. Zalecono zaradzić temu. Przy kościele bogata altaria /ks. Maciej Żylicki/. Od dwóch lat nie wypłaca się czynszu od ekonomów. Altarzysta odprawia jednak 4 msze tygodniowo za kolatorów. Pobierzmowano 32 osoby".[8]

W 1741 r. Mniszkowie gruntownie kościół odnowili. Niektórzy nawet twierdzą, że zbudowali nowy, tak bowiem wiele włożyli pracy i pieniędzy w jego modelunek.

Był to kościół zbudowany w stylu baroku, trzynawowa bazylika z transeptem i półokrągłą absydą i dwoma małymi zakrystiami przy ołtarzu. Bezwieżowa fasada podzielona pilastrami na trzy części i zakończona schodkową attyką. Wewnątrz wspiera się na czterech masywnych filarach. Przy wejściu chór ze spiralnymi schodami. Pod kościołem podziemia o 9 komnatach połączonych ze sobą przejściami.

Nie zapomnieli też fundatorzy i o przykościelnej szkółce parafialnej, w której się w różnych latach uczyło:

1807 r.-16 uczniów, 1808 r.-3,1809 r.-5,1810r.-8,1811 r.-12, aod 1813 r. do 1815 r. po 9 uczniów.[9]

Był w Brzostowicy i szpital przy kościele a raczej przytułek na sześciu ubogich, fundacji Józefa i Anieli Mniszków, kasztelanów krakowskich w 1741 r., wydaniem ze dworu ordynarii półtora beczki żyta, 1 beczki jęczmienia, 1 gryki, 1 owsa, 163 zł 8 groszy. W 1794 r. Józefa z Mniszków Potocka dodała rocznie 6 odzieży na ubogich z obowiązkiem odmawiania każdego dnia godzinek a po nieszporach różańca za fundatorów.[10]

Gdy w 1866 r. kościół zabrano na cerkiew, zwalając wieżę, przyklejając do barokowej budowli pseudobizantyjskie kopułki, oczyszczając wnętrze z wszelkich obrazów, konfesjonałów, ołtarzy, nagrobków i napisów, katolicy odprawiali nabożeństwa w cmentarnej kaplicy. Jesienią 1908 r. na koszt hr. Józefa Kossakowskiego i jego żony Marii, rozpoczęto budowę nowego, neogotyckiego

kościoła, na innym już miejscu niż dawny chodkiewiczowski. Budowę ukończono w 1912 r. Błyskotliwy reporter, Wańkowicz, twierdził, że pieniądze na budowę kościoła Kossakowski zawdzięcza grze w karty, natomiast kuzyn jego, ksiądz Meysztowicz, że ze sprzedaży swego pałacu w Warszawie. Tak, czy inaczej kościół stanął a prawdziwym motorem budowy i aniołem stróżem budowli była żona Kossakowskiego, Maria. Warto o niej parę słów wspomnieć, cytując księdza Meysztowicza:

„Marię wydano za ciotecznego brata, Józefa Kossakowskiego, prawie nie pytając, czy odpowiada to młodym. Dyspensę uzyskali łatwo. Młodzi przyjęli małżeństwo jako obowiązek i z wiernością w nim trwali. Mieli czworo dzieci. Zamieszkali w Brzostowicy Wielkiej. Dawna siedziba, czy też zamek nie istniał, zwalony i rozebrany przez najeźdźców. Był tylko położony niżej na wilgotnej dolinie, sześć, czy osiem pokoików liczący, dworek, siedziba ekonoma. Tam zamieszkali. Gdy mąż postanowił zbudować nowy, szeroki i wygodny pałac, wymogła, aby nowa budowla nie powstała na miejscu dawnego chodkiewiczowskiego pałacu na górze, ale na dole w pobliżu dworu ekonoma. Była to więc ogromna przybudówka do drewnianej chatki. Ten nowy pałac, duży i kosztowny, odpowiadał gustom epoki. Maria się tam nie wyniosła. Odpowiadał jej stary dworek. Nie myślała o utrzymaniu senatorskiej pozycji. Była zawsze nie tylko pogodna, ale i wesoła, ciesząca się każdą drobną radością. Nie wiem jakich wpływów użyła ciocia Maniusia, że jej pozwolono zbudować kościół nowy w dole, między pałacem i miasteczkiem".

„Wnętrze nowej budowli było pełne gipsowych figur. Pani miała własną ławkę przy drzwiach zakrystii i chyba nie opuściła żadnej mszy we własnym kościele. Szpaler ze strzyżonych drzew prowadził z jej domku do kościoła. I tak przez pół wieku szła na nabożeństwa mała, zawsze jednakowo czarno ubrana, żywa w ruchach. Przewaliła się pierwsza wojna światowa. Umarł serdecznie kochany mąż. Aż przyszła druga wojna. Wysiedlono ją z jej starej siedziby, z tego drewnianego dworku, do którego przylepiony był pałac. Zresztą cały ten zespół spłonął niebawem wraz z cennym urządzeniem i licznymi obrazami włoskich i polskich artystów. Zabrała ze sobą tylko relikwia z drzewem krzyża świętego, darowanym ongiś przez papieża Grzegorza XVI Stanisławowi Szczęsnemu Kossakowskiemu. Miała go potem zawsze przy sobie na tułaczce. Wysiedlona pani znalazła się od razu w miasteczku brzostowickim u prostych ludzi szczere i serdeczne schronienie i przyjęcie. Były przy niej dwie córki: Ludwika Niemcewiczowa i Anna Mineykowa: ta ostatnia z trojgiem małych dzieci. Nie pozwolono im długo zostać w Brzostowicy. Bolszewicy postanowili wywieść ich za Ural. Najmłodsze dziecko Anny Mineykowej miało zaledwie parę miesięcy. Jedna z najszlachetniejszych dziewczyn z Brzostowicy, by je ratować, wyniosła je, poświęciła swoją dobrą sławę i cześć, nadzieję na małżeństwo, ratowała maleństwo mówiąc, że jest to jej dziecko. Wychowała chłopaka do lat kilkunastu a potem oddała go rodzinie w Anglii. Kossakowska z córkami i wnukami wylądowała w Kazachstanie, w śnieżnym stepie. Tu wraz z armią Andersa dostała się do Persji z córkami i wnukami a następnie została samolotem dostarczona do Rzymu, prawdopodobnie na życzenie władz włoskich. Miała wtedy lat 78. Tam z córką, Niemcewiczowa przeżyła lat dwadzieścia w małym pokoiku. Zmarła

w listopadzie 1965 r. Stu lat nie dożyła zmarła mając 97 lat"."

Nowy kościół już od swego początku miał żywot ciężki. Ksiądz Adolf Michniewicz, proboszcz brzostowicki został ukarany przez sąd okręgowy w Grodnie za „tajne szkółki". Gorsze zajście miał ksiądz Ludwik Biesiekierski. Chodził po kolędzie we wsi Ejminowce, gdzie część mieszkańców należała do wyznania prawosławnego.

„Kilku parobczaków prawosławnych - czytamy - zaczęło go obrzucać śniegiem i lżyć. Bombardowali także chaty, do których zachodził. Gdy kobieta wynosiła z chaty zapomniany przez księdza krzyż, parobcy otoczyli ją a syn wójta (starszyni) Wielkiej Brzostowicy, uderzył kobietę i złamał krzyż. Odgrażał się również pobiciem okien. Nie był to pierwszy wypadek."[12]

O Biesiekierskim wspomina ks. Albin Horba jako o człowieku światłym i dobrym kaznodzieju. Zmarł w styczniu 1920 r. na tyfus."

O dalszych losach tego kościoła wspomina Janina Grzybińska.

„Janka Małynicz, najstarsza z rodziny opiekowała się nowym kościołem. Pilnowała porządku w kościele i koło kościoła. Ubierała ołtarze, sadziła i pielęgnowała kwiaty na klombach przed kościołem, opiekowała się grobami poległych żołnierzy polskich w 1920 r., które były za kościołem i plebanią, przy szosie prowadzącej do Grodna. Grobów była 14-16 a po środku stał pomnik ogrodzony siatką drucianą. W niedzielę i święta zbierali się wierni i wspólnie odmawiali modlitwę. Zbierali się też na nabożeństwa majowe i październikowe. Za utrzymanie i korzystanie z kościoła parafianie płacili duży podatek, Władza brzostowicka nazwała ironicznie Janinę Małynicz „księdzem". Stary kościół fundacji Chodkiewiczów został w 1940 r. zabrany na magazyn zbożowy. Krzyże i figury porozbijano, groby w podziemiach kościoła rozgrabiono. Księdza nie było „bo wyjechał do Polski".

„Gdy ksiądz Małynicz ze Słucka - cytuję dalej - przyjeżdżał do Brzostowicy dla odwiedzenia krewnych, nie miał prawa odprawiać mszy w kościele, ponieważ nie była to jego parafia. W pokoju, który kiedyś zajmowała stryjenka Tomaszowa, zrobiono prowizoryczny ołtarz. Ksiądz Małynicz odprawiał mszę i spowiadał osoby, które potrafiły zachować to w tajemnicy. W tym samym pokoju stało łóżko, na którym sypiał. W pięćdziesiątym którymś roku przyszli do kuzynki Janiny Małynicz urzędnicy brżostowiccy z jakimiś wojskowymi podali się za komisję, która bada budynki, czy nie potrzebują remontu, chcą więc obejrzeć kościół i sprawdzić. Janka, nic nie podejrzewając, wzięła klucze i poszła z nimi do kościoła. Przy wejściu do kościoła wykręcili jej ręce, siłą odebrali klucze i powiedzieli, że od dzisiaj będzie tu magazyn. Nie pomogły żadne starania w urzędach brzostowickich, ani w Grodnie. Podatek od kościoła był już opłacony za cały bieżący rok."[14]

A tymczasem chodkiewiczowski kościół dogorywał. Gdy byłem w latach siedemdziesiątych w Brzostowicy, kościół ten widziałem w rusztowaniach z garstką niemrawo krzątających się robotników. Ponoć przebudowywali go na kino, ale na łuku w kruchcie widniał napis „Zdadim zierno gosudarstwu!" To było ważniejsze. Teatr nie powstał.

Przypisy:

1. T. Chruścielewski. Wpis do pamiętnika Janiny Grzybińskie.
2. Reportaż M. Wańkowicza w „Kurierze Porannym" z dnia 1.01.1937 r.
3. Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego, t.l, s. 422.
4. M. Orłowicz. Przewodnik po województwie białostockim, s. 379.
5. S. Z. Herszel. Przyczynek do monografii powiatu grodzieńskiego.
6. J.Ochmańsk.i Biskupstwo wileńskie w średniowieczu. Poznań 1972.
7. J. Kurczewski. Biskupstwo wileńskie.
8. Czasopismo „Litwa i Ruś" Rocznik 1912.
9. M. Amroz. Zarys statystyki szkól. Ateneum Wileńskie 1939.
10. J. Kurczewski. Biskupstwo wileńskie.
11. Ks. Meysztowicz. Poszło z dymem.
12,Tygodnik Diecezjalny Wileński, Nr 21/1910.
13. Ks. Albin Horba. Rękopis pamiętnika w Wyższym Seminarium Duchownym w Białymstoku.
14. Janina Grzybińska. Rękopis pamiętnika w zbiorach autora.

Magazyn Polski

—Hornostajewic^e

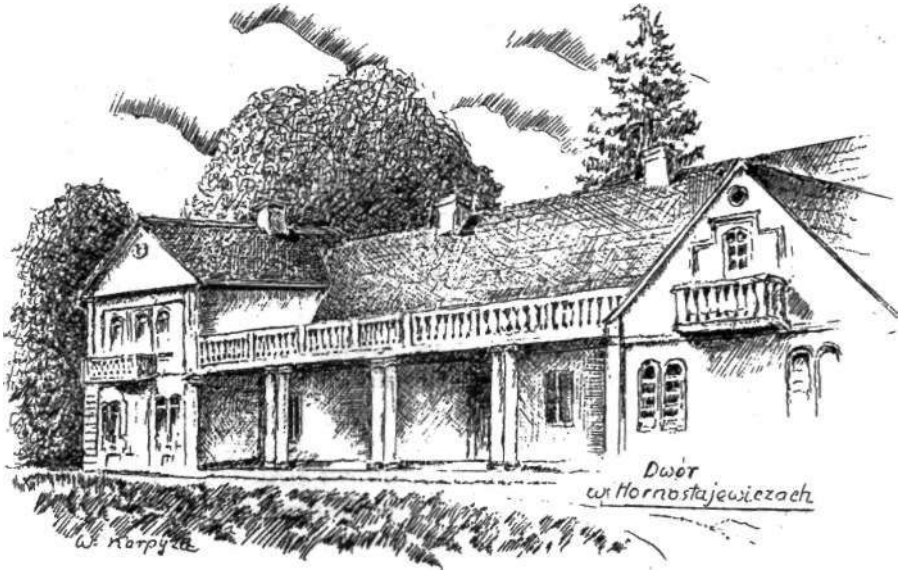

„Bił nam czołem pisarz, pan Iwaszko Jackowicz i prosił nas o trzech ludzi w wołkowyskim powiecie o imieniu Onichima i brata jego Hrynia i bratańca jego, Maćkowych dzieci i powiedział nam, że oni siedzą na Rymidowskiej ziemi wedle jego Rymidowskiego dworca, który przedtem daliśmy jemu, a jeszcze przedtem temu dworowi Rymidowskiemu służyli a i ty sam nam powiedziałeś, że siedzą **oni** na ziemi Rymidowskiej, więc my tych trzech ludzi dali jemu z dziećmi i ze wszystkimi ich ziemiami". (Dokument nosi datę 12 września 1498 r.)

Mowa jest tutaj o Hornostajewiczach, zwanych dawniej Porozowem Rymidowskim, położonym o 25 km na południe od Wołkowyska i o 6 km na północ od Porozowa, nad rzeką Roś, dopływem Niemna.

Miejscowość wzięła nazwę od Jana Jagintowicza Rymowida, dzierżawcy brzeskiego i lidzkiego, który przed rokiem 1460 (dokładna data nie jest znana) „we wsi królewskiej, Porozowie, na ziemi kupionej, wystawił kościół pod wezwaniem NMP, św. Piotra i Pawła, apostołów, św. Wojciecha i św. Jerzego, męczenników. Dla lepszego utrzymania duchowieństwa, nadał ludzi koło **Słonimia,** wyliczając imiennie ich powinności. Wymieniając również pola i łąki **oraz** pełną dziesięcinę ze swego dworu w Porozowie". (Dokument z dnia 29 czerwca 1460 r.)

Hornostajewicze często zmieniały właścicieli. Rozrzutny Wielki Książę **Litewski** a później król Polski Aleksander, hojnie rozdawał dobra a czasem **odbierał** i przydzielał je innym. Mamy wzmiankę, że tenże dworzec nadał **później,** w 1500 r., Andrzejowi Aleksandrowiczowi Drożdży..

Dalsze losy Horfiostajewicz są mało znane i zagmatwane. W pierwszej **połowie** XVII w. należały do rodziny Lackich. Następnie przeszły na córkę Jana

Alfonsa Łęckiego (zm. 1646), kasztelana mińskiego, Izabelę, zamężną l-voto za j
Teofilem Tryznę (zm. 1645) wojewodą brześciańskim, 2-voto za Hieronimem I
Chodkiewiczem, starostą mozyrskim.

W1690 r. Hornostajewicze należały do Jana Leona z Chłusowa Chłusowicza, wojskiego smoleńskiego, który z tej „wieczystej" miejscowości i z karczmy i z dwoma młynami oraz z chat wiejskich płacił podatek za 23 dymy.

W początkach XVIII w. rozgorzał spór o tę posiadłość między Antonim Dziekońskim - strażnikiem polnym litewskim, konsyliarzem Rady Nieustającej, Józefem Judyckim - strażnikiem W. Ks. Lit., Ludwikiem generałem majorem wojsk W. Ks. Lit., Ignacym - kanonikiem wileńskim i Oskierkami, Tadeuszem pułkownikiem, Ignacym - porucznikiem, Mikołajem - chorążym wojsk W. Ks. Lit., Stankiewiczami a książętami Adamem i Izabelą z Flemingów Czartoryskimi generałami Ziemi Podolskiej, ale nie znamy wyników tego sporu.

W drugiej połowie XIX w. Hornostajewicze znalazły się w posiadaniu j
Jarosława ButtowtAndrzeykowicza, syna Michała, gubernatora grodzieńskiego.

Andrzeykowicze z Hornostajewicz, aby się odróżnić od innych Andrzeykowiczów, mają przy nazwisku przydomek Buttowt, gdyż tradycja rodzinna utrzymuje, że ich przodkiem był Buttowt, trzeci z kolei syn Wielkiego Księcia Litewskiego, Gedymina. Roman Buttowt-Andrzeykowicz, dziad grodzieńskiego gubernatora, Michała Buttowt-Andrzeykowicza, zrzekł się j
podobno tytułu książęcego i przyjął do nazwiska przydomek Buttowt.

Do większego znaczenia i bogactwa Buttowt-Andrzeykowicze doszli gdy]
Michał został gubernatorem grodzieńskim. Wtedy w jego i następców rękach znalazły się w posiadaniu, między innymi Starzynki, Stary Dworzec, Zerdna, Hornostajewicze i inne.

Aleksander I, car rosyjski, chcąc po traktacie wiedeńskim, wywiązać się z przyrzeczenia nadania prowincjom Polski rządu narodowego, mianował gubernatorów - Polaków a wśród nich Michała Buttowt-Andrzeykowicza, gubernatora grodzieńskiego.

Swoje szybkie wyniesienie Michał w pewnym stopniu zawdzięczał protekcji generała - gubernatora Litwy, Leontiusza Bennigsena, który był żonaty z siostrą Michała, Katarzyną, tego samego, który aktywnie uczestniczył w zamordowaniu cara Pawła I. Związki Andrzeykowiczów z Bennigsenami były dość bliskie, bowiem i syn Michała, Władysław, ożenił się z „ogniście rudą" córka tegoż Bennigsena, Leontyną Bennigsenówną z Honoweru.

Drugi syn Michała, Jarosław, który otrzymał w spadku Hornostajewicze miał trzy córki: Marię, Magdalenę i Małgorzatę, zwaną Rita i one podzieliły się dobrami po ojcu. Magdalena otrzymała Hornostajewicze, Maria pobliski Minków a Ritę wydano za mąż za Jelskiego. Ponieważ wszystkie te córki były bezdzietne, Magdalena planowała majątek Hornostajewicze przekazać w spadku swemu kuzynowi, Władysławowi Buttowt-Andrzeykowiczowi, majorowi wojska polskiego, ale gdy ten przyjechał do Hornostajewicz, zachorował na tyfus i zmarł w 1922 r., wobec czego majątek otrzymał jego brat, Henryk. Zastrzegając sobie dożywocie, Magdalena zamieszkała przy Henryku do śmierci. Również Maria, pozostając panną, przekazała Henrykowi swój majątek, Minków. W ten sposób dobra Jarosława znowu się scaliły i w okresie

międzywojennym obejmowały: 3 - 168 dziesięcin, w tym 920 lasu, 950 nieużytków. Oprócz tego majątek posiadał młyn i cegielnię.

Henryk Buttowt-Andrzeykowicz (1882-1941), absolwent politechniki w Rydze, żonaty z Heleną ze Stefanowiczów (1887-1960), ojciec 2 córek: Wiktorii (1914-1972) i Haliny (1916-1991), został w 1939 r. aresztowany, o czym pisze jego młodsza córka.

„W nocy z 17 na 18 września 1939 r., po usłyszeniu radiowej wiadomości o przekroczeniu granicy polskiej przez wojska radzieckie, ojciec mój natychmiast zdecydował się na opuszczenie majątku Hornostajewicze z rodziną i wyjazd do odległego o 25 km Wołkowyska. Zatrzymaliśmy się tymczasowo w mieszkaniu komisarza Huszczy, który już wyjechał w nieznanym kierunku. Już na drugi, czy trzeci dzień po naszym przyjeździe, około południa, przyszło do mieszkania dwóch młodych cywilów - Żydów, z czerwonymi opaskami na rękawach i ojca zabrali, nie wyjaśniając przyczyny, jak się później okazało do miejscowego więzienia. W tym samym czasie spędzono mnóstwo osób mieszkających w Wołkowysku i okolicy. Tak minęła zima i 25 marca 1940 r. wszystkich więźniów wywieziono w nieznanym kierunku. Trzy tygodnie później mamę i mnie wywieziono do Kazachstanu".

Kobiety, to znaczy żona i córka Halina, przeżyły. Wróciły do Polski w 1946 r. i zamieszkały w Kwidzyniu. Druga córka, Wiktoria, jeszcze tuż przed wojną wyszła za mąż za Jerzego Szyszkowskiego. Brała udział w powstaniu warszawskim, jako podporucznik ZWZ-AK. Po wojnie wraz z mężem i dziećmi wyemigrowali do USA i zamieszkali tam na stałe. Pozostawili dzieci: Michała (ur. 1946 r.) i Andrzeja.

Dziś gałąź Buttowt-Andrzeykowiczów linii męskiej po Jarosławie wygasła. Dogorywa też reszta dworu w Hornostajewiczach. Obie wojny światowe ogołociły go z zabytków i piękna. A był to uroczy dwór stojący na wysokim, lewym brzegu rzeki Roś, skąd na drugą stronę roztaczał się widok na wieś i na ukrytą w kępie drzew, cerkiew.

Dwór Hornostajewicki „ponoć" bardzo stary, pochodził przypuszczalnie z końca XVII w. a jego część środkowa, być może jeszcze z czasów wcześniejszych. Mieczysław Orłowski w swoim Przewodniku po województwie białostockim zachwycał się jeszcze zabytkową, starą oborą a przewodniki białoruskie wzmiankują o pięknych, szachulcowych swirnach.

„Była i mogiła szwedzka w Hornostajewiczach. Tak się mówiło - wspomina Halina Andrzeykowicz - o uroczym pagórku, porośniętym starymi sosnami, ale **tam** nikt nie kopał, nie było kości, ani skorup i niestety nic tam nie straszyło. Najwyżej w nocy pohukiwała w starej sośnie sowa. Pełno ich tam było. Także w parku a moja siostra kapitalnie umiała z nimi rozmawiać".

Dwór w czasach dawnych, a nawet i międzywojennych, był zawsze pełen gości, szczególnie latem, gdyż ród Andrzeykowiczów był rozrodzony. Halina Buttowt-Andrzeykowicz pozostawiła wspomnienia pod tytułem „Ciotki" i naliczyła ich dwadzieścia cztery (dosłownie dwa tuziny), które latem zjeżdżały do Hornostajewicz. Prawda, że nie są to ciotki w dosłownym znaczeniu, gdyż **Halina** zalicza do nich i swoje babki, zarówno ojczyste, jak i matczyne, które **trzeba** było „kochać i całować w rączki".

Najsłynniejszą „ciotką" była babcia Magdalena Buttowt-Andrzeykowiczówna, znana swego czasu artystka - malarka, odnotowana w encyklopediach i prasie, ta sama, która Hornostajewicze zapisała Henrykowi i teraz siedziała u niego na dożywociu.

A oto co, między innymi pisali o niej współcześni. „Pani Magdalena Andrzeykowiczówna, utalentowana nasza artystka, której obrazy *Kochanowski u zwłok Urszuli, Leon XIII wśród wykopalisk rzymskich,* zwracały powszechną uwagę widzów. Przybyła na stałe zamieszkanie do Warszawy i ma zamiar przyjmować na naukę młode osoby, życzące kształcenia się w sztuce, ale ich liczbę pragnie ograniczyć do sześciu. Pracownia artystki znajduje się na Nowym Świecie nr 35".

„Ciocia Madzia - wspomina Halina Andrzeykowicz, która dzieciństwo spędziła u jej boku - średniego wzrostu staruszka, trzymała się zawsze prościutko, szczupła, delikatnej budowy, o dużych szarych oczach, wyrazistej, ale łagodnej twarzy, z gładko zaczesanymi w nikły kok siwymi włosami, nosiła staroświeckie, długie suknie, niezmiennie ozdabianymi śnieżnej białości kołnierzykami i mankiecikami. Od święta ciocia Madzia wkładała żabot i mankieciki z prześlicznych starych koronek, których miała mnóstwo w swoich kufrach. Ach, te kufry, cioci Madzi! Jakaż to była uciecha, gdy nam pozwalała asystować przy ich przeglądzie, wietrzeniu i trzepaniu. Jakież cuda ukazywały się dziecięcym oczom - najróżniejsze koronki, atłasowe przodziki i wstawki do bluzek, aksamitne żakiety, bluzki z tysiącem zakładek, bufek i plisek, powłóczyste spodnie, pióra od kapeluszy, spinki, guziczki, klamerki, haftki, wstążki, kawałki atłasów i aksamitów o cudownych barwach, zwykle przy takich okazjach dostawało się coś z tych cudów naszym lalkom. Dzień cioci Madzi podlegał surowemu rygorowi czasu. Wstawała zawsze o tym samym czasie. Długo się myła, ubierała, długo mówiła pacierze na swoim klęczniku i punktualnie o dziewiątej zjawiała się w jadalni, gdzie natychmiast podawano jej talerz kaszki z masłem. Ten talerz kaszki był takim rytuałem, że nie przypominam sobie żadnych okoliczności, które mogłyby usprawiedliwić jego nieobecność przy śniadaniu. Do niezmiennego rytuału cioci Madzi należało również zjedzenie paru kęsów chleba po obiedzie. Po śniadaniu ciocia Madzia szła do swego pokoju, pisała listy, miała z nami lekcje języka francuskiego, szyła. Po obiedzie mała drzemka w fotelu. W porze letniej dużo czasu spędzała na tarasie wśród starszych osób, bawiących u nas w tym okresie".

„Po kolacji, zwłaszcza zimą, kładła pasjanse w salonie z kominkiem. Część towarzystwa asystowała temu obrzędowi przy owalnym stole, oświetlonym dużą, naftową lampą z abażurem. Reszta gromadziła się przy buszującym wesoło ogniu na kominku. Tam znów było stałe miejsce tatusia. Punktualnie o dziesiątej ciocia Madzia podnosiła się od stołu i następował rytuał uroczystego mówienia sobie dobranoc a następnie któraś z nas z lampą w ręku odprowadzała ciocię Madzię do jej pokoju, gdzie jeszcze długo paliło się światło, nim ciocia naszykowała się do snu i odmówiła pacierze".

„W młodości ciocia Madzia dużo podróżowała, znała świetnie kilka języków, obdarzona talentem dużo malowała. Znany był, na przykład jej obraz *Gra w kości o branką.* Niestety, zaczęła chorować na oczy i lekarze pod groźbą utraty wzroku, zabronili jej malować. Odłożyła więc pędzel i paletę, ale było to

dla niej wielką tragedią.

Ciocia Madzia była niezwykle delikatna i dobra, nigdy się nie gniewała, zawsze spokojna i cicha i miała w sobie coś, co każdego zmuszało do najgłębszego wobec niej szacunku. Głęboka wierząca i pobożna, nie miała w sobie nic z dewotki. Zawsze jednakowo miła i równa wobec domowników, służby, czy interesantów - ciocia cieszyła się ogromnym mirem wśród wszystkich, którzy ją znali. Kilka miesięcy ciężko chorowała. Nie skarżyła się nigdy i nic dla siebie nie wymagała. Zmarła w piękny, czerwcowy poranek 1933 r. Pochowana w grobie rodzinnym wPorozowie".

Według nekrologu umieszczonym w *Tygodniku Wołkowyskim* zmarła mając lat 84.

Siostra Magdaleny, Maria, również niezamężna, mieszkała i gospodarowała w swoim folwarku, Minkowie, oddalonym o pięć kilometrów od Hornostajewicz. Podczas swoich odwiedzin najczęściej rozmawiała z siostrą i Henrykiem o gospodarce. Były to jeszcze pierwsze lata powojenne, majątek był bez inwentarza i gospodarować nie było lekko dla kobiety samotnej i starej. Nie bała się jednak mieszkać w swoim dworku otoczonym olbrzymimi lasami a najbliższa wieś była oddalona o parę kilometrów. Paru ludzi w czworakach, stary ekonom i gospodyni, Józefa, to całe otoczenie. Gdy dotknęła ją ciężka choroba, przewieziono ją do Hornostajewicz, gdzie w 1925 r. zmarła. Minków zapisała Henrykowi, pochowana została w Porozowie.

W Hornostajewickim dworze często przebywali artyści-malarze: Stanisław Dybowski i Stanisław Żukowski.

„Odnośnie artysty malarza Stanisława Dybowskiego - wspomina Halina Buttowt-Andrzeykowicz - który istotnie u nas parokrotnie przebywał i dużo malował, to nie przypominam sobie absolutnie jego akwarel, które były na wystawie w Wołkowysku, gdyż malował temperą i olejem. W Hornostajewieżach był jego obraz *Góral,* kupiony u niego przez mego ojca. Obraz przepadł we wiześniu 1939 r., jak i oba obrazy Żukowskiego. Żukowski przebywał u nas, mniej więcej, w latach 1929-1933. Dopiero później był Dybowski. Obaj razem nigdy nie byli. Żukowski wiele razy malował wnętrze naszego dworu".

Żukowskiemu należy poświęcić parę słów, gdyż również urodził się w powiecie wołkowyskim, a mianowicie w Jędrychowcach, w byłej gminie Roś, dnia 13 maja 1873 r. z zubożałej szlachty. Studiował w Moskwie, między innymi u Lewitana. Tamże prowadził prywatną szkołę malarstwa. Należał do „pieredwiżnikow", którzy wędrując po Rosji malowali wspólnie ten sam obraz. Sporo jego prac znajduje się w muzeach białoruskich i w Galerii Tretiakowskiej w Moskwie. Z paletą malarską wędrował po ziemi wołkowyskiej i grodzieńskiej, stąd często go zowią „piewcą nadniemeńskim". W 1917 r. wrócił do Polski iw roku 1920 osiadł w Warszawie. Zmarł w 1944 r. w obozie w Pruszkowie. W1983 r. •a budynku sowchozu w Jędrychowcach odsłonięto na jego cześć tablicę pamiątkową.

Co jeszcze dodać o Hornostajewiczach? W latach międzywojennych pracował w tutejszej szkole, absolwent Seminarium Nauczycielskiego, Stanisław Gizybióski.

„Wioska była prawosławna. Szkoła mieściła się w izbie u gospodarza -

wspomina Grzybiński - komunikacja ze światem była możliwa tylko rowerem, furmanką lub pieszo. Jedyny inteligentny człowiek, to był pop prawosławny, Makowielski. Miał żonę i pięcioro dzieci. Byli sympatyczni i życzliwi, więc szybko zawarliśmy z nim przyjaźń".

Przewinęło się tu, być może, wiele burz dziejowych, jak ta, uwieczniona w notatkach: W 1812 r. generał Sacken, zorientowawszy się w położeniu, ruszył w pogoń za generałem Reinie. Krocząc pospiesznym marszem wśród bezdroży przybył do Rudni i 31 października dogonił Sasów w Porozowie. Przednie oddziały nawiązały kontakt bojowy w okolicy wsi Hornostajewicze, ale Sasi zrezygnowali z generalnej bitwy i odeszli w stronę Wołkowyska.

Magazyn Polski

!*!

Indura

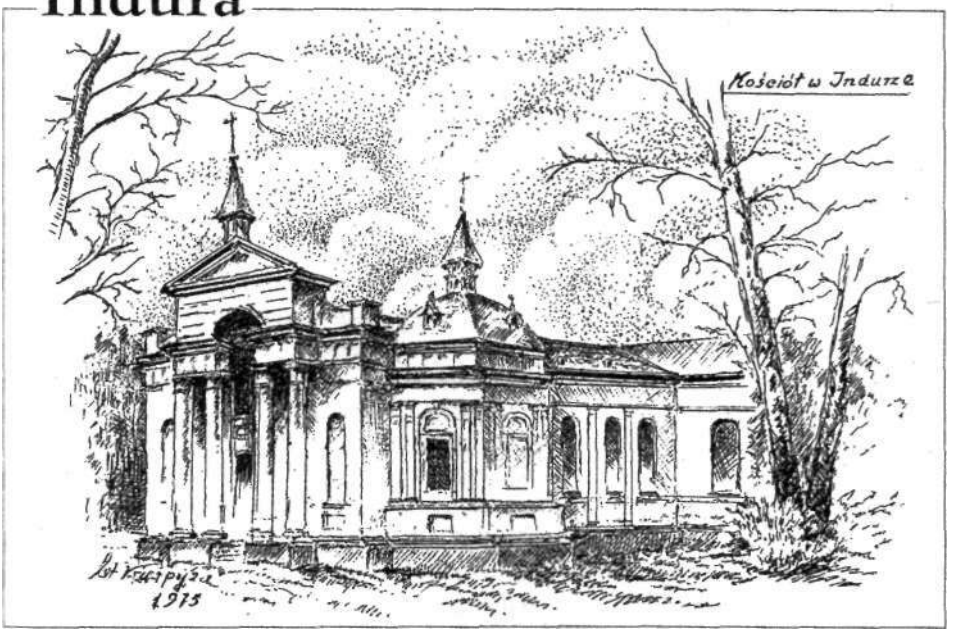

Miasteczko Indura leży o 25 km na południe od Grodna. W okresie międzywojennym była miastem liczącym 2600 mieszkańców i miała herb przedstawiający czarnego żubra w żółtym polu. Przez Indurę przepływała mała, ale groźna rzeczka Indurka. Często ona wylewa, a jej rozlewiska sięgają wówczas od Prokopowicz do Dubnej. Jeden z takich wylewów miał miejsce w lipcu 1944 r., kiedy to jej wody porwały w Indurze nowy, drewniany most, utrudniając wojskom radzieckim marsz w kierunku Krynek i Odelska.

Miejscowi bajarze opowiadają o pochodzeniu nazwy miasteczka. Otóż w dawnych czasach, na miejscu Indury stała jedynie karczma. Karczmą zarządzał Żyd, który miał służącą o wyjątkowej urodzie, która na mię miała Inda, a ponieważ była głupia, więc mówiono o niej „dura". Stąd pochodzi nazwa Indury. Mówiono - Jadę do Indy- dury.

Na zachodnim skraju miasteczka, znajduje się grodzisko zwane przez miejscowych Góra Bony. Według Białoruskiej Sowieckiej Encyklopedii (tom 5, s. 90) grodzisko było badane w 1955 r. i 1959 r. Stwierdzono, że gród miał 16-18 m średnicy, wzmocniony z południowego-zachodu dwoma wałami i rowem. Przy kopaniu znaleziono ceramikę ze słowiańskimi ornamentami, żelaznymi i kościanymi narzędziami pracy, fragmenty uzbrojenia, kości zwierząt dzikich i domowych oraz ziarna zbóż. Uczeni twierdzą, że było to grodzisko feudała i odnosiło się do wieków XI-XIII.

Na widownię historyczną Indura wstępuje w końcu wieku XV, jako siedziba włości Jana Janowicza Dowojnowicza, czyli jak wówczas mówiono, Iwaszki. Otrzymał on potwierdzenie na własność dziedziczną w 1508 r. od króla Zygmunta I. Upamiętnił się też sprawą o Indurę z Jerzym Mikołajewiczem

Radziwiłłem, ojcem Barbary Radziwiłłówny, późniejszej królowej. Dowojnowicz oddał ją w zastaw za 500 kop groszy litewskich, kiedy później chciał zwrócić pieniądze, Radziwiłł nie chciał ich przyjąć i Indury nie oddał. W 1524 r. sprawa oparła się o sąd. Wyrok zapadł po myśli Dowojnowicza. Po Dowojnach Indura znalazła sie w posiadaniu Kiszków, a Hanna Kiszczanka, wychodząc za mąż za Jana Mikołaja Radziwiłła, brata wyżej wspomnianego Jerzego, wniosła Indurę w ,dom RadzjwiłłóWj, Radziwiłłowie posiadali Indurę przez trzy pokolenia, chociaż strona królewska do tych dóbr również rościła pretensje. Sporom położyła kres ustawa sejmowa z 1616 r., w której czytamy „Przywilej króla jegomości, Henryka na majętność indurską wielmożnym Radziwiłłom dany, chociaż ich i przedtem własne dziedzictwo było, aprobujemy i tę majętność Indurę ze wszystkimi jej należnościami, za zgodą i pozwoleniem wszech stanów Obojga Narodów, wielmożnym Januszowi podczaszemu i Krzysztofowi, polnemu hetmanowi litewskiemu, Radziwiłłom i potomkom ich przywracamy i wiecznością dajemy i potwierdzamy". (Volumina Legum, t. III, s. 150).

Ostatnim właścicielem władającym Indurą z ramienia tego rodu, był Janusz, ojciec znanego nam z *Potopu,* Bogusława. On to sprzedał Indurę, ale nie udało się ustalić komu, być może Wołłowiczom, którzy swą córkę wydali za Piotra Paca (zm. w 1642 r.) wojewodę trackiego. Córka zaś Paców, Anna, została wydana za mąż za Piotra Karola Dolmat-Issajkowskiego (zm. w 1640 r.) łowczego W. Ks. Lit. Córka Issajkowskich, Zofia, wdowa po Samuelu Pac, po matce i babce dziedziczyła: Mosarz, Swisłocz, Hrajno, Indurę i Wołkołatę, poślubiła w 1657 r. Wiktora Konstantego Mleczkę, starostę żmudzkiego dobra swoje wniosła w dom męża. Mleczkowie nie pozostawili potomstwa. Za jednym z Issajkowskich była zamężna Helena Ogińska, która wyszła później za Mikołaja Tarłę i jemu wniosła Indurę w posagu. Tarłowa przeżyła męża, ale pozostawiła po sobie znaczne długi, lokowane przeważnie na Indurze, które spłacił Dominik Kazimierz Ogiński, stając się tym samym właścicielem Indury.

Tenże Ogiński miał syna, wcześnie zmarłego i cztery córki. Wdowa po nim, z domu Wojnianka, wszystkie dobra swoje zapisała córce Teresie. Dostała się też jej i Indura. Natomiast inny Ogiński, Marcjan, wojewoda witebski, ożenił syna z siostrą Teresy, Heleną „damą piękną, mądrą i wielkiej siły, że podkowy łamać mogła" i zaraz wszystkie dobra Teresie siostrze jej zajeżdża". Została więc Teresa bez żadnych dóbr, w opłakanym dość stanie, gdyż i dóbr nie miała i roztyła się tak dalece, że nikogo zwabić do siebie nie mogła. Znalazł się jednak i mąż dla Teresy. Był nim Jan Sołłohub, późniejszy wojewoda brzeski. Ten po ożenku z Teresą w 1739 r. wdał się w spory o majątki Teresy i dobra odzyskał. Po śmierci Jana Sołłohuba walka o dobra pozostałej po niej wdowy rozgorzała na nowo. Sprawę załatwiono polubownie. Po śmierci Teresy Sołłohubowej Indura przeszła na własność Michała Kazimierza Ogińskiego, późniejszego wojewody wileńskiego i hetmana W. Ks. Lit., fundatora Kanału Ogińskiego, który miał swój pyszny dwór w Słoninie. Indura była zarządzana przez dzierżawców i plenipotentów. Ostatnimi właścicielami Indury byli Brzostowscy.

Ekonomowie i dzierżawcy indurscy, chcąc dla siebie osiągnąć nadmierne, materialne korzyści, często uciemiężali tutejszych mieszkańców, szczególnie dał się we znaki ekonom indurski, właściciel pobliskiego Poniemunia, który Indurą

Ogińskich zarządzał w latach 1767-1773. Oto niektóre z 48 skarg, jakie na Olizarowicza zanieśli mieszkańcy indurskiej włości. Przytaczam niektóre z nich, gdyż ilustrują życie poddanych wnoszą wiele przyczynków do dziejów miasteczka. „Kazimierza Łazowskiego klacz była wzięta do Poniemunia i tam czas jakiś pracował bez wynagrodzenia. Kazał też kilkakrotnie z pańszczyzny jeździć do Poniemunia, folwarku Olizarowicza."

„Stanisław Nosel, gdy do Poniemunia wiózł wieprzów karmnych cztery a jeden zdechł, którego imp Olizarowicz przyrzucił z za tego żywego i podkarmionego wziął i nie zapłacił... Tenże zrobił do Poniemunia soczników par dwie, siekier stalowych trzy, sierpów zazębiał cztery, nowych dwa i parę podków z własnego żelaza a także reperował razy koła kolaski. Wszystko bez zapłaty."

„U Macieja Łachanowskiego imp. Olizarowicz sanie wziął na odwóz własnych sprawunków do Królewca i zrujnowane wrócił. Tenże Łachanowski ma krzywdę, że do Poniemunia, na czas pogrzebu matki imp Olizarowicza, woził piwo i naczynia podwoda parokonną i tam czasu roboczego przez trzy dni bawił".

„Staś Nosel użala się, że w Poniemuniu tydzień orał, za co dostał, tylko złoty jeden".

„Marysia Kramarewiczowa, wdowa, wyznała o mężu swym, że był dwa razy bity, raz leżąc a raz stojąc, tak niemiłosiernie, że do Miniewicz o mil trzy nie dojechawszy, zmarł".

„Andrzej Głownicki zeznaje, że imp Olizarowicz szwagra Głownickiego na imię Jurka Żukowskiego do fabryki (budowy) wziął gwałtownie pod batogami a ten ożeniwszy się chciał utrzymać gospodarstwo za służenie dworowi pańszczyzny. Na ostatek, gdy się doprosić nie mógł, uciekł i więcej nie powrócił, grunt zasiany a zboże nie zostało zebrane i przepadło".

W 1525 r. Indura już była miasteczkiem, gdyż miała kościół, przywilej na targu i karczmę w majątku. O karczmie mamy już wzmiankę w 1522 r. gdy mieszkał tam Żyd-arendarz, Hawaszewicz, który arendował karczmę oraz myto pomierne i targowe. Później Żydzi odgrywali ważną rolę w życiu miasteczka. Jeszcze w okresie międzywojennym na 2600 mieszkańców, Żydzi stanowili 2000 mieszkańców. Mieli także utarczki z Olizarowiczem.

„Abramowi Hirszowiczowi - czytamy - konia wzięto do folwarku imp Olizarowicza przez trzy dni trzymano i tegoż znędznili, który kosztował talarów 6, a gdy przyprowadzono, nie warty był talarów 2 a do tego był jeszcze Hirszowicz bity przez ogrodnika za to, że nie chciał dać konia. Temu wzięto gwałtem sanie ruskie, za które dano zaledwie złotych 4".

„Eli Lejbowiczowi wzięto ryb za korończyków dwanaście i nie zapłacono. Tenże kupił od chłopa wydrę za 8 i pół złotych a sprzedał za 36,5. Imp ekonom dowiedziawszy się surowo przykazał aby tę wydrę ponownie odebrał, którą odebrawszy do rąk ekonoma oddał i za którą ma pokrzywdzie na 23 i pół złotych".

„Michał oskarża imp. Olizarowicza, że jemu przez lat siedem nie jest płacone: za uprzążek par 4; za obrączkę szczerozłotą, bransoletek par dwie, za oprawę lulek, łyżeczek kilka, za oprawę tabakierki i papierośnicy, za kotły wielkie i małe, za robienie herbów do chomontów Boufała, pisarza grodzkiego, co jwp Olizarowicz wziął na siebie-razem na sumę 215 złotych".

„Wsiej Lejbowicz, administrujący łaźnią Kahału, skarży imp Olizarowicza

o to, że w 1772 r. z napalonej tegoż Awsieja łaźni Żydówki nagie powypędzał".

„Z kahału indurskiego wzięto dla Moskali kilka szanków zboża, za które imp wziął pieniądze, ale kahałowi nic nie dał. Temuż Lejbie Fajbiszewiczowi zabrał ekonom konia pod Francuza do Białegostoku, za którego nie zapłacił".

Słynne były jarmarki i targi indurskie. Powodzeniu ich sprzyjał fakt, że w pobliżu nie było targowych miasteczek, co ruchliwi Żydzi potrafili wykorzystać. W 1525 r. nastąpił zatarg o targ indurski, król musiał upomnieć Jerzego Radziwiłła, kasztelana trackiego, by „nie zakazywał ludziom naszym do tego targu jeździć". Mamy też wiadomość, że w 1541 r. targi te odbywały się wel wtorki. Przed drugą wojną światową liczba ich znacznie wzrosła - jarmarków rocznie było sześć, a każdy wtorek, jak dawniej był dniem targowym. Mniejsze 1 targi odbywały się w piątki.

Księga adresowa z 1926 r. odnotowuje liczne adresy rzemieślników i handlarzy w Indurze. A więc byli tam - apteka, skład apteczny, blacharze, bławaciarze, handlarze bydłem, cieśle, czapnicy, farbiarze, fryzjerzy, sklepy galanteryjne, I pracownia kamieniarsko-rzeźbiarska, kołodzieje, sklepy kolonialne, kooperatywa, 1 kowale, handlarze końmi, krawcy, sklep z maszynami rolniczymi, murarze, sklepy obuwnicze, szewcy, olejarnie, piekarnie, piwiarnie, powroźnicy, siodlarze, I rzeźnicy, sklepy alkoholowe, stolarze, tokarze, zegarmistrze a nawet nie brakło I restauracji i zajazdu. Wiele wielkich miast dzisiaj może pozazdrościć takich] usług. Była nawet anegdota, że w Indurze można było dostać wszystko. Pewien przechodzień zatrzymał się i przyglądał się szyldowi wywieszonemu nad sklepem.

- Nu, czego pan potrzebuje? - zapytał właściciel sklepu. U mnie jest wszystko.
- Wątpię.
- Co? Wątpię! Są i „wątpię".
- Sora, podaj panu wątpię
- Nie ma-odpowiada mu Sora.
- Aj, jaka szkoda. A wczoraj jeszcze były. Niech pan przyjdzie jutro.

Cerkiew indurska - wspomina Leon Szwaluk - pochodzi z 1888 r. Zbudowana jest w charakterystycznym stylu dla cerkwi, z kopulastymi wieżami. Zainteresowanie nabożeństwami nie było wielkie, może dlatego, że wsie prawosławne odległe były od Indury około 5 km. Wyjątek stanowiły w okresie międzywojennym święta wielkanocne. Cerkiew solidnie odnowiono w 1930 r. i wyposażono ją w całą gamę dzwonów. Koncert dzwonów trwał zwykle 15 minut. Zmarłych do cerkwi nie przywożono, zapewne z powodu wielkiej odległości od cerkwi. Nie było też w okresie międzywojennym cmentarza prawosławnego w Indurze. Chowano zazwyczaj na cmentarzach przy wsiach. W pierwszych latach międzywojennych księdzem prawosławnym w Indurze był Doroszkiewicz, który miał dwóch synów i córkę. Później wyjechał do Białowieży a synowie jego kształcili się na księży. Jednym z nich jest obecnie mieszkający w Warszawie metropolita Bazylij.

Kościół katolicki stoi na skraju Indury. Pierwszy kościół był zbudowany i uposażony w 1522 r. przez Jana Dowojnowicza marszałka W. Ks. Lit. Obecny wymurowany jest staraniem ks. Rodziewiczaw 1815r.

W latach 1901-1904 dobudowano wieżę od strony wschodniej dobudowano

transept, absydę i zakrystię. Dokonał tego ks. Sobolewski przy pomocy parafian. Granice parafii w ciągu wieków były płynne i nie pokrywały się z granicami gminy i uzależnione były od kasaty lub powstania nowych kościołów okolicznych. Do parafii należała kiedyś kaplica nawet w odległej Obrębszczyźnie. Około 1900 r. kościół tutejszy posiadał 37 dziesięcin ziemi.

Ks. Napoleon Sobolewski był bardzo lubiany przez parafian, ale otrzymał nakaz od władz kościelnych przeniesienia się do innej parafii. Gdy nastąpił dzień przeniesienia parafianie zagrodzili mu drogę kłonicami w rękach, ale ksiądz ich ofuknął, że nie godzi się przeciwiać woli boskiej i wtedy ustąpili. Przed pierwszą wojną światową probostwo objął ks. Jan Unicki i parafią kierował przez całe międzywojenne dwudziestolecie. Był on przeciwieństwem księdza Sobolewskiego. Znał tylko modlitwę i umartwianie się.

Pierwsze wiadomości o szkole indurskiej mamy z czasów Komisji Edukacji Narodowej. Największą liczbę uczniów osiągnęła w 1781 r. kiedy to uczyło się w niej 20 dzieci. W okresie międzywojennym była to okazała szkoła 7-klasowa. Do 1929 r. kierownikiem jej był Marian Buda. A po nim aż do 1939 r. Antoni Iglicki.

Urząd burmistrza do wybuchu II wojny światowej sprawował Aleksander Sankowski. W tym okresie Indura posiadała 18 ulic, a były to: 11 listopada, Kościelna, Białostocka, Kuźnicka, Kryńska, Cerkiewna, Piłsudskiego, Mickiewicza, Konstytucyjna, Szkolna, Juryzdyka, Magistracka i inne.

Indura leżała na szlaku uczęszczanym. Sprzyjało to rozwojowi handlu, ale

nie zabezpieczało przed przemarszami wojsk, a gdzie wojska tam o wypadki nie

^I^abelin——^

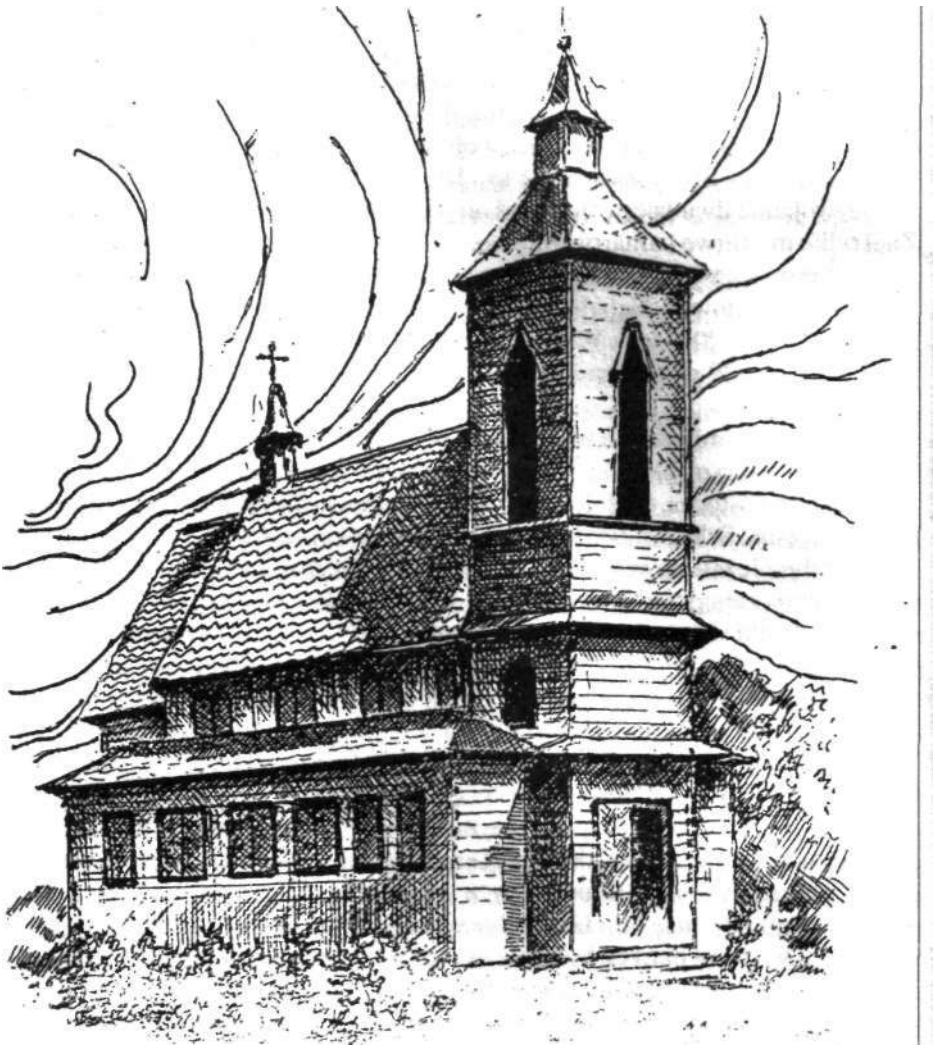

W żadnym dokumencie, pochodzącym sprzed połowy XVIII w., nie znajdujemy wzmianki o Izabelinie, mimo, że rodowód ma stary, sięgający końca XVI w. Rzecz w tym, że Izabelin, to dawny Pietuchów.

Stara nazwa wywodzi się prawdopodobnie od niejakiego Pietucha wymienionego w Metryce Litewskiej. Występuje tam informacja, że 22 września 1499 r. Wojciech Janowicz Kłoczko ochmistrz dworu ks. Heleny, żony Aleksandra Jagiellończyka, kupił u bojarów Szymka i Niekrasza Jeskowiczów ziemię na imię Pietuchowicze. W 1567 r. Stanisław Janowicz Kłoczko stawiał na

isie wojska z Pieluchowa koni 6, a jednocześnie Kacper Nikodemowicz Ticchonowieckij, zapewne z drugiej części Pietuchowa stawiał koni 3, i sług 8. Sądząc z patronimiku, Stanisław mógł być bratem Wojciecha, zaś sądząc z daty podpisu - wnukiem tegoż, o czym będzie jeszcze niżej. Stanisław Janowicz Kłoczko pozostawił żonę, której zapisał Piecuchów, ale ta miała z majątkiem kłopoty. Otóż Stanisławowa Małgorzata Czyżowa, wziąwszy urzędowych świadków pojechała do Pietuchowa, gdzie siedział bojarzyn Wojciech Piwko. ki w domu nie zastali, a żona tegoż wręcz oświadczyła: „Nie doczekasz, aby " mój tobie służył. Mój mąż służy królowi. A tobie nie chcemy służyć". rzuciła więc Czyżowa wszystkie rzeczy bojarowe za płot, na drogę, a były tam zynie z ubraniem i bielizną, a wewnątrz skrzynka zamknięta. Wyprowadziła " na zewnątrz z obór bydło - sztuk 10, kóz 9, owiec 12, świń 8, kur 11, gęsi 2. Do owania tych rzeczy Czyżowa wystawiła stróża, a ten później oznajmił, że stkie rzeczy Piwkowa zabrała do domu ojca.

Właścicielem Pietuchowa był także syn Wojciecha Janowicza Kłoczki, ciej, dzierżawca wołkowyski. On to 30 sierpnia 1530 r. jako dzierżawca kowyski, wyznaczył pierwszy na Litwie, zgodnie ze Statutem Litewskim dążeniami reformatorskimi królowej Bony, dwóch sędziów ziemskich powiatu kowyskiego. Należały wtedy do niego: Międzyrzecz, Łysków, Podorsk, tuchowo, Dorohowo, Płońsko, Łopiennica, Drewna i Markowo. Żonaty był Katarzyną Hlebowiczówną, z którą miał córkę Annę, którą wydali za kniazia kopa Dolskiego i w ten sposób Pietuchów przeszedł w dom Dolskich. Utrata ruchowa przez Kłoczków miała i inne przyczyny, o których pisze Bobrowicz przepisie do Herbarza Niemieckiego. Otóż według niego, Maciej Kłoczko był ~aty dwukrotnie i z pierwszą żoną, Jadwigą Zienkowiczówną, miał syna nisława. Ten prawowity dziedzic olbrzymich dóbr oddany był do Akademii kowskiej, a że „był swawolny i na wszystko złe rozpasany", stroskany ojciec bawił go spadku i jedyną spadkobierczynią czyniąc swą córkę Annę. isław uciekł do szkół w Kijowie, ale i tam mu się nie wiodło, więc przystał na bę do wojska moskiewskiego, ponieważ wiedział o swym wydziedziczeniu. niej jednak przystał do wojsk Stefana Batorego i wraz nimi wrócił do kraju. ˈadł w województwie witebskim, tam się ożenił z Elżbietą Woropajówną spłodził z nią syna Iwana i ten po śmierci ojca wszczął sprawę z kniaziami lskimi o zwrot, między innymi, Pietuchowa. Jednak nic nie wskórał, Dolscy nak uznając krzywdę Kłoczki wypłacili mu 5 tys. kup groszy litewskich. pierwszej połowie XVII w. w nieznanych bliżej okolicznościach Pietuchów lazł się w rękach Dorohostajskich, Zofia z Dorohostajskich Sapieżyna, nie jąc potomstwa sporządziła w 1649 r. akt darowizny na rzecz małżonka swego, ^nego, Tomasza Sapiehy, któremu w razie swojej śmierci zapisała cały swój dusz, a między innymi i Pietuchowo. Sukcesorowie Tomasza i Zofii Sapiehów "ielili się spadkiem w 1677 r. a także pieniędzmi ze sprzedanego Pietuchowa. wykluczone, że tym kupcem mógł był Stefan Kurcz, wojewoda brzesko- ski, gdyż w wykazie podymnego z pow. wołkowyskiego z 1690 r. czytamy: tacja wjp Kurczą wojewody brzeskiego z majętności Pietuchowa z bojarami, —teczkiem, z Żydami, karczmami, młynami -dymów 30".

W pierwszej połowie XVIII w. Pietuchów należał do Chłusowiczów

z Chłusowa. Jeden z nich, Michał w 1747 r. wystarał się u króla Augusta III o dwutygodniowe jarmarki w Pietuchowie: "August III, z Bożej łaski król Polski etc. odnajmujemy tym listem, przywilejem naszym komu o tym wiedzieć należy, iż przez panów rad i urzędników przy boku naszym rezydującym doniesiono nam suplika nomine urodzonego Michała z Chłusowa Chłusowicza, podkomorzego powiatu wołkowyskiego, żeśmy w dobrach Pietuchowo, w powiecie wołkowyskim leżącym, jarmark dwuniedzielnyto jest w dzień Michała Archanioła, w dzień 29 września przypadający, nadać i onże w tym miasteczku odpracować pozwolili i jako niniejszym listem przywilejem naszym ur. Chłusowiczowi, podkomorzemu I wołkowyskiemu... i ony handlujący(m) wszelkimi towarami ludziom odpracować I pozwalamy i tym przywilejem takowy jarmark... (bez przeszkody), innych I jarmarków w innych miasteczkach od nas nadanych koroborujemy, uwalniając ludzi handlujących od wszelkich niesłusznych depaktacji prawa nasze królewskie, Rzeczpospolitej i kościoła świętego, katolickiego (nie) naruszenie zachowując. Na co się dla większej wagi własną ręką podpisawszy, pieczęć 1 W. Ks. Lit. przycisnąć rozkazaliśmy Dan w Grodnie, dnia 20 miesiąca listopada j 1744 r." Od połowy XVIII w. Pietuchów przeszedł w posiadanie Jana Jerzego Fleminga, który też na cześć swej córki Izabeli, późniejszej Czartoryskiej, j przemianował miasteczko na Izabelin. Fleming sprowadził i osadził w Izabelinie rękodzielników niemieckich i jeszcze w okresie międzywojennym spotykało się tutaj nazwiska: Runie (bardzo liczna rodzina), Zommer, Schneider, Fuks, Wekwert, Szwant, Resz, Thumm.

W1775 r. właścicielami Izabelina byli już Grabowscy, gdyż w tym roku byli kolatorami miejscowej unickiej cerkwi. Chodzi tu o Jana Jerzego Grabowskiego, zmarłego w 1789 r., którego małżonka była metresą króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Po Grabowskich Izabelin przeszedł w posiadanie Strawińskich i pozostawał w ich władaniu aż do I wojny światowej.

Ciekawostką w tym miasteczku było istnienie przez czas dłuższy zboru ewangelicko-reformowanego. Kalwinizm w powiecie wołkowyskim popularny był wśród magnatów w XVI w. Istniały wówczas, wprawdzie krótko, zbory w Moczulnie, Swisłoczy i Hnieźnie. W Moczulnie istniał kiedyś jeden ze starszych kościołów w powiecie wołkowyskim. Fundował go Szczęsny Jarosław Hołowczyński w 1553 r. Z czasem właściciele Moczulna, Olędzcy, przeszli na kalwinizm i kościół zabrali na zbór. Później świątynia podupadła i służyła jako kaplica. Jako pamiątka po niej pozostała do dzisiaj tzw. Kalwińska Góra. W pierwszej połowie XVII w. w czasie, gdy Pakoszowie byli właścicielami Swisłoczy, istniał tam niewielki zbór kalwiński, który po wojnach *okiaupotopu* upadł.

Zbór izabeliński ostał się dłużej. Mamy o nim wiadomości z 1539 r. w liście Krzysztofa Olędzkiego z Moczulny, Jundziła i innych do Krzysztofa Radziwiłła. Pisze w nim: „Pietuchowo, 3.6.1639 r. Jasno wszystkim, że W. Ks. Mość w usłudze ojczyźnie przedniejszy, respekt mieć raczysz na chwałę Bożą, żeby żadnego determinantu nie ponosiła, ani kościół jego umniejszenia, przyznawszy to W. Ks. M. i udajemy się z uniżoną prośbą w potrzebie zboru Pietuchowskiego. Po prędkim bowiem, nad nadzieję, zejściu godnej pamięci J M P cześnika W. Ks. Lit. a patrona tutejszego zboru (Władysława Dorohostajskiego), który zostawszy w osieroceniu, a lubo to JP cześnikowa (Elżbieta z Pobereskich) została patronką

tego miejsca, jednak do protekty onego nie paczemy być doskonałą, dlatego wielceśmy byli ucieszeni, gdyby nam dostało było słyszeć, że się W. Ks. M. ozwać się był raczył protektorem onego, a że o niektórych przeciwne dochodzą nas słuchy, którzy by radzi widzieli dziedziczki, a przed nim patronem zborów, być do końca chciał, wiedzieć o tym miejscu i posłaniu przy nim będącego, bo gdyby, broń Boże, ustąpić ten zbór nam miał, znaczna ujma chwały Bożej i wielki ciężar na mil kilkanaście i dalej w inne powiaty dla nabożeństwa jeździć. Nie wątpimy o łasce W. Ks. M., że respektować na to dawszy uniżonej prośbie naszej miejsce, będziesz chciał i tą prowincję ochotnie na się przyjmiesz. Za co od Pana Najwyższego hojną i nieśmiertelną sławą zapłatę a od łudzi ustawiczną za długie, szczęśliwe W. Ks. M. panowanie odniósł bogomolstwo".

Władysław Dorohostajski, syn Krzysztofa i Zofii Radziwiłłówny, kształcił się w Lesznie (Kodeński nazywał go swoim uczniem). Był gorliwym kalwinem. Cześnikowa (Elżbieta z Podbereskich) już w 1639 r. wyszła za Teodora Tarnowskiego i przeszła na katolicyzm. Dochowany do dzisiaj budynek zboru kalwińskiego w Izabelinie a służący obecnym katolikom, został zbudowany przez Jana Jerzego Grabowskiego w 1778 r. Jest to budynek murowany z cegły w stylu przejściowym od baroku do klasycyzmu, zewnątrz tynkowany i bielony. Zbudowany na planie prostokąta z półokrągłą absydą. Sufit ma płaski, drewniany. Tuż za wejściem dwie masywne kolumny podtrzymują chór. Jak wiadomo, kalwinizm odrzucił autorytet papiestwa i związaną z nim, hierarchię kościelną, kult świętych i obrazów, instytucję zakonów i celibat księży. Decydujący głos obok pastorów mieli świeccy seniorzy, stąd częste, prawie codzienne, synody prowincjale, którym najczęściej przewodniczyli dyrektorzy świeccy. Wybudowanie nowego zboru w Izabelinie umożliwiło organizowanie synodów prowincjonalnych Jenoty Litewskiej w tym miasteczku. Odbyło się ich tutaj ogółem jedenaście, a mianowicie: w 1780, 1788, 1796, 1802, 1822, 1838, 1842, 1846,1850 ii 858 r.

Gdy na zjazdach delegatów nie dopisywała frekwencja, wówczas zamiast synodu odbywała się sesja prowincjonalna. Takie sesje odbyły się w Izabelinie wiatach 1808 i 1814. Izabelin był nawet siedzibą dystryktu. Takie dystrykty były I wówczas w Kiejdanach, Słucku, Izabelinie i Wilnie.

Jak wiemy, kościół ewangelicko-reformowany ikon nie toleruje, krzyża I jednak nie dyskryminuje. W 1822 r. ktoś za ołtarzem izabelińskim krzyż wyma- I lował. Sprawa oparła się o synod, który orzekł, że jest to powszechny znak I kościołów chrześcijańskich i usuwać go nie należy, ale gdyby chciano znowu I malować, to należy uzyskać zgodę synodu.

W Izabelinie urodził się Józef Biergiel (1805-1891) znany duchowny • **kalwiński.** Ojciec jego, Franciszek Biergiel, był katolikiem, matka zaś z Olędzkich, • **kalwinką.** Ojciec zgodził się wychowywać potomstwo w wyznaniu kalwińskim. J. I Biergiel był patriotą i kolekcjonerem, zgromadził pokaźną bibliotekę w Słucku.

W 1796 r. w całym powiecie wołkowyskim było 620 osób wyznania Łwangelicko-reformowanego. W 1809 r. przystępowało do komunii zaledwie 8 **I osób** i to przeważnie z tej samej rodziny. Zbór istniał więc tylko dzięki protekcji **Idb** zaspokojenia ambicji Grabowskich. Liczba ewangelików w Izabelinie **Kopniak.** Nawet owi rzemieślnicy osadzeni tutaj przez Fleminga stawali się

katolikami lub prawosławnymi, w zależności od tego z kim się żenili.

Przy rynku miasteczka stoi stara murowana cerkiew pochodząca z końca XVIII w. a przebudowana w latach 1863 i 1924. Zbudowana jest z cegły w kształcie wydłużonego prostokąta z przebudowanym w 1924 r. drewnianym gankiem. Od frontu ozdobiona jest wieżą o przekroju kwadratu, zakończoną charakterystyczną dla cerkwi kopułką. Boczne ściany są dekorowane pilastrami, między którymi są okna, po trzy z każdej strony budynku. W dolnej kondygnacji wieży murowane krzyżowe sklepienie. Sufit drewniany, belkowany. Dwie półściany spina ikonostas, za którym znajduje się pomieszczenie z dwoma oknami. W 1796 r. wspomniana była jako cerkiew lokacji Grabowskich, a zarządzający nią Paroch ze Sławicz, naprawiał budynki plebańskie.

Także przy rynku wznosi się do dzisiaj stara, murowana bożnica żydowska, sądząc po stylu, pochodząca również z XVIII w.

Izabelin do 1934 r. był miasteczkiem, obok Nowego Dworu w powiecie wołkowyskim, który nie miał katolickiego kościoła. Wzniósł go w tymże roku pierwszy proboszcz izabeliński, późniejszy pleban w Knyszynie, ks. Antoni Hermanowski. Wspomina on o tym następująco: „Ks. arcybiskup Jałbrzykowski spełnił obietnicę daną katolikom izabelińskim, a było to tak. W roku 1931 przejeżdżał on przez Izabelin do którejś parafii na wizytację. Katolicy izabelińscy zebrali się na ulicy, zatrzymali samochód arcybiskupa i usilnie prosili o księdza. Tłumaczyli, że w Izabelinie jest cerkiew, jest zbór kalwiński, jest synagoga, tylko oni, katolicy, nie mają księdza ani kościoła. Ks. arcybiskup przyrzekł, że w następnym roku da księdza, a jak zaczną budować kościół, to da im tysiąc złotych. Mnie pierwszemu wypadało jechać do Izabelina. Zastałem tam ubogo urządzoną kaplicę, w wynajętym pokoju pana Resza - luteranina. Dla mnie katolicy wynajęli mieszkanie w domu ciotki pastora, pani Smorodzkiej zagorzałej kalwinki, a do posługi dano mi starszą kobietę, prawosławną, na imię Prakseda (nazwiska nie pamiętam). Ekumenizm nadzwyczajny! - pokpiwali ze mnie sąsiedni księża. W 1934 r. mieliśmy już kościół. Przy budowie kościoła, trzeba przyznać, pomagali wszyscy mieszkańcy Izabelina i prawosławni, i ewangelicy, a nawet Żydzi przynosili ofiary, bo wzrosły dochody w ich nędznych sklepikach, ponieważ więcej katolików z sąsiednich wiosek przychodziło do Izabelina, by korzystać z kościoła (...) Kiedy już miałem kościół i plebanię, w 1936 r. urządziłem na św. Piotra i Pawła odpust w Izabelinie. 29 czerwca zjechało się moc ludzi. Może to odżyła tradycja jakichś dawnych targów, czy jarmarków izabelińskich. W tych nędznych sklepikach żydowskich wszystko wykupiono a sklepikarze nie byli na to przygotowani. Po odpuście przychodzi do mnie taki ważniejszy Żyd, nazywał się Pines, przynosi ofiarę, już nie pamiętam ile złotych, na kościół, prosi tylko abym nie zapisywał a potem mówi: - „Panie ksiądz, może by tak w ciągu roku ze trzy razy zrobić świętego Piotra i Pawła? Uśmiałem się z tej naiwnej kalkulacji. (...) 25 sierpnia zostałem wezwany do wojska, z obowiązkiem natychmiastowego stawienia się w 81 p.p. w Grodnie. Wyjechałem w nocy, nie przypuszczając, że już więcej do Izabelina nie powrócę. Po mnie przez 13 lat pracował w Izabelinie ś. p. ks. Michał Szymkowicz, były proboszcz z Podorosku.

Ten piękny kościół spłonął wraz z miasteczkiem w czasie działań wojennych w 1941 r. Katolicy, za zezwoleniem władz niemieckich, przejęli zbór kalwiński,

wyremontowali go, bo był również bardzo uszkodzony i dotychczas sami się w nim zbierają na wspólne modlitwy".

Jak wyglądał Izabelin w okresie międzywojennym? Tak oto opisuje go jeden z mieszkańców: „W miarę, jak zbliżamy się do miasteczka odróżniamy czerwone cegły domów, niewielkie okienka, a po chwili jesteśmy w Izabelinie. Miasteczko, o ile z daleka wygląda malowniczo, o tyle z bliska zwłaszcza w słotny dzień, bynajmniej nie nęci wzroku widza. Ładne nawet domy ukryte wśród zieleni płaczących brzóz i lip zgrzybiałych, tracą swój urok na tle szaro-żółtego błota, głębokiego czasem na pół metra. Na końcu Izabelina stoi szkoła, skromny budynek z czerwonej cegły, tak ukryty wśród drzew, że dopiero z bliska można odróżnić dom, ogrodzenie, piękne klomby w ogródku, ławeczkę. Idąc ulicą Wołkowyską, największą w Izabelinie, wychodzimy na rynek kwadratowy, gdzie się znajduje kilka żydowskich sklepów, cerkiew, kościół ewangelicki, oraz domki, w których się mieszczą poczta i kooperatywy. Na środku rynku stoi, ale nie od razu rzuca się w oczy, pomnik z napisem - „Niech żywi nie tracą nadziei. 3 maja 1919 r. (...)". Idąc dalej ulicą Piękną, którą zapewne nazwano dla kontrastu z rzeczywistym wyglądem, dochodzimy do mostu na rzeczce Chorużewce. Huk młotów świadczy o bliskości kuźni, toteż wkrótce napotykamy ich cały szereg, w niewielkich jedna od drugiej odległościach. Dalej skręcamy w ulicę Podoroską i oto koniec Izabelina".

Głos znad Niemna 10-16 kwietnia 1995 r.

r-Kr%emienica

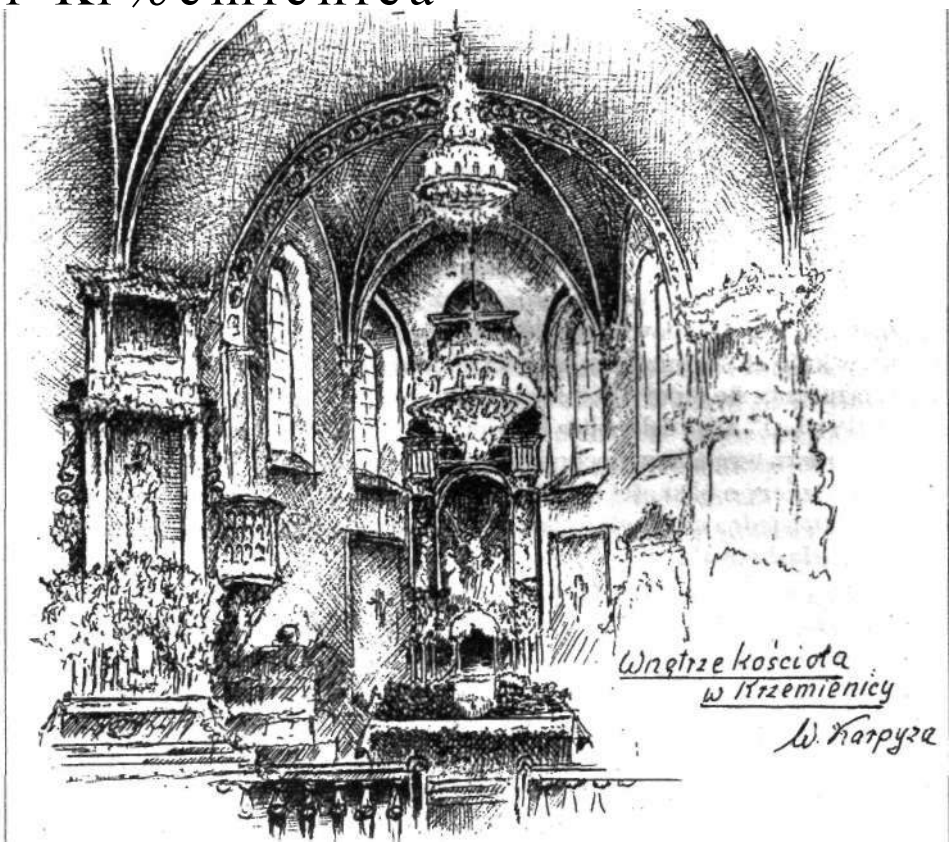

Wzmianki o Krzemienicy spotykamy już pod koniec XV w. Wśród ówczesnych właścicieli tych dóbr występują nazwiska: Jundziłłów, Ostrowskich i Komajewskich. Przyczyną jest to, że istnieją trzy Krzemienice: Kościelna, Górna i Dolna i to leżące w bezpośredniej od siebie odległości, a dokumenty wzmiankują o nich krótko - Krzemienicą. Wobec tego ograniczę się tylko do tych wiadomości, które dotyczą Krzemienicy Kościelnej.

W początku XVI w. któraś z Krzemienie była włością królewską, o czym należy sądzić z tego, że Zygmunt I Stary, pod datą 18 czerwca 1528 r. zapisał kościołowi wołkowyskiemu dziesięciny z Krzemienicy. Każdego roku wysyłano stąd do Wołkowyska: 20 beczek żyta, 14 beczek jęczmienia, 12 beczek gryki. Gdy Krzemienicą przeszła następnie we władanie Wolskich i Wiesiołowskich, wysyłania dziesięcin zaniechano, o co przez długie lata procesowali się księża wołkowyscy.

Pierwszym bezspornym właścicielem tej włości był ród Klauzucia i jego synów: Raczka i Jundziłła. W połowie XV w. część Krzemienicy należała do Raczka i jego następców, gdyż wnuk jego Mikołaj, starosta dubicki i koniawski,

kuchmistrz Wielkiej Księżny Heleny, żony króla Aleksandra Jagiellończyka, „zeznał wraz z bratem przed Aleksandrem Jagiellończykiem w 1489 r., że za dziada jego Raczka ojciec Jundziłł dokupił różne ziemie do dóbr swoich, Krzemienicy w powiecie wołkowyskim, i prosili króla o potwierdzenie tego kupna, co też uzyskali" (Boniecki, *Herbarz Polski).* Rozdrobnione części Krzemienicy utrzymują się przez czas dłuższy w rękach potomków Klauzucia: Raczków, Szemetów, Jundziłłów. Jedna z gałęzi tego rodu przyjęła nazwę Bakałarowiczów.

Mikołaj Bakałarowicz, żonaty z Katarzyną Wołłowiczówną, zmarł młodo pozostawiając w spadku Białystok, Szydłowice i Dowspudę. Wdowa po nim wyszła powtórnie za mąż za Piotra Wiesiołowskiego, o którym na nagrobku w jednym z kościołów wileńskich był napis: „Tu pogrzebiony Piotr Wiesiołowski, oboźny, starosta mścibowski, mateński, mąż wieloma cnotami sławny, lecz najbardziej nadzwyczajną swoją siłą. Piszą, że siedząc na koniu, płatwy się ujawszy, podnosił go od ziemi, rozpędzone powozy wstrzymywał, żubra, który co nie uderzył na Zygmunta Augusta, na oszczepie osadził. Miły też był Zygmuntowi Staremu i jego następcy. Od roku pogrzebania 1556 leżał pod ołtarzem bez nagrobku, dopiero w 1634 r. Krzysztof i Mikołaj Wiesiołowscy, wnuki jego, uczynili mu tę pamiątkę" (J.I.Kraszewski, *Wilno,* t. 2).

Katarzyna z Wołłowiczów Bakałarowiczowa, późniejsza Wolska, wydała swą jedyną córkę Elżbietę, za Mikołaja Wolskiego, starostę ożskiego i przełomskiego i w ten sposób dobra krzemienickie, Szydłowice i Dowspuda przeszły w dom Wolskich.

Syn ich - „Krzysztof Wolski na Krzemienicy, podstoli Wielkiego Ks. Litewskiego, ciwun z Ziemi Żmudzkiej, pojurski" - to ten sam, który z żoną „kasztelanową Wolską, podstoliną Wielkiego Ks. Litewskiego, ciwunową w Ziemi Żmudzkiej, pojurską, Barbarą, podkomorzanką wileńską, starościną dyamińską i nowomłyńską", fundowali kościół w Szydłowicach. Tytuły fundatorów zaczerpnąłem^ akt kościelnych Szydłowicach.

Krzysztof Wolski zmarł bezpotomnie po 1600 r. Krzemienicą przeszła na krewnych ze starszej linii, na Mikołaja Wolskiego, kasztelana witebskiego, marszałka wołkowyskiego. On to wspólnie z żoną, Barbarą z Woynów, sprowadzili z Krakowa zakon kanoników laterańskich i zbudowali dla nich w 1617 r. klasztor i kościół w Krzemienicy pod wezwaniem Bożego Ciała, uposażając go dobrami w Kwaterach i Marcinkowszczyźnie. Jako pamiątka po fundatorach pozostał do dzisiaj kościół, a w nim poświęcony im nagrobek z czarnego marmuru, przedstawiający klęczące postacie Wolskich z łacińskim napisem, którego tłumaczenie podaję:

„I.D. Mikołaj Wolski. Zmarł w roku 1621,17 V przeżywszy lat 37, którego ziemia włoska znała i germańska sprzyjała. O biedo, który młodzieńcem jeszcze będąc, śmierć wyrwała i świątyni tej pierwszy fundator i zakonu tego sława, a także królestwa i świata niemała. Gloria, który ledwie czterdzieści przeżył lat. Tak toczył się los człowieka. Kazimierz, jedyny syn, ze łzami położył".

A także:

„I.D. Barbara Woynianka Wolska. Zmarła 1623,17 V, przeżywszy lat 40"

Nagrobek ten widziałem i sfotografowałem w 1973 r. Napis łaciński tłumaczył ówczesny ksiądz proboszcz - Stanisław Pietrasz.

Pogrzeb odbył się z pompą i barokową wystawą. Kazanie pogrzebowe miał pierwszy przełożony tego klasztoru, Jan Chryzostom Korsak. Kazanie to, typowe dla owych czasów, przechowało się do dzisiaj w druku (k. Estreicher, *Bibliografia Polska,* t. 19, s. 103). Niewiele z tego kazania można się dowiedzieć, może tylko tyle, że Wolski odprawiał częste pielgrzymki do Częstochowy. A zaczyna się to kazanie od słów: „Umarł pan witebski, nie umarł a żyje, żyje po śmierci, bo dobrze żył, póki był żywy".

Po Mikołaju Krzemienice dziedziczył jedyny syn jego - Kazimierz.

Działalność klasztoru krzemienickiego Mikołaj Wolski wspierał swoistymi metodami. Według legendy, zalecił, aby każdy gospodarz z jego włości w każdą niedzielę i święto był w kościele pod groźbą utraty jednego wołu na rzecz klasztoru. Z czasem, gdy Krzemienicą przeszła na własność zakonu Brygidek w Grodnie, zwyczaj ten ustał.

Hojność Wolskich, liczne ich podróże, życie ponad stan - spowodowały, że majątek Krzemienicą był bardzo zadłużony i praktycznie za Kazimierza Wolskiego, był w posiadaniu kredytorów. Musiano więc go sprzedać.

Od Kazimierza i Reginy (z Ratomskich) Wolskich Krzemienice, wraz z obciążającymi ją długami, które spłaciła, nabyła 17 sierpnia 1641 r. Aleksandra Wiesiołowska, żona Krzysztofa Wiesiołowskiego, właściciela Białegostoku, tego samego, który fundował w Tykocinie szpital żołnierski („alumnat dla inwalidów") oraz liczne kościoły, jak w Łunnie i Kwasówce. W 1643 r. założył także wspólnie z żoną klasztor Brygidek w Grodnie. Dobra krzemienieckie i szydłowickie poszły na uposażenie tego zakonu. Po kanonikach laterańskich dotrwał do dzisiaj tylko kościół, zresztą zupełnie zaniedbany. Jest to budowla murowana z cegły, o wnętrzu halowym z gwieździstymi sklepieniami, prostokątna w planie, bez wieży. W końcu XVIII w. dobudowany został babiniec. Budynków klasztornych już nie ma. Mamy wiadomość, że w 1914 r. stał jeszcze w dość dobrym stanie jeden z poklasztortiych domów „z dwiema basztami narożnymi o pięciu bokach i łamanymi nad nimi dachach" (Ks. W. Tołłoczko, *Wiadomości o farze wołkowyskiej w „Dwutygodniku Diecezjalnym Wileńskiem"* nr 10/1913).

Stały te budynki jeszcze tuż przed drugą wojną światową, ale w bardzo opłakanym stanie. Czasopismo *Ziemia Lidzka* w numerze 1 z 1939 r. w notatce *Klasztor w Krzemienicy* biło na alarm:

„Jeśli do wiosny klasztor nie zostanie należycie odremontowany, to ulegnie zupełnemu zniszczeniu. Obecnie tylko jedna izba klasztoru jest zamieszkała. Mieszka zakrystian kościelny. Na korytarzu składa się drzewo na opał. Spór od lat między parafią a rządem o własność budynku. Ksiądz chce odnowić i urządzić ochronkę dla dzieci. Drugi piętrowy budynek tegoż klasztoru odremontowano i teraz się w nim mieści szkoła powszechna i urząd gmin".

Klasztor w czasie wojen XVII w. znacznie ucierpiał, tak że musiał być przez biskupa Dowgiałłę Zawiszę na nowo poświęcony, ale już późniejsza wizytacja biskupa odnotowała, że „wszystko tutaj wzorowe". Kościół remontowano jeszcze w 1929 r.

W pobliżu kościoła, po drugiej stronie ulicy, znajduje się położony na skłonie pagórka cmentarz, przypominający swym położeniem wileński cmentarz na Rossie. Na tym cmentarzu, na górce, stoi kaplica pod wezwaniem św. Rocha,

przypominająca mauzoleum, w której corocznie w dniu św. Jerzego odprawiane są uroczyste nabożeństwa, połączone z tłumnym zjazdem wiernych.

Wolscy, fundując klasztor, przekazali zakonnikom także prowadzenie parafii. Liczba zakonników była płynna. W dniu kasacji zakonu, to jest w 1832 r., było ich ośmiu. Zakonnicy zajmowali się duszpasterstwem, gospodarstwem w swoich majątkach, a mieli oni w 1690 r. „w Marcinowiczach z karczmą dymów 20, zaś w Kwaterach z karczmą i młynem dymów 11" (S. Krakowski, *Wykaz podatku podymnego powiatu wołkowyskiego w r. 1690,* Wilno 1939, s. 6). Wypożyczali też pod zastaw pieniądze. Na przykład w 1680 r. wypożyczyli Kazimierzowi Sapieże 1000 zł pod zastaw części starostwa wołpiańskiego, a mianowicie wsi Kołodzieżno. Opiekowali się szpitalem dla starców, hojnie uposażonym przez Aleksandrę z Sobieskich Wiesiołowską i kniazia Antoniego Drucko Sokolińskiego z pobliskich Mosiewicz. Szpital (rodzaj przytułku) stał na gruncie brygidek i podlegał ich zwierzchnictwu. Średnio w szpitalu przebywało siedem osób.

Zakonnicy krzemieniccy mieli renomę dobrych kaznodziejów. W roku 1914 ks. Tołłoczko, wikary z Wołkowyska, oglądał jeszcze zachowany w zakrystii egzemplarz, pochodzący z biblioteki zakonu w Krzemienicy, ozdobny, w skórzanej oprawie, zawierający zbiór kazań. Były też tam różne przedślubne i pogrzebowe mowy, oracje wygłaszane na tak zwanych „akademiach klasztornych" i różne rozważania filozoficzne. Najstarszy rękopis w tym tomie pochodził z 1691 r.

Przy kościele funkcjonowała szkółka parafialna, znana już w 1645 r., gdyż Wiesiołowska w swoim testamencie, zapisując po 50 zł na każdego zakonnika, nie zapomniała też o „żakach", zapisując im również taką samą kwotę. Liczba uczniów w tej szkole w różnych latach wahała się od 5 do 40. Owa czterdziestka uczyła się w 1838 r., przy czym odnotowano, że „wszyscy, z wyjątkiem jednego Żyda, katolicy". Najmniej, bo tylko 5, do tej szkółki uczęszczało w 1913 r. W 1780 r. było ich 14.

Prowadzono też szkółkę dla młodzieży zakonnej. Na początku XIX w. uczyło się w niej teologii moralnej 3 uczniów. Kurs był trzyletni. W tymże czasie biblioteka zakonna liczyła 512 tomów, ale w chwili kasacji zakonu już 1435.

Sama Krzemienicą, jak wynika z poprzednich rozważań, do kanoników laterańskich nie należała i była od 1643 r. własnością Zakonu Brygidek w Grodnie. Zakon ten posiadał na terenie powiatu wołkowyskiego olbrzymie dobra. Obejmowały one prawie cały obszar parafii szydłowickej i większą część parafii krzemienickiej. Według spisu podymnego powiatu wołkowyskiego z 1690 r., opłacały one podatek „z majętności Krzemienicą z folwarkiem Kniazikowszczyzną, z karczem dwóch i młynów dwóch, ogółem z chłopskich za dymów 82 a z majętności Szydłowie, ogółem chłopskich dymów 20". Toteż wzmiankowany wyżej szpital, mimo że był pod pewną opieką kanoników, był własnością brygidek, stał na ich gruncie i był przez nie utrzymywany. Brygidki potrafiły wytargować czasem i inne przywileje. Tak na przykład w 1661 r. uwolnione zostały ich majątki od leż żołnierskich.

„Aby pod żadne inne prawa tylko pod ziemskie, jakie dotąd dobra zostawały. I nigdy wielmożni Hetmanowie i Regimentarze nasi stancji i chlebów naznaczać nie będą, ani chorągwi żadnej stanowisk i noclegów opracować nie powinny". *(Volumina Legum,* t. IV, s. 379)

Posiadłości brygidek w parafii krzemienickiej sięgały rzeki Zelwianki i obejmowały dobra kniazikowskie. W październiku 1753 r. nastąpiło porozumienie między Michałem Sapiehą a ksienią Teresą Emerychówną w sprawie budowy grobli przez dobra kniazikowskie, kędy prowadziła droga łącząca dobra sapieżyńskie, Zelwę z Dereczynem.

„Grobla ta miała w znacznej części prowadzić przez dobra do dóbr kniazikowskich należące a pozostające w posesji panien brygidek grodzieńskich. W porozumieniu się z konwentem, uważając wygodę folwarku i poddanych wsi Samorowicz i dworu klasztornego kniazikowskiego - przez błota klasztorne rowy kopać, groblę sypać i gościniec przez grunty klasztorne wytknąć podkanclerzemu dozwoliła z warunkiem, iż klasztor i jego poddani do żadnego ekspensu pociągani być nie mają, prócz podwód z Kniazikowszczyzny i Krzemienicy dóbr konwentu panien brygidek grodzieńskich a te na dowożenie chrustu i faszyny. Chrust zaś z dóbr dereczyńskich wydzielany i miejsce rąbania tegoż być ma". *(Sapiehowie - materiały historyczno-genealogiczne,* s. 312).

Folwarkami brygidki oczywiście same nie administrowały, a funkcję tę powierzały specjalnym administratorom. Powinności chłopskie z owych czasów są ogólnie znane. Ale u brygidek, oprócz tego, chłopi musieli przygotować drzewo, dowozić do rzeki, wiązać w tratwy i spławiać do Mostów albo do Grodna na potrzeby klasztoru. Zimą przędzono dla klasztoru wełnę i len. Były też szarwarki (naprawa dróg, mostów, kanałów, remont młynów i chat folwarcznych). Nie można też było bez wiedzy ekonomów trzebić nieużytków, korzystać z lasów. Zabraniano sprzedawać cudzym wsiom wołów, pożyczać chleb u sąsiednich panów, wydawać panien poza majątek za mąż i wydawać im posag, dzielić między siebie ziemię. Zdarzały się też ucieczki poddanych. Uciekali najczęściej grupami. Znane są takie wypadki w Krzemienicy, Szydłowicach, w Zadworzu i Lichiniczach. W 1762 r. uciekło do majątku trockiego, podkomorzego Andrzeja Ukolskiego, 9 chłopów. Nowy właściciel chłopów załatwił sprawę polubownie wpłacając brygidkom 1 300 zł. Najwięcej ucieczek miało miejsce w latach sześćdziesiątych XVIII w. Uciekali wtedy: Józef Kardziej oraz bracia: Piotr, Szymon, Michał Haponowicze i osiedlili się w Choroszkowszczyźnie Grabowskich (obecnie Teolin). Klasztor oczywiście obwinił administratora, Narkiewicza, że dopuścił do buntu chłopów. Nie pozostało tu również bez echa i powstanie styczniowe.

„Ks. Józef Minczewski nakazem z 27.07.1863 r. został aresztowany pod zarzutem współdziałania z powstaniem. Sąd skazał 51 - letniego wówczas księdza za utrzymywanie stosunków z powstańcami, parokrotne przyjmowanie ich u siebie, goszczenie, dostarczanie im produktów i broni; jako człowiek wykształcony i mający wpływ na innych, mimo że się wypierał zarzutów, został pozbawiony godności duchownych, wszystkich praw stanu i zesłany do robót katorżniczych na 12 lat. Wyrok później złagodzono do lat 4, osiedlono w guberni tomskiej. W 1883 r. cesarz zezwolił mu na powrót do guberni grodzieńskiej. Miał wtedy lat 71". (P.Kubicki, *Bojownicy kapłani,* t.II, cz.2, s. 668).

W parę miesięcy później został aresztowany i wikary parafii, ks. Kazimierz Kozłowski, za współudział w powstaniu i odbiciu rekrutów w powiecie trockim. W 1920 r. zaistniał na terenie parafii krzemienickiej ciekawy wypadek

zachowania się ludności katolickiej w wojnie polsko-bolszewickiej. Wydarzenie to podaję na podstawie listów ks. Albina Horby (archiwum autora). Otóż, z inicjatywy pani Wolskiej, żony aptekarza z Wołkowyska, zorganizowano w Krzemienicy polską organizację wywiadowczą, zwaną przez bolszewików „Polskaja Biełogwardzijskaja Szpijonnaja Organizacja". Zebranie organizacyjne odbyło się w Krzemienicy, u ks. proboszcza Klema, który specjalnie na ten cel miał użyczyć piwnicy. Aktywny również udział w tym zebraniu miał wziąć miejscowy organista, Pieniuta. Ksiądz ofiarował na ten cel 700 marek. Kontrwywiad jednak działał. U Wolskiej w Wołkowysku zjawiło się trzech mężczyzn ubranych po cywilnemu (dwaj rzekomo polscy oficerowie i jeden Anglik). Podali, że ich zadaniem jest organizowanie partyzantki na tyłach armii radzieckiej. Mieli jakoby przygotowaną broń i pieniądze, ale brakowało ludzi. Wolska im uwierzyła. Postanowiono pojechać do Krzemienicy. Ksiądz Kłem także uwierzył i listę należących do organizacji wydano.

Natychmiast nastąpiły aresztowania, którym uległo ponad 40 osób - w tym ksiądz Kłem, wójt Busłowicz i organista Pieniuta. Po kilku dniach odbył się w Wołkowysku sąd. Sprowadzono świadków, a między innymi i gospodynię księdza, Agatę Adamowicz, która była świadkiem przyjazdu dwóch mężczyzn i Wolskiej. Ponieważ wojsko polskie już się przybliżało, więc więźniów wywieziono do Nieświeża i tam wydano wyroki śmierci na ks. Klema, Wolską i pewnego obywatela z okolic Porozowa (z innych źródeł wiadomo, że był to Kacper Wysocki z Walickowszczyzny). Wyrok wykonano pod Stołpcami.

Na wiosnę 1921 r. dzieci ze wsi Howiezna (15 km od Nieświeża) pasły krowy. Trupy zakopane były płytko. Krowy je wyczuły i zaczęły podobno ryczeć i kopać racicami ziemię. Dzieci się tym zainteresowały i spostrzegły wystającą z ziemi rękę. Dano znać na policję, która stwierdziła, że były to zwłoki ks. Klema i towarzyszy. Ksiądz Horba pisze:

„10 października 1921 r. wyznaczono mnie na probostwo do Krzemienicy i ks. dziekan Nikodem Tarasewicz polecił mnie, abym zwłoki księdza Klema sprowadził do Krzemienicy. Pojechali ze mną żona zamordowanego ziemianina (p. Wysocka) i jeden z gospodarzy - Aleksander Dauksza ze wsi Wejszyce. Ostatecznie księdza Klema pochowano w Krzemienicy, obywatela ziemskiego zabrano do Porozowa, a zwłoki Wolskiej rodzina zabrała do Stołpców. Pogrzeb w Krzemienicy odbył się we czwartek po Zielonych Świątkach, przy udziale władz i wojska".

Resztę aresztowanych w dniach 8-9 września 1920 r. uwięziono w Wołowysku, a następnie wywieziono do Nieświeża, gdzie sąd wojskowy XVI Armii skazał w dniu 30 września na zesłanie na czas wojny do Szedryńska w guberni permskiej w Zachodniej Syberii. Maria Sadowska, Kazimierz Wierzbowski i Tadeusz Kołosowski zmarli na wygnaniu. Podobny los prawdopodobnie spotkał Wiktorię Szulcową, którą ze względu na zdrowie skierowano do szpitala. Losy jej nie są znane. Na terenie gminy krzemienickiej w dwadzieścia lat później, miał miejsce inny tragiczny wypadek. Zanotował to Zajdler-Żarski następująco:

„Następnym aktem terroru było spalenie wsi Szaulicze, gminy Krzemienicą, wraz z jej mieszkańcami. Miało to miejsce w końcu sierpnia 1943 r. W Zamkowym Lesie został zabity powiatowy lekarz niemiecki, Berg, członek partii hitlerowskiej. Zabójstwo to było dziełem partyzantki radzieckiej, która przedzierała się przez

ten las w kierunku rzeki Zełwianki. Ściągnięto oddziały żandarmerii i SS z sąsiednich powiatów. Wieczorem Szaulicze i pobliskie osady otoczono, nikt nie przeczuwał nadchodzącej tragedii. Wszyscy byli przekonani, że samochody i uzbrojeni po zęby żołnierze są przeznaczeni do tropienia radzieckiej partyzantki. Rano dnia następnego Niemcy przystąpili do akcji, spędzając ludność do budynku szkolnego. Tutaj oddzielono mężczyzn i kazano im kopać doły tuż za wsią. Po wykopaniu rowu wszystkich rozstrzelano, a wieś spalono...) Zginęło wówczas około 250 osób. Tylko dwie młode osoby uniknęły śmierci: jedna dziewczyna i jeden chłopiec, a to tylko dlatego, że w tym czasie przebywali u swoich krewnych w innych okolicach powiatu wołkowyskiego". (Władysław Zajdler-Żarski, *Ruch oporu w latach 1939-1944 na Białostocczyźnie. Referat materiałowy wydany naprawach rękopisu*. Cz. III, s. 324).

Po roku 1863 Krzemienicą Kościelna została zakupiona przez rodzinę Żurowych, ale w okresie międzywojennym była własnością państwową i obejmowała 483 ha *(„BiałostockiDziennik Urzędowy"* cz. III, s. 324).

Po pierwszej wojnie światowej gminę krzemienicką nawiedziła epidemia tyfusu. „Wypadało dziennie wyjeżdżać 25 razy do chorych - wspomina ks. Horba. W ciągu roku w parafii zmarło około 800osób".

W okresie międzywojennym życie w tej małej miejscowości, podniesionej do rangi siedziby gminy, toczyło się niemal familijnie, między kościołem, szkołą, pocztą a gminą. Młody sekretarz gminy, Wiktor Rygorowicz, tak to w paru słowach wspomina:

„Gmina krzemienicką liczyła wówczas około 13 tysięcy mieszkańców, wyłącznie katolików, a urząd gminy mieścił się w budynku poklasztornym we wsi Krzemienicą Kościelna na pierwszym piętrze. Na miejscu był kościół, poczta, szkoła, posterunek policji i jeden sklep. Wójtem gminy był początkowo Adam Klincewicz a później Adam Piotrowski. W urzędzie gminy krzemienickiej pracował wówczas z wyboru, w charakterze podwójciego, starszy wiekiem gospodarz ze wsi Samorowicze, nazwiska nie pamiętam, który zastępował wójta w czasie jego nieobecności. Był on analfabetą, ale mógł się podpisywać. Pewnego dnia w rozmowie z pracownikami prosił nas, abyśmy pilnie wykonywali swe zadania w pracy a gdzie będzie potrzebny jego podpis, podpisze się... I Stołowałem się u państwa Pieniutów, których syn pracował w miejscowym kościele jako organista. Pan Bronisław Pieniuta był kaleką, nie miał lewej ręki i zawsze nosił pelerynę. W domu Pieniutów był fortepian i kilka instrumentów strunowych. Pieniutowie mieszkali w klasztornym budynku, ale na parterze. Na fortepianie grał p. Pieniuta a na innych instrumentach siostry. W niedzielę i święta zbierało się towarzystwo liczniejsze".

-1

Źródła i opracowania:

1. J. Glinka, *RódKlauzucia*. „Studia Zródłoznawcze", t. V.
2. Listy ks. A. Horby (w posiadaniu autora niniejszego artykułu).
3. *Woluminalegum,* tom IV, s. 379.
4. *Zbiórprocesów i replik sądowych,* tom 4, dok. 43, Biblioteka Jagiellońska, sygn. **14633. III.**

Łunna

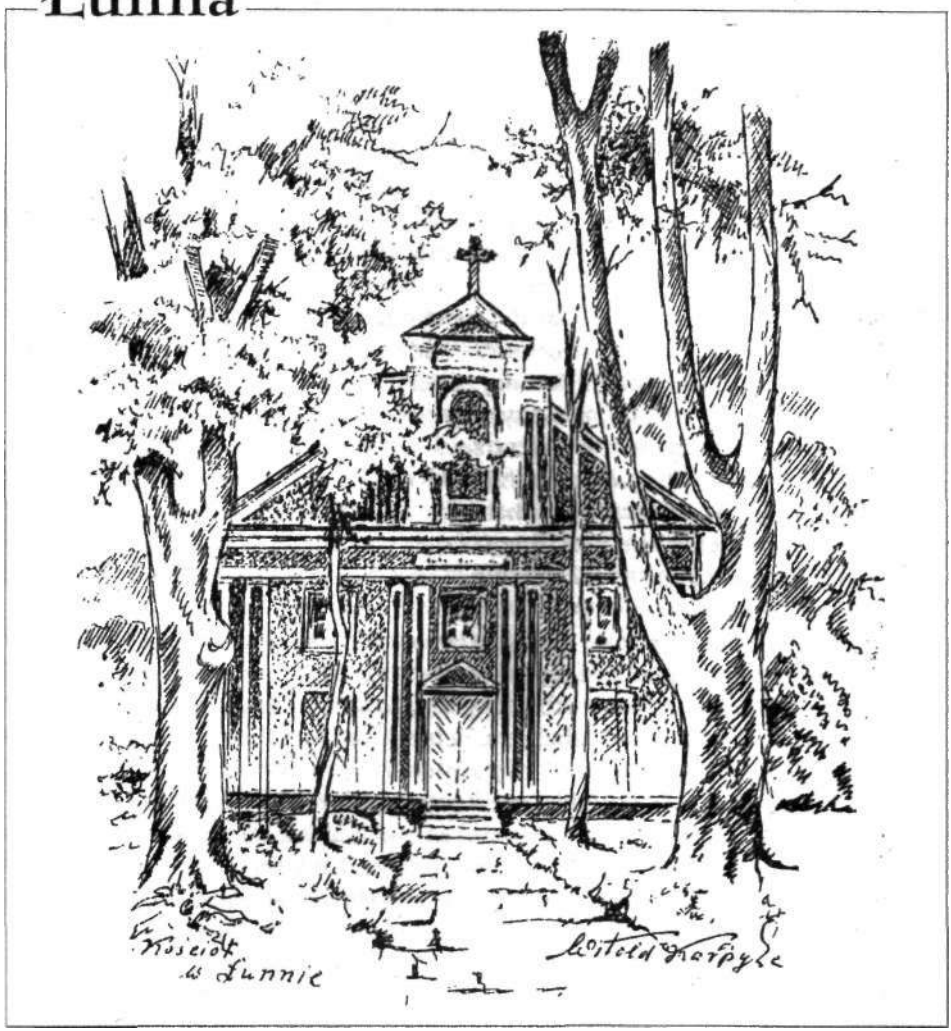

Pisząc o Łunnie nie sposób ominąć wspomnień Elizy Orzeszkowej, która tutaj przebywała przez kilka letnich tygodni 1902 r.

„Łunna jest wsią - pisze w liście do Skirmuntta - bez szczególnej malowniczości, ale ma piękne pola, piękne łąki, duży ogród i prawdziwe, wspaniałe, stare zadrzewienie dworu. Są tu szczególnie akacje tak potężne, jakich w klimacie naszym nie widziałam i bardzo piękne, odwieczne lipy. Wszystko to, pomimo deszczów i chłodów, w momentach rozpogodzeń się nieba sprawia mi wiele przyjemności. Jest blisko kościółek niewielki, ładnie zbudowany i gustownie urządzony, który każdego ranka, południa i wieczora prześlicznie dzwoni na Anioł Pański. Nie umiem powiedzieć, jak dziwne wrażenie sprawia na mnie odgłos tego dzwonu, coś jakby wołanie ku górze, jakby rozsypujące się

w powietrzu tony muzyczne... Co do ludzi, to oprócz właścicielki domu, w którym z Marylą Obrębską przebywamy, mamy bliską sąsiadkę, właścicielkę Łunny, p. Romerową, dość młodą jeszcze, miłą i smutną, z którą nawiązaliśmy stosunek uprzejmy i przyjemny. Jest smutna, bo przed dwoma niespełna laty straciła w jednym roku męża i syna a drugi syn, mały, jest już zagrożony suchotami, które zabrały tamtego. Sama chora, samotna, bardzo łagodna i prosta, ma w sobie pani Romerową coś rozrzewniającego i swoją dolą coś pociągającego. Mam też tu proboszcza, mało wykształconego, ale niezmiernie zacnego człowieka, ogromnie oddanego pracy około oświecenia i umoralnienia ludu i doktora, który co chwila przywodzi na pamięć Balzakowskiego *Medecin devillage (Listy Elizy Orzeszkowej,* t. IX, s. 265).

Pierwsza wzmianka o Łunnie pochodzi z 1513 r. Kniaź Konstanty Kruszyński otrzymał w 1505 r. od króla Aleksandra Jagiellończyka dwór nad Niemnem, Dubno, jako rekompensatę za utracone na rzecz Moskwy dobra, do czasu aż je odzyska, a wybudowawszy na pustkowiach dworzec Łunna, zapisem swym z 1513 r., uposażył nim jedną z trzech swoich córek, Annę, którą wydał za Janusza Bohdanowicza Sapiehę. Po śmierci Kruszyńskiego wdowa po nim, chcąc się zabezpieczyć przed grabieżą chciwych sąsiadów, Paców i Holszańskich, oddała się pod opiekę królowej Bony, za co po śmierci Kruszyńskiej Dubno z przyległościami miało przypaść opiekunce, z wyjątkiem dóbr, jakimi Kruszyńscy uposażyli już swoje córki.

Bona solidnie zajęła się zagospodarowywaniem ofiarowanych dóbr. Jej namiestnik, Jerzy Zelepucha, z jej polecenia założył nad rzeką Łunną, w 1531 r. „miasto" Łunnę, gdzie Bona w 1546 r. zbudowała kościół. Spowodowało to protest Sapiehów, którzy twierdzili, że Zelepucha osadził miasto „na własnym ich gruncie". Wobec czego, Bona do wyjaśnienia tej sprawy wyznaczyła specjalną komisję, która dobra rozgraniczyła, przyznając „miasto" królowej. W ten sposób istniały obok siebie dwie Łunny: królewska i sapeżyńska, zapewne Łunna-Wola, będąca obecnie przedmieściem Łunny. Łunna królewska, pozostająca pod możną opieką rozwijała się spokojnie stając się miasteczkiem, natomiast druga, sapieżyńska, obejmująca również dobra Czerlonę, była miejscem częstych rodzinnych zatargów, szczególnie między spadkobiercami. Nie obeszło się bez gróźb, zajazdów a nawet morderstw.

Na przykład, wdowa po Stefanie Sapieże, Bohdana Juriewna, po pierwszym mężu Mackiewiczowa, zapisała 1/3 część Łunny starej synowi swojemu z pierwszego małżeństwa, Andrzejowi Mackiewiczowi, ale i teraz nie było spokoju. W 1565 r. prosił on króla w Parczewie, aby król polecił dworzaninowi swemu, Borysowi Wołłowiczowi „wwiązać" starym dworem łunieńskim, nieprawnie zagarniętym przez Michała Sapiehę, wojewodę podlaskiego, aby ten nie ważył się wstępować w ten majątek „pod zaruką" 500 kop groszy, ale on, Mackiewicz, mimo tego wwiązania, boi się zajazdu i prosi oddanie go w opiekę zarządzającego sąsiednim dworem hospodarskim, Wołpą, a to do czasu aż „sprawa o gwałty, boje i hołowszczyzny", dokonane w tym majątku przez Michała i Pawła Sapiehów, wyjaśniona zostanie. Król na to zezwolił i rządca hospodarski w Wołpie osadził swego „uratnika", Matysa Mikołajewicza, lecz Michał Sapieha nie zważając na „zaruki" hospodarskie, nasłał tłum ludzi pod przewodnictwem Kaspra Nowosielskiego,

zarządzającego sąsiednim majątkiem Pawła Sapiehy, Czerlony... Tłum ten napadł na stary dwór Łunna, Matysa Mikołajewicza mało nie zabił, który ledwie umknął. Tłum jednak dostatki zniszczył i rozgrabił, chłopów mordował i wiązał i do Czerlony odesłał, poczem dwór Łunnę wziął w posiadanie. Spór jednak nie wygasł. W 1567 r. dwór ponownie najechano, poraniono ludzi, dwóch poważnie a ciała ich wrzucili do Niemna.
{Sapiehowie - materiały historyczno-geneologiczne, 1.1, s. 82).

Jak już wspomniałem, kościół w Łunnie fundowała królowa Bona, ale już dawniej, nad samym Niemnem stał kościółek filialny pod zarządem księdza Andrzeja Czarnkowskiego, plebana wołpiańskiego, lecz królowa Bona, chcąc do lepszego stanu przywrócić kościół, w majętności swej w Łunnie, nadała kościołowi trzy włóki ziemi i zbudowała w 1546 r. i powołała do życia parafię katolicką. Początkowo kościół ten był filią kościoła wołpiańskiego, ale później osiadł tutaj już kapłan stały. Wizyta biskupia kościołów *po potopie* (1655-1661) znalazła tutaj „Kościół wspaniały, wymurowany, naprawiony. Ksiądz Bartłomiej Niewiski. Pobierzmowano 96 osób". Trudno dociec, czy był to jeszcze kościół fundowany przez Bonę? W 1785 r. król Stanisław August Poniatowski wymurował kościół nowy, który w 1895 r. został przebudowany przez księdza Antoniego Dolinkiewicza przy pomocy księcia Drucko-Lubeckiego i parafian. Przybudowano wówczas prezbiterium i podwyższono budowlę.

Legenda o Bonie jest tutaj żywa. Pani Łucja Cwynar, która z miłością pielęgnuje kwiatki wokół kościoła opowiada, że królowa Bona był pobożna i będąc w okolicy zajeżdżała do łunieńskiego kościoła, aby się pomodlić. Z pierwszego kościoła Bony, a raczej z jego fundamentów zachował się okazały głaz z czerwonego granitu, który jest otoczony kwiecistym, pielęgnowanym klombem.

Kościół obecny pod wezwaniem św. Anny, położony w centrum miasteczka, zbudowany jest z cegły na planie prostokąta z pięcioboczną absydą. Ściany zewnętrzne wyłożone kamieniami polnymi, zaś listwy i naroża bielone. Całość imituje pobożny klasycyzm. Wewnątrz znajduje się epitafium: „Pamięci księżny Marii z Szemiotów Drucko-Lubeckiej, urodzonej 2 lipca 1833 r. zmarłej 6 grudnia 1897 r. Od włościan parafii łunieńskiej z wdzięczności za odnowienie lego kościoła i inne rozliczne dobrodziejstwa". Są epitafia i inne, poświęcone pamięci: Niemcewiczów, Czechowskich, Romerów, Kamieńskich, Eysmontów, Woyczyńskich, Zwierowiczów.

Wnętrze kościoła, podzielone kolumienkami na trzy nawy, gdzie nawa centralna przykryta jest drewnianym, cylindrycznym sklepieniem, robi przyjemne i swojskie wrażenie. Jest też tutaj siedem ołtarzy. Uroku kościołowi dodaje • kwiecony cmentarz przykościelny, co już jest zasługą obecnego proboszcza fcinieńskiego ks. Łucjana Radomskiego oraz wspomnianej wyżej pani Cwynar.

W przeszłości przy kościele istniała skromna szkółka parafialna, licząca w różnych latach od 5 do 15 uczniów. Miasteczko należało do ekonomii królewskiej i wybudowano tutaj szkółkę za pieniądze ze skarbu królewskiego, na polecenie Tyzenhauza, gdzie posyłano na naukę z „nakazu dworu", ale gdy tylko nakaz ustał, dzieci do szkoły przestano posyłać. Prawdopodobnie dzieci po • kończeniu szkoły parafialnej Tyzenhauz zabierał do prowadzonych przez siebie

manufaktur.

Jest tutaj i malownicza cerkiew, która otoczona drzewami ocalała z pożaru w 1879 r., kiedy uległa jemu połowa miasteczka.

„W Łunnie zwiedziłem cerkiew - pisze dr Jerzy Kwiecień - akurat znajdowała się w malowaniu. Wewnątrz znajdują się cenne ikony z sąsiednich, nieczynnych cerkwi, a między innymi z sąsiedniego Dubna, z nieczynnego soboru. W Łunnie nie ma stałego popa (1987), ale okresowo dojeżdża z Grodna. Pokazywano mi tutaj dużych rozmiarów obraz Chrystusa ukrzyżowanego. Obraz jest z XVI w. i podobno pochodzi z jakiegoś kościoła. Według informacji miejscowych mieszkańców, należał kiedyś do cerkwi unickiej w Podborzanach. Widać, że obraz ten jest bardzo stary i nie posiada cech ikony prawosławnej. Przed rokiem był poddany renowacji, a ramy jego pokryto złotem dekoracyjnym". -

Według Przewodnika po województwie białostockim ludność Łunny wynosiła 2400 osób, w tym 550 katolików, 200 prawosławnych i 1550 Żydów a więc ci ostatni stanowili prawie 65% mieszkańców tego miasteczka. Ten ruchliwy i przedsiębiorczy naród osiadł tu już dawno. „W roku 1605 - wspominają źródła - Żyd z Łunny wiózł na handel 40 jałowicznych, wyprawionych skór". Nie pozostała już po nich stara, drewniana, zabytkowa bożnica na Woli, pochodząca prawdopodobnie z przełomu XVIII/XIX w. Ostał się tylko dość rozległy, zaniedbany cmentarz z pochylonymi płytami nagrobnymi, zdobionymi bogato ornamentami i napisami. Doznaje się wrażenia, że stoi się na ziemi zapomnianej na wieki i już nikomu niepotrzebnej.

Po rozbiorach Rzeczypospolitej włość królewska, Łunna, znalazła się w posiadaniu Walickich, by później przez ożenek Jana Czechowskiego, sędziego, z Wierą Walicką (epitafium w kościele łunieńskim), przejść na własność Czechowskich. Wdowa po Janie nosiła się z zamiarem sprzedaży Łunny, o czym świadczy ogłoszenie w Kurierze Litewskim, nr 70/1833 (dodatek). Majątek ten składał się wówczas z dwóch folwarków, pięciu wsi i miasteczka, „dymów chrześcijańskich 199, żydowskich 77, dusz 527". Roczny dochód z tej posiadłości miał wynosić 43 000 złotych.

Jeden z Czechowskich, Eustachy, o czym dowiadujemy się z epitafium, urodzony w 1805 r., poległ w walce z Turkami w 1829 r. Do sprzedaży Łunny jednak nie doszło. Majątek znalazł się później w posiadaniu Edwarda Mateusza Romera (1848-1900), który żeniąc się w 1880 r. z Józefą Czechowską, córką Aleksandra i Walerii otrzymał Łunnę w posagu. Romerowie mieszkali przeważnie w Wilnie. Z małżeństwa tego było troje dzieci: Edward (1881-1901), Regina (ur. 1882) zamężna za Michałem Romerem z Bohdaniszek i Jerzy (1890-1921). O nich to wspomina Eliza Orzeszkowa, co zacytowałem na wstępie. Edward Mateusz Romer zmarł w 1900 r. w Łunnie, ale pochowany został w grobowcu rodzinnym w Trokach. (Polski Słownik Biograficzny)

Dwór Romerów nie zachował się. Na jego miejscu zbudowano szkołę. Pozostały tylko wiekowe topole. Trzeba zaznaczyć, że dwór ten był nowy, gdyż zbudowany przez Romerów, którzy gospodarstwo prowadzili wzorowe. Widoczne jeszcze są ślady po stawach rybnych.

Sapieżyńska Wola, będąca obecnie przedmieściem Łunny z czasem znalazła się w posiadaniu Ksawerego Krzywickiego (1761-1830), „niezwykłej

gorliwości i zasług obywatel", jak go niektóre herbarze zowią i piastujący szereg urzędów w powiecie grodzieńskim i wołkowyskim. Po nim Wolę a także Zelwiany nad Niemnem dziedziczył średni z synów Ksawerego, Julian (1806-1869) długoletni marszałek szlachty guberni grodzieńskiej. Jemu to z urzędu przypadła niezbyt zaszczytna rola wręczenia Murawiewowi adresu wiernopoddańczego z 1600 podpisami szlachty guberni grodzieńskiej. Z żony Wiktorii z Eysmontów (ur. 1817) pozostawił tylko dwie córki: Józefę i Karolinę, był więc ostatnim po mieczu potomkiem swego rodu.

Józefa Krzywicka została zaślubiona Władysławowi Tarosewiczowi z majątku Hnizna w powiecie wołkowyskim i w ten sposób Wola i Zelwiany znalazły się w posiadaniu Tarosewiczów i należały do nich do 1939 r. O ostatnich Tarasewiczach z Woli wspomina była mieszkanka Łunny, pani Irena Olizar:

„Edward Tarasewicz był właścicielem majątku Wola. Został aresztowany w Wilnie wraz z synem Stanisławem w 1940 r. Zginął w więzieniu, zaś syn przedostał się na zachód i mieszkał w Kanadzie. Drugi syn, Kazimierz, był w wojsku (po maturze w podchorążówce). W czasie okupacji niemieckiej mieszkał w Łunnie, znał biegle język niemiecki i był wójtem. Był także plutonowym w naszym okręgu Armii Krajowej. Na początku 1945 r. został aresztowany. W obozie pracował jako felczer. Korespondowałam z nim z patriotycznego obowiązku. Z obozu wrócił w 1956 r. i zamieszkał w Szczecinie, gdzie zmarł".

W Woli znajdował się klasycystyczny pałac, zbudowany jeszcze przez Krzywickich w 1832 r. a wzorowany na wcześniejszym pałacu w Rosi. Był murowany z gankiem półokrągłym na wysokich kolumnach. Były też kolumienki na przybudowie po prawej stronie głównego budynku. Dzisiaj pozostały tylko resztki, w których mieszczą się jakieś kołchozowe warsztaty.

Podczas ostatniego pobytu w Łunnie odwiedziłem tutejszego proboszcza, ks. Łucjana Radomskiego. Pokazał mi wtedy wykaz plebanów i administratorów parafii łunieńskiej od roku 1782, to jest od czasów obecnie istniejącego kościoła. Spis ten cytuję prawie w całości, gdyż jest to wiarygodna cząstka dziejów parafii.

1. Ks. Mateusz Antoni Dzialnik, proboszcz łunieński przez lat 20. Żył lat 70. Za jego bytności pobudowano obecny kościół z 1785 r. Pochowany jest pod wielkim ołtarzem (1765-1785).
2. Ks. Rylewicz Stefan Or. S. Bazyli i inni zakonnicy obsługiwali parafię Łunna (1785-1786).
3. Ks. Kopecki Michał, proboszcz. Gdzie w 1796 r. podział się, nie ma śladu. Powtórnie parafię obsługiwali zakonnicy (1786-1795).
4. Nowicki Ignacy, proboszcz (1796-1801).
5. Ks. Koncewicz Leon, kapelan Jabłonowski, komendarz łunieński, Or. S. Bazyli (1801-1801).
6. Ks. Ratski Stanisław pełnił obowiązki proboszcza (1801-1801).
7. Ks. Jackowski Paweł, proboszcz (1801 -1805).
8. Ks. Dziekoński Michał, wice-proboszcz łunieński (1805-1805).
9. Ks. Ihnatowicz Tomasz, proboszcz łunieński. Zmarł w 1831 r. mając 85 lat. Za jego czasów grom uderzył w wieżę drewnianą, kościelną i oną popsuł.
10. Ks. Szadziewicz Piotr, administrator (1831-1832).
11. Ks. Ładanowicz Adryan, Or. S. Franciszkanin, administrator (1832-1833).

12. Ks.WojtkiewiczStanisław,administrator(1832-1835).
13. Ks. Słodkiewicz Adryan, administrator (1835-1837).
14. Ks. Gramaszkiewicz Paweł (1837-1841).
15. Ks. Soroka Jan, administrator, Or. S. Bazyli (1841-1843).
16. Ks. Rymkiewicz Józef, administrator (1853-1854).
17. Ks. Grzedzieński Józef, administrator (1854-1859).
Od 1851 r. tak częste zmiany księży pochodziły od intryg parafian wyższej klasy. 18.Ks. Olszewski Julian, położywszy wiele pracy pod każdym względem, a stąd utraciwszy zdrowie, w 1883 r. dnia 19 lutego prosił o uwolnienie, jako chory (1887).
19. Ks. Kazimierz Grymaszewski, proboszcz łunieński założył fundamenty pod plebanię (zmarł 18 XI1892 r.).
20. Ks. Antoni Dolinkiewicz przebudował prezbiterium i podwyższył kościół (1895).
21. Ks. Adam M... pobudował plebanię.
22. Ks. Antoni S... pobudował stodołę, stajnię, chlew dla nierogacizny, odnowił kościół całkowicie i pobudował dwa ołtarze: św. Józefa i Matki Bożej kosztem 500 rubli (1907-1911).
23. Ks. PiotrMazurobjął probostwo wŁunnie 18 VIII 191 Ir. Został przeniesiony na probostwo do Odelska na własne żądanie w kwietniu 1922 r. Za czasu swego probostwa zbudował w kościele 10 głosowe organy i przeżył najcięższe chwile od czasu założenia kościoła, ale przetrwał wojnę europejską.
24. Ks. Zenon Worotyniec od wiosny 1922 r. do 25 marca 1927 r. był proboszczem w Łunnie.
25. Ks. Mieczysław Radziszewski przebywał od 1 kwietnia 1927 r. do 1 listopada 1948 r. W1948 r. skazany na obóz pracy, gdzie przebywał 6 lat. Przybył później do Łunny. Z Lenny wyjechał w okolice Lidy.

Tyle dowiedzieliśmy się z wykazu łunieńskich księży. Od siebie natomiast dodam: Adolf Dygasiński, który był nauczycielem domowym dzieci Bispingów w Massalanach pisze: „Jeden wściekły pies pokąsał proboszcza w Łunnie". (A. Dygasiński. Listy, s. 427). Porównując datę listu z wykazem proboszczów łunieńskich, dochodzę do wniosku, że był to ks. Adam M..., który w Łunnie pobudował plebanię, a którego Orzeszkowa wspomina jako „mało wykształconego, ale niezmiernie zacnego". Ks. Mieczysław Radziszewski był aktywistą Chrześcijańskiej Demokracji. Należał do Armii Krajowej. Władze nie pozwoliły mu, po powrocie z obozów pracować w Łunnie. Od 1948 do 1955 r. Łunna nie mała księdza. Od 1955 do 1982 r. był ksiądz Władysław Naczko. Od 1982 r. proboszczem tutaj jest ksiądz Łucjan Radomski.

Ciekawe, burzliwe i tragiczne są dzieje mieszkańców Łunny, szczególnie w okresie drugiej wojny światowej i latach następnych, ale to temat na osobne opracowanie.

Głos znad Niemna, 26 sierpnia - 1 września 1996 r., s. 5

Łysków

Niewielkie dawniej miasteczko, odległe o 40 km na południe od Wołkowyska, do którego można było w okresie międzywojennym dostać się tylko furmanką, to dziś wieś. W końcu XIX w. liczyło 895 mieszkańców, a w 1938 r. liczba wzrosła do 1 100, dziś liczba spadła do kilku setek. Przeszłość pozostawiła nam wieści o zameczku, klasztorze bazylianów, domie księży misjonarzy, szkołach łyskowskich, grobie Franciszka Karpińskiego, 12 krzyżach stojących u wylotów ulic z miasteczka, postawionych z fantazji nabożnego mieszkańca dla „zdrowia parafian".

O pół kilometra w stronę wsi Mosiewicze, na błotnistym brzegu niewielkiej rzeczki Szczyby vel Muchy, w uroczysku zwanym Horodyszcze, do dzisiaj znaczne są ślady „okopów". O tych wałach wspomina Federowski, pisząc, iż lud utrzymuje, że tam straszy, a szczególnie na ulicy Różańskiej i Niemieckiej. Wały te mają być mogiłkami, gdzie dawniej Szwedów chowano. Czasem ukazuje się tam panienka siedząca na skrzyni złota. Pilnują jej psy na łańcuchach. Panienka prosi, aby jej podać rękę i uwolnić od zaklęcia, ale nikt się nie odważa. W rzeczywistości wały te to pozostałości zameczku królewskiego strzegącego łyskowskiej włości w XV-XVIII w. Forma obwałowanego terenu miała postać kwadratu o wymiarach 68 na 68 m. Naroża były wzmocnione okrągłymi, drewnianymi wieżami o średnicy 8 m. Zachowały się też ślady wjazdu do zamku. Od północy i wschodu warownię ubezpieczały błotniste rzeki, zaś od wschodu i południa fosa o szerokości 10 mi głębokości około 4,5 m.

Pierwsze wzmianki o Łyskowie pochodzą z przełomu XV i XVI wieku, z czasów Jagiellończyków Kazimierza i Aleksandra. Właśnie Kazimierz Jagiellończyk nadał kościołowi św. Mikołaja w Wołkowysku dań miodową z Łyskowa w ilości 2 kadzi miodu, a także 2 „bezmienów" wosku. Była to włość wielkoksiążęca, zwana dawniej starostwem łyskowskim. W jego skład wchodziły: Łysków z zamkiem i wsie: Międzyrzecz, Pituchowo, Łopiennica, Derewna, Dorohowo, Moskowo, Potońsko. Z czasem Łysków włączony został do starostwa wołkowyskiego. Zachowała się wiadomość z 1560 r. o sądach kopnych poddanych łyskowskich. Były to własne sądy chłopskie, gdzie rozsądzano drobniejsze przewinienia. W 1560 r. sądzono sprawę poddanego, Ustiana Lewkowicza, któremu skradziono klacz. Lewkowicz „stawiła czapkę na dowód i wydał świadków trzech". *{Akty izdawajemyje* ..., t. XVIII, s. 6). „Stawienie czapki" na dowód, według dawnego zwyczaju, było rodzajem przysięgi.

Około 1506 r. Łysków znalazł się w posiadaniu Wojciecha Janowicza Kłoczki, marszałka hospodarskiego, ochmistrza żony Aleksandra Jagiellończyka, wielkiej księżnej Heleny. Wojciech zmarł w 1514 r. i przekazał swoje rozległe dobra, leżące przeważnie w powiecie wołkowyskim, synowi Maciejowi, który dostał jeszcze od króla Podarewsk (dziś Podorosk), stąd często Maciejem Podarewskim był zwany. Jak i ojciec był on osobą wpływową i bogatą piastując urzędy marszałka hospodarskiego i dzierżawcy wołkowyskiego. Posłował też do Moskwy.

Maciej Wojciechowicz Kłoczko zmarł w 1543 r., a pozostała po nim wdowa, Katarzyna z Hlebowiczów 11 listopada 1543 r. zapisała Łysków i Międzyrzecz Zygmuntowi Augustowi (W. Pociecha, *Królowa Bona,* t. 3, s. 67). Król zapis przyjął dając jej na tych dobrach 11 tys. kóp gr. lit. jako zabezpieczenie jej posagu.

Łysków znowu należał do włości królewskich, a około 1565 r. miał go w zastawie, za pożyczenie skarbowi 6000 kóp gr. lit. Wasyl Tyszkiewicz, starosta wołkowyski, ten zaś w swoim testamencie pieniądze zabezpieczone na Łyskowie przeznaczył córce Aleksandrze, wydanej za Aleksandra Chodkiewicza.

W poł. XVII w. Łysków znalazł się w posiadaniu Jakuba Kuncewicza, późniejszego wojewody brzeskiego. Trzecią jego żoną była Felicja Krystyna Wojnianka, chorążanka wołkowyska, wcześniej zamężna za Janem Bychowcem. Fundowała ona klasztor bazylianów w Łyskowie. Zmarła w 1686 r. Zachował się rękopis pt. „Łzy synowskie po matce jaśnie wielmożnej jejmość paniej Krystyny Woynianki Jakubowej Kuncewiczowej, wojewodziny brzeskiej, kazaniem egzekwialnym nazajutrz po złożeniu do grobowca tychże jaśnie wielmożnych popiołów w cerkwi łyskowskiej przy monastyrze ojców bazylianów obojga szczodrobliwej fundacji tejże świętej pamięci JMP dobrodziejki matki i fundatorki, przez księdza Symeona Churcewicza...".

W końcu wieku XVII Łysków należał do Bychowców, wywodzących się z bojarów smoleńskich. W 1690 r. Samuel Dobrogost Bychowiec „z majętności swojej Łyskowo z Żydami i karczmą, i młynami płacił podatek za 33 dymy, a z włości tejże, czyli całej majętności łyskowskiej, oprócz zastawników z karczem i młynów, dodatkowo za młynów 60". (Krakowski. *Powiat wołkowyski w końcu wiekuXVII.* Wilno 1939).

Różni ci byli Bychowscy. Jedni fundowali klasztory, drudzy walczyli

w Powstaniu Styczniowym, a jeszcze inni obyczajem ówczesnym najeżdżali sąsiadów. W 1704 r. bp. Brzostowski musiał nałożyć interdykt na całą parafie różańską, za napad jakiegoś Bychowca z kompanią na plebanię łyskowską. Adamowi Bychowcowi za udział w Powstaniu Styczniowym car kazał przymusowo wyprzedać część dóbr (Józefpol i Zelzin). Miały być one sprzedane do 10 grudnia 1867 r., w przeciwnym razie ulegały konfiskacie. Do wybuchu drugiej wojny światowej w posiadaniu Bychowców pozostawał Adamków. W archiwum grodzieńskim zachowały się bogate dokumenty po Bychowcach: ich korespondencje, inwentarze majątków i klasztoru misjonarzy.

Pierwszy kościół w Łyskowie został ufundowany w 1527 r. przez Macieja Kłoczkę. Parafia była uboga i uposażona 13 „dymami". Bp Mikołaj Słupski, wizytując w 1655 r. być może ten sam jeszcze budynek kościelny, określił go następująco: - „Kościół drewniany, dogodny i dobrze utrzymany". *(„Litwa i Ruś"*. Rocznik 1. Rok 1912). Proboszczowie jednak nie mieli się źle. W 1690 r. proboszcz Kazimierz Bakanowski płacił podatek z juryzdyki miejskiej, wioski i 2 młynów, a także dodatkowo z folwarku Hrusk, podatek za dymów 43. W latach 1763-1785 misjonarze na miejscu starego kościoła wznieśli nowy, okazały, murowany, istniejący w ruinie do dzisiaj. W 1818 r. przebudowano wieżę, którą później, w 1880 r. uszkodził piorun, co zmusiło do generalnego remontu świątyni. Jest to budowla na planie krzyża, z dwoma zakrystiami, wnętrze salowe bez kolumn, ale ściany wewnętrzne wzmocnione pilastrami o bogatych postumentach. Po kasacie zgromadzenia księży misjonarzy kościół zamieniono w 1841 r. na parafialny, zaś w 1866 r. zabrano na cerkiew. Katolicy odzyskali go w 1921 r. Po II wojnie światowej, z braku opieki, popadł w ruinę. Ostatecznie w 1960 r. kościół zamknięto, pozwalając zabrać prawie całe wyposażenie kościelne (prócz ław) i przechowywać je w kościele w Różanie.

Korzystając z tolerancji religijnej po 1905 r. i biorąc pod uwagę, że w Łyskowie są dwie cerkwie a brak kościoła, Stefania z Tołłoczków Dziekońska z Mogilowców rozpoczęła starania o budowę w Łyskowie nowego kościoła lub kaplicy. Najpierw wybudowano szopę, gdzie się mogły odbywać nabożeństwa. Ostatecznie kościół zbudowano z cegły, w stylu neoromańskim i w 1913 r. odprawiono w nim pierwsze nabożeństwo. Pierwsza wojna światowa zostawiła kościół w ruinie. Nie odprawiały się w nim nabożeństwa od dłuższego czasu z powodu niebezpieczeństwa zapadnięcia się sufitu. Ostatecznie kościół ten pod wezwaniem Najświętszego Serca został rozebrany, a z jego cegieł zbudowano szkołę.

Pierwsza wzmianka o cerkwi łyskowskiej, oczywiście unickiej, odnosi się do roku 1624. Krystyna Kuncewiczowa, na trzy lata przed śmiercią, zbudowała i uposażyła bazylianom cerkiew, do której wprowadzili się 2 czerwca 1682 r. Kuncewiczowa nadała bazylianom folwark Kornedź z karczmą, wieś Kuklicze z 13 poddanymi oraz folwarczek Odyncowski na ogród i wypas bydła, a w samym Łyskowie młyn z młynarzem. Ponadto zapisała im 150 zł na habity, które to pieniądze pochodziły z arendy łyskowskiej. Uposażenie to powiększył syn Kuncewiczowej, Dominik, oddając bazylianom w zarządzanie folwark Szpaki, o który później musieli toczyć długoletni proces z Bychowcami. *{Roczniki Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu.* Rocznik 1866). Sprawa o folwark

Szpaki zakończyła się polubowną umową z dnia 15 lipca 1753 r. Bazylianie łyskowscy zrzekli się dobrowolnie praw do tego folwarku. Dostali oni od Bychowca 10 tys. zł polskich i prawo wchodu do lasów. *(Akty izdawajetnyje...,* t. XVI),

Opis łyskowskiego, bazyliańskiego klasztoru tuż przed kasacją unii kościelnej (co miało miejsce w 1839 r.) brzmiał: „Mieli tam zakonnicy klasztor murowany z 20 celami mieszkalnymi^ przy nim cerkiew drewnianą, a na zbudowanie nowej materiał już leżał obok przygotowany. Były tam również dwie sadzawki, ogród owocowy, pasieki, folwark dobrze zbudowany, przy nim tak zwana juryzdyka z 15 domów złożona oraz wieś z 30 chatami. Żyli patriarchalnie i w zgodzie z misjonarzami. W wielkich nabożeństwach wzajemnie sobie pomagali. Od 1838 r., po zamknięciu nowicjatów, liczba zakonników zmalała. Superior o. Augustyn Siedlecki w średnim wieku, wikary ks. Samuel Czarnołucki, Bocewicz, Rzecki i trzech innych jeszcze braci - ot, i całe zgromadzenie łyskowskie. Większość z nich to już starcy. Co roku, w wielką sobotę, superior z wikarym i ks. Rzecki obchodzili domy, święcąc pierogi, ale zacnym zakonnikom towarzyszyła jeszcze ładowna bryka z kucharzem klasztornym, Jakubem. Gdzie znaleźli pustki na stole, tam wnosił Jakub przygotowane święcone. Cały gar piwa przygotowany była dla biednych. Nabożeństwa odbywały się przy sławnych w okolicach organach".

W 1835 r. klasztor bazylianom odebrano i mimo oporu ludności i samych zakonników, przekazano prawosławnym. Pisze o tym obszernie ks. Grzegorz Micewicz w swoich pamiętnikach.

W latach 1931-1933 zbudowali prawosławni w Łyskowie nową drewnianą cerkiew w stylu cerkiewek bieszczadzkich, według projektu Stanisława Piotrowskiego z Białegostoku kosztem 40 tys. zł. Jest to jedna z piękniejszych drewnianych cerkiewek w województwie.

Znaczącą rolę w życiu Łyskowa i okolicy odegrało zgromadzenie księży emisariuszy, których sprowadził do Łyskowa w 1751 r. Jan kanonik wileński. Uposażono ich 2 folwarkami (Statkowszczyzna i Kołykowszczyzna) oraz pewnymi sumami, lokowanymi na dobrach okolicznej szlachty, z której to sumy pobierali procenty. Księża zajmowali się duszpasterstwem, obsługując jednocześnie własną parafię prowadzili przytułek dla starców, a także szkoły. Przytułek, zwany w owych czasach szpitalem, według wizyty dziekańskiej z 1820 r. był „z drzewa ciosowego, w węgieł gładki, gontami kryty, z kominem nad dach wyprowadzonym, długi łokci 21, szeroki 11, obejmował w sobie 3 stacje, 2 komórki na skład i sień. Okien ordynacyjnych w całym domu 10. Drzwi na zawiasach i krukach pojedynczych 3 i na biegunach drewnianych tyleż. Stołowanie z dylów a posadzka z gliny ubita. W szpitalu było 3 dziadów i 2 baby" *(Dzieje Dobroczynności.* Rocznik trzeci, s. 521).

Do 1797 r. misjonarze prowadzili w Łyskowie szkołę parafialną, dodać trzeba, że nie podlegała ona przepisom Komisji Edukacji Narodowej. Cieszyła się uznaniem, gdyż szlachta niechętnie odnosiła się do reform oświatowych. Rektor wydziału brzeskiego KEN pisał, że wielu uczniów jego przeniosło się do szkół misjonarzy w Łyskowie dla „samego odgłosu, że po dawnemu konstrukcji tam uczą". A uczono tam łaciny z Alwara, retoryki, poetyki, czasem pisania listów

a także służenia do mszy oraz katechizmu. Misjonarze niewiele przywiązywali wagi do polecenia przez KEN zamknięcia szkoły. Nie próbowali też początkowo zbliżyć swojego programu do programu Komisji. Jeszcze w 1790 r. uczniowie byli dzieleni na tradycyjne klasy: infimię, gramatykę, retorykę. Misjonarze na brak uczniów nie narzekali i tak w roku szkolnym 1781/1782 uczyło się tutaj 86, w 1784 r. - 70, 1786 r. - 76, a w 1790 r. - 70 uczniów. Rozkwit szkół łyskowskich upatrywać należy w ambicji misjonarzy, jak i w usilnych staraniach o ich poziom, ówczesnego właściciela Łyskowa, Jana Bychowca. Nawet ks. G. Piramowicz, wizytując szkołę akademicką w Grodnie, jedną z przyczyn słabego jej poziomu widział „szkołę misjonarzy w Łyskowie, którzy przyciągając do siebie dzieci przez ustanowienie małego konwiktu, przez udanie, że lepiej uczą, przez pozwalanie wyjeżdżania na święta". Wizytując szkołę łyskowską w 1782 r., ks. Franciszek Bieńkowski o jej stanie doniósł następująco: „Łysków szkoła czyli konwikt, gdyż z 86 uczniów 50 jest na stole i stancji u ks. misjonarzów, plebanię tu mających. Dziedzicem jest JP Jan Bychowiec, marszałek wołkowyski, który o zatrzymanie tych szkół upraszał. Prócz prefekta nauczycielów jest tu 4, usiłujących uczyć jak najlepiej, ale nie tylko elementarnych, ale nawet innych ksiąg potrzebnych nie mają. Zatem odmiennym sposobem uczą. Retoryki i dwu klas gramatyki są profesorami klerycy misjonarze. Infimy dyrektor świecki, po niemiecku kleryk uczy ten sam, co i gramatyki. Konwikt jest to dom na poświętnym z drzewa obszerny, gdzie pod dozorem świeckiego dyrektora mają stancje studenci. Co do stołu, na klas cztery są podzieleni podług zapłaty. Największa jest zł 200, najniższa 50. Pensja mała i sposób uczenia odmienny. Z różnych powiatów, bo nawet z ziemi łomżyńskiej nasprowadzał dzieci, których korzyść podług uczenia się dość dobra. Zalecono i tablice z Ustaw wypisać. Kazano, aby od wakacji nauki według przepisów". Misjonarze jednak byli uparci, a pomoc Bychowca znaczna i nowa wizytacja z 1790 r. odnotowała: „Szkoły łyskowskie podzielono na trzy klasy. Klasę pierwszą, albo dawniejszym trybem infimę, uczy dyrektor świecki, mający kondycyą w mieście. Drugą klasę, czyli gramatykę, uczy także dyrektor mający kondycyą w konwikcie. III klasę, czyli retorykę, uczy misjonarz, który zarazem jest prefektem szkół. Uczniów w tej szkole znajduje się blisko 70. Superior tamtejszy, - ks. J. Dmochowski, oświadczył się, że chciałby, aby dalej tym samym sposobem nie uczono, lecz dziedzic miasteczka, J. W. Bychowiec, marszałek powiatu wołkowyskiego, utrzymuje te szkoły i starać się ma, aby Prześwietna Komisja Edukacyjna te szkoły za akademickie uznała". Życzeniom misjonarzy i Bychowca stało się zadość. W 1797 r. szkoła łyskowską stała się akademicką, ściślej powiatową, czyli taką, po ukończeniu której można było studiować w uczelni wyższej. Taką też pozostała do 1835 r., kiedy to rząd carski szkołę skasował. W parę lat później Łysków musieli opuścić też misjonarze.

O tej szkole akademickiej sporo znajdujemy wiadomości w *Kalendarzykach politycznych Uniwersytetu Wileńskiego,* jakie co rok w tym czasie się ukazywały. Dla przykładu podam dane z tego źródła za 1809 r. Przełożonym szkoły łyskowskiej był ks. Jan Ossoliński, nauczycielem fizyki i matematyki - ks. Tomasz Kuncewicz, literatury - ks. Jan Ossoliński, nauczycielem drugiej klasy - ks. Wincenty Sielecki, pierwszej klasy - ks. Wincenty Trubiłowicz, rysunku - ks.

Klemens Markowski, języka francuskiego - Jan Lange. Do uczniów celujących klas I i II należeli: Józef Malczewski, Franciszek Leszczyński, Wincenty Jezierski, Michał Zubilewicz, Adam Bychowiec, Julian Malczewski, Mikołaj Masłowski, Antoni Sierociński, Ignacy Nielubowicz, zaś z literatury polskiej i łaciny: - Aleksander Bychowiec, Karol Leszczyński, Piotr Affanasowicz, Wincenty Jankowski, z matematyki i fizyki - Jan Freyend, Michał Freyend, Kazimierz Wysocki, Jan Niemiera i Stanisław Leszczyński. Z dalszych roczników tego kalendarzyka wiemy, że uczono także: prawa i historii, języka niemieckiego, wymowy, języka polskiego, łaciny, geografii, nauki moralności, języka rosyjskiego. Liczba uczniów w tej szkole zawsze prawie przekraczała setkę,awl817r. było ich 155.

Jako jedna z nielicznych pamiątek przeszłości zachował się do dzisiaj przy dawnym kościele misjonarzy grób poety, Franciszka Karpińskiego. U schyłku swego żywota zamieszkiwał on w Chorowszczyźnie, odległej o 5 km od Łyskowa. Zakupił ją w 1818 r. od Wincentego Orzechowskiego, o czym wspomina w swoim pamiętniku: "Na ostatek uskuteczniłem swoją chęć kupienia jakiejś wioski dziedzictwem. Jakoż i kupiłem wioskę w powiecie wołkowyskim, Chorowszczyznę, od JWP Orzechowskiego, sędziego granicznego powiatu, za którą z poślinami do skarbu monarszego należnymi, 100 tysięcy złotych zapłaciłem. Po śmierci zaś mojej, wnuk mój, Franciszek Kozierowski, którego od dzieciństwa przywiązania i we wszystkiem do siebie powolności doświadczyłem, tejże wsi dziedzicem będzie... Sprowadziłem się do tej nowo kupionej wioski od lat trzech i tu spokojnie mieszkam, gdzie ze mną Kozierowski z żoną, dziećmi i całym gospodarstwem sprowadził się. Zabudowanie tu w Chorowszczyźnie mam wygodne, blisko Łysków, gdzie raz tylko przez rok wyjeżdżam i to na spowiedź wielkanocną i dla słabości zdrowia nigdzie więcej". W ostatnich latach życia poety serdeczną z nim przyjaźń nawiązał nauczyciel szkoły łyskowskiej, ks. Antoni Korniłowicz. On to w swojej książeczce poświęconej Karpińskiemu podał następujący opis pogrzebu przyjaciela, który nastąpił w 1825 r. „Pogrzeb Franciszka Karpińskiego - czytamy - w Łyskowie, miasteczku dziedziczonym Adama Bychowca, chorążego powiatu wołkowyskiego, następującym porządkiem. Dnia 6 września 1825 r. wieczorem, w niedzielę zwłoki śp. Franciszka Karpińskiego przyprowadzone zostały z jego majątku Chorowszczyzny, do kościoła parafialnego księży misjonarzy. Na eksportacji, oprócz księży misjonarzy, znajdowali się księża bazylianie i bractwa obydwu zakonów, lud zaś licznie zgromadzony ciągle towarzyszył aż do umieszczenia trumny z katafalku, tym celem wystawionego. Podczas eksportacji miał mowę ks. Józef Kulikowski w treści - ile na tym szkody ponosi społeczeństwo, gdy utraci pożyteczne członki. Nazajutrz, dnia 7 września, w poniedziałek, po odśpiewaniu na mszy żałobnego nabożeństwa przez księży bazylianów, później przez miejscowe duchowieństwo, o godzinie 10 wyszła msza wielka, odprawiana przez ks. superiora Kazimierza Mieczkowskiego. Widział każdy, jak starzec mając lica łzami zroszone, poświęcił ofiarę za tego, z którym go przez znaczny czas przyjacielskie łączyły związki. Po skończonej mszy, wybrany na tłumacza cudzych i własnych uczuć, miałem zaszczyt do zgromadzonej publiczności przemówić. Gdy już duchowieństwo prześpiewało, prawnuk śp. Franciszka Karpińskiego, Kozierowski, mając lat 10

wieku, blisko grobowca dziada swego stanąwszy, w czułej przemowie wynurzył żal swój a zarazem całej familii, która najwyższą ozdobę w nim straciła. Po przeniesieniu ciała na cmentarz, gdy miano już w ziemi pogrzebać, ks. Józef de Welden, nauczyciel szkoły łyskowskiej, zwrócił uwagę słuchaczów krótką mową. Obrządek został dopełniony przez ks. Kulikowskiego, prefekta kościoła a fizylierzy wystrzelili z broni ręcznej (Karpiński był ich honorowym kapitanem), że ziemia przyjęła go na wieczny spoczynek". Zgodnie z życzeniem poety pochowano go przy ścieżce prowadzącej do kościoła, ustawiono skromny nagrobek, niski, w kształcie dwuspadowego daszku i położono napis - „Oto mój dom ubogi". W początkach XX w. ziemianka, Stefania z Tołłoczków Dziekońska, z Mogilowców, nie tylko rozpoczęła starania o budowę nowego kościoła w Łyskowie, ale też zaopiekowała się grobem Karpińskiego, a nawet chciała go przenieść na miejsce „godniejsze". Rozpoczęła więc poszukiwania rodziny Kozierowskich. Sukcesorem Chorowszczyzny po Karpińskim był wspomniany wyżej Franciszek Kozierowski, wnuk po siostrze poety, żonaty z Anną z Tołkawiczów, wdową Zdzitkowiecką, który miał dwóch synów: Franciszka i Józefa. Ten ostatni jeszcze w 1890 r. był właścicielem Chorowszczyzny. Chorowszczyzna zapewne została później sprzedana i rozparcelowana, a Kozierowscy emigrowali. Odnalazła ich Dziekońska w Ameryce. Przysłali jej pewną kwotę na budowę kościoła i odnowienie pomnika. Grób Karpińskiego pozostał na starym miejscu. Po drugiej wojnie światowej na miejscu zniszczonego pomnika postawiono nowy, również skromny, z napisem w języku polskim „Franciszek Karpiński", ale i ta tabliczka obecnie zginęła.

W czasie Powstania Kościuszkowego wschodnie granice powiatu wołkowyskiego osłaniał regiment 5 litewski pod komendą generała-majora Pawła Grabowskiego. Poszczególne kompanie miały swoje leże w Dereczynie, Samojłowiczach, Wołkowysku, Izabelinie, Łyskowie i Różanie. Kompania w Łyskowie liczyła 80 ludzi.

Łysków leżał w pobliżu Puszczy Różańskiej, błot nad rzeką Jasiołdą, a dalej na zachód Puszczy Białowieskiej i Swisłockiej, gdzie w 1863 r. bardzo aktywnie działali powstańcy. Powstanie otarło się i o Łysków. Znany jest fakt, że powstańcy na rynku miasteczka zastrzelili niejakiego Wyszkolca, nauczyciela „prichodskogo uczyliszcza", a sami następnie zbiegli do lasów janowskich. Ks. Melchiora Moniuszkowa wzywano na policje, aby się wytłumaczył z zarzutu przyjęcia przysięgi powstańca. Księdza Szarskiego, który wówczas administrował parafią łyskowską ukarano kwotą 100 rubli za to, że bez zezwolenia był w sąsiedniej parafii u ks. Wincentego Dereszkiewicza, a w dodatku zastał tam jeszcze trzech księży.

Pamiątką po owych czasach jest szosa, o której nauczyciel z okolic Łyskowa w czasach międzywojennych pisze następująco: „Za Łyskowem, w stronę rzeki Jasiołdy, pobudowana jest szosa o długości 10 km na faszynie i workach z piaskiem, przerzucona przez bagna. Pobudował ją car, aby podciągnąć artylerię i wybić ukrywających się powstańców. Budował rok a powstańcy uciekli. Byłem tam z Rygorowiczem. Opowiadał nam staruszek ze wsi Huta. Szosa nie jest uczęszczana i w dobrym stanie. Obok topiel", (list H. Jakimczyka - w zbiorach autora).

W okresie międzywojennym, miasteczko miało bardzo trudne połączenia komunikacyjne ze swoim powiatem, co sprzyjało zawiązaniu się między mieszkańcami atmosfery rodzinnej. Z sentymentem wspomina o tym miasteczku były sekretarz gminy w Łyskowie, Wiktor Rygorowicz. Oto fragmenty jego listów, zachowanych w moich zbiorach: „W Łyskowie mieszkałem w latach 1933-1936. Miasteczko liczyło wówczas około 2000 mieszkańców i stanowiło gminę wiejską. Była to najdalej oddalona od powiatu gmina. Na miejscu była poczta, szkoła, urząd gminy, posterunek policji, klasztor, dwa kościoły, cerkiew i bożnica. Hotelu w miasteczku nie było ale nocować można było u Szlomy Miżeryckiego, który prowadził też restaurację. Warunki życiowe były dobre. Szczupaka o wadze 5 kilogramów można było kupić za kilka groszy. Handel w miasteczku w 90 % należał do Żydów, którzy sprowadzali towary z odległego Wołkowyska. Kursowało na tej trasie kilka par koni ciężarowych tak zwanych „bałaganów", które to zaprzęgi parę razy w tygodniu wyjeżdżały po towary. Sołtysem był Żyd. Światła elektrycznego nie było. Jarmarki odbywały się dwa razy w miesiącu. Szkoła mieściła się w budynku klasztornym a kierował nią Kowalski. Będąc w Łyskowie pracowałem również społecznie - byłem wiceprezesem straży pożarnej. W Lidze Kobiet pracowała także żona. W życiu społecznym rej wodziła pani Anna Bychowiec, której mąż Leon Bychowiec był inżynierem, lecz w pracy społecznej się nie udzielał a tylko procesował się z chłopami, lecz bardzo rzadko o miedzę, czy o szkody wyrządzone przez inwentarz żywy a najczęściej o samowolne wyręby drzewa w lasach. Mile wspominam rodzinę Korolewiczów z Hajek, którzy aktywnie udzielali się pracy społecznej. On był emerytowanym nauczycielem rysunku. Na jednym z balów przygotowywał karykatury tutejszych działaczy, które po dokonaniu oceny obecnych na balu, zostały natychmiast sprzedane, co znacznie zasiliło fundusze na cele społeczne. Oprócz wyżej wymienionych w pracy społecznej uczestniczyli: ks. Franciszek Matelski, ks. prawosławny - Kankowski, Albin Dziekoński z Mogilowców - przewodniczący rady gminnej, Stanisław Wieczfiński - wójt, Bazyli Łuka - dawny zasłużony wójt łyskowski, Łoś - lekarz, Kulesz - kierownik poczty, Epsztejn - aptekarz, Tomasz Labocha - leśniczy oraz miejscowi nauczyciele". Znajdujemy w listach Rygorowicza i dwie anegdotki. Nie są one na wagę źródła historycznego, ale że ilustrują atmosferę ówczesnego kresowego miasteczka, przytaczam w całości. „Pewnego roku wybory wójta w Łyskowie były bardzo kłopotliwe. Żydzi namawiali członków rady gminnej aby głosowali na ich kandydata i w tym celu częstowali chłopów wódką, a ci przyrzekali że zadość uczynią prośbie. Po głosowaniu okazało się, że oddano tylko 1 głos na żydowskiego kandydata. Słyszałem jak po wyborach Żydzi wymawiali chłopom, że słowa nie dotrzymali, ale każdy z nich twierdził, że to właśnie on ten pozytywny głos oddał.

Pewnego razu zmieniono nam komendanta policji. Na temat tego nowego człowieka rozmawiałem z pewnym Żydem, zapytując, co sądzi o nowym komendancie. Jest on niedobrym człowiekiem - odpowiedział - Dlaczego ? - On nie pije wódki".

Od brata Jana kanonika wileńskiego żyjącego w XVIII w. idzie linia Bychowców na Łyskowie. Ostatni potomek z tej linii, Leon Bychowiec, właściciel Adamkowa, został w 1939 r. przez władze radzieckie aresztowany

i wszelki ślad po nim zaginął. Zona jego, Anna, w czasie okupacji niemieckiej, prowadziła w Rosji malutki sklepik, placówkę rosyjskiej mleczarni, gdzie sprzedawała chude mleko. Do przedsiębiorstwa musiała „dokładać", ale chodziło przecież o zaczepienie się i przetrwanie. Po repatriacji, osiadła we Wrocławiu, a ponieważ miała ukończone wyższe studia rosyjskie była bardzo cenioną nauczycielką języka rosyjskiego.

Źródła i opracowania:

- Łzy synowskie... kazania ks. Ohurcewicza. Rękopis w PAN w Kórniku, sygn. 2596, s. 1-13.
- Wspomnienie Wiktora Rygorowicza. Rękopis w posiadaniu autora.
- Roczniki Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. Rocznik 1866.
- Swod Pamiatnikow Biełorussii. Brestskaja obłast, Mińsk 1990, s. 363.
- A. Korniłowicz, O życiu Franciszka Karpińskiego...Wilno 1827.
- AktyizdawajemyjeWilenskoju Archeograficzeskoju, Wilno 1891,Tomy XVI i XVIII
- J. Kurczewski, Stan kościołów parafialnych diecezji wileńskiej po najściu nieprzyjacielskim 1655-1661, „Litwa i Ruś", 1.1,1912.
- G. Micewicz, Z męczeńskich dziejów unii, Poznań, 1888.
- Raporty generalne wizytatorów Komisji Edukacji Narodowej w WLK. Ks. Litewskim 1782-1792, Wrocław 1974.
- F. Karpiński, Pamiętniki, Warszawa 1898.

r-Moc^ulna

Pięć kilometrów na południe od Rosi, przy drodze do Wołkowyska, bielały kiedyś ściany okazałego, klasycystycznego pałacu. To Moczulna. Za pałacem, na bezdrzewnym wzniesieniu, kryła się Kalwińska Górka. Bliżej drogi sterczały rozwaliny kaplicy, a o jej dziejach sprzeczne w okolicy pokutują legendy. Oto jedna z nich: Pewna panienka - mówią - ofiarowała się postawić kaplicę. Wymurowali ją, nakryli, sprowadzili obraz Matki Boskiej. Po śmierci ofiarodawczyni obraz chcieli zabrać do kościoła w Rosi, ale po usilnych staraniach, pozostał w pałacu. Do dziś na jarzębinach, wokół ruin kaplicy, pobożni wieszają dziesiątki fartuszków.

Historia Moczulny sięga 1542 r. Tak twierdził ostatni dziedzic Moczulny Aleksander Olędzki, który szykował się by, w 1942 r. obchodzić 400-lecie tej miejscowości.

W połowie XVI w. należała do kniazia Szczęsnego Jarosławowicza Hołowczyńskiego, za którego czasów powstał zbudowany w 1553 r. tutaj kościół i wieś na 10 dymów. Był to jeden ze starszych kościołów (w Rosi ufundowany przez Władysława Hieronima Chodkiewicza dopiero w 1611 r.). W 1578 r. Moczulna przeszła do rąk Olędzkich i w ich rękach pozostała aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Olędzcy pochodzili z Ziemi Bielskiej. W połowie XVI w. jedna ich gałąź osiedliła się na Litwie. Janusz Olędzki jako pierwszy z tej rodziny przyjął wyznanie kalwińskie i jako pierwszy jest związany z Moczulna. On to w 1574 r. otrzymał Moczulnę prawem zastawnym od kniazia Szczęsnego Jarosławowicza Hołowczyńskiego i jego żony Elżbiety z Chodkiewiczów i majętność tę nabył w 1678 r. na własność. Ponieważ Janusz przyjął kalwinizm, los moczulskiego kościoła był przesądzony. Prawdopodobnie został zamieniony na kalwińską kaplicę, po której pozostała nazwa Kalwińska Górka.

Olędzcy odgrywali znaczną rolę w życiu powiatu, sprawowali znaczne urzędy a fortuna ich rosła. Reprezentowali też powiat wołkowyski w sejmach.

Nie sposób tu opisać lub tylko wymienić całą dynastię Olędzkich na

Moczulnie. Wymienię choćby Krzysztofa, który od Stefana Batorego otrzymał w 1585 r. starostwa Dziaki i Żylicze. Miał je zatrzymać tylko w dożywocie, ale powrót tych dóbr do króla był uwarunkowany zapłaceniem potomkom Olędzkich 820 kóp groszy. Ponieważ Rzeczypospolita nie kwapiła się do wytrząsania ostatniego grosza z wiecznie pustego skarbu, pozostawały więc one praktycznie we władaniu Olędzkich prawie do rozbiorów.

Teofil Olędzki najpierw chorąży, później podkomorzy, wreszcie marszałek szlachty powiatu wołkowyskiego, starosta dziacki i żylicki, właściciel Chrustowa, Wilkowszczyzny, Choroszkowszczyzny, części Kołłątajów, Gniezna, Niewiarowszczyzny i innych, parokrotny poseł na sejm, przeciwnik Sapiehów, co wplątało go w wojnę domową i w bitwie pod Olkienikami przyczynił się do rozgromienia wojsk Sapiehów. Zagorzały kalwin. Bral też udział w licznych synodach kalwińskich a nawet im przewodniczył. Zmarł w 1708 r.

Stefan Olędzki, żyjący w pierwszej połowie XVIII w. należał do najbogatszych ze wszystkich pokoleń Olędzkich. Jemu też Moczulna zawdzięcza istniejący w półruinie do II wojny światowej, wzmiankowany wyżej pałac. On to też z całą rodziną przeszedł na katolicyzm, od którego się odłączył jego prapradziad, Janusz.

Do ciekawych postaci należał dziedzic Moczulny, Władysław Maksymilian Olędzki (1842-1894), dziennikarz i publicysta, przyjaciel Sienkiewicza. On to podsunął Sienkiewiczowi tytuł powieści *Ogniem i mieczem* a jego żarty i kawały wykorzystywał Sienkiewicz do wprowadzenia postaci Zagłoby.

Syn jego, Aleksander Olędzki, był ostatnim właścicielem Moczulny, inżynier-elektryk z wykształcenia, dyrektor Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej w Warszawie, w latach 19161919 honorowy konsul szwedzki, był odznaczony, między innymi Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i szwedzkim Orderem Gustawa Wazy. Mieszkał w Warszawie a Moczulna zarządzał przez pełnomocników. Został w 1942 r. aresztowany i osadzony na Pawiaku, gdzie też zmarł. Potomkowie żyją w Warszawie.

Pałac moczulański oglądałem w 1943 r. Klasyczny, parterowy, drewniany, obłożony białym tynkiem. Od frontu ziało pustką 16 otworów okiennych. Łamany dach, porośnięty tu i ówdzie zielonym mchem. Front, obejmujący piętro i sięgający czterema kolumnami do pierwszego załamania dachu imponował swoją lekkością. Oba końce pałacu kończyły się przebiegającymi przez całą szerokość domu gankami - okapami wspartymi na czterech kolumienkach każdy, które bazowały na wysokim podmurowaniu piwnic. Kolumienki łączyły balustrady, pod którymi znajdowały się wejścia do piwnic. Od strony parku, u wylotu sali balowej, przylegał rozległy taras a obok, wsparty na dwóch kolumienkach ganeczek. Pod kolumnami od frontu, na pięterku, mieściła się kaplica domowa Olędzkich.

Sala balowa nigdy nie była wykończona. Trzy, zakończone u góry półkolami okna, były zamurowane. Pozostawiono jedynie trzy prześwity. Sala służyła za pomieszczenie gospodarcze. Wysoki dach posiadał osiem lukam. Ożywiały one bardzo olbrzymi dach.

Do kaplicy prowadziły schody z sieni. O tej kaplicy znalazłem następującą wzmiankę w archiwum kościelnym w Rosi: „Kaplica jedna tylko w Moczulnej u JWP Olędzkich, starostów diakońskich, w środku pałacu, między pokoikami,

pod jednym znajduje się dachem". Znajdował się tam dość piękny obraz świętego Józefa, który został oddany w depozyt do kościoła roskiego i tam umieszczony w bocznym ołtarzu. Przeprowadzka tego obrazu wiąże się z powstaniem styczniowym, kiedy to na rozkaz naczelnika wojennego, pozamykano lub skonfiskowano wszystkie kaplice w powiecie wołkowyskim. O kaplicy moczulańskiej sprawnik pod datą 17 września 1774 r. raportował: „Kaplica katolicka w Moczulnej jest w budynku dworskim, posiada ją właściciel majątku i została zamknięta przez naczelnika wojennego". Obraz moczulański w aktach kościelnych figuruje jako dar, chociaż Kamilia Olędzka, żona ostatniego właściciela dworu twierdziła, (odwiedziłem ją w Warszawie przed kilkunastu laty, a miała wówczas sto lat) że został on przekazany tylko jako depozyt, a odzyskać się nie dał bo ksiądz, który go przyjmował zmarł.

Za parkiem, na wyniosłym, bezleśnym pagórku znajduje się Kalwińska Górka, miejsce po dawnej kalwińskiej kaplicy, gdy Olędzcy byli wyznawcami tego kościoła. Gdy wrócili do katolicyzmu, kaplicę rozebrali. Istniała jeszcze w 1733 r.

Olędzcy, jak przedtem byli zagorzałymi kalwinami, tak teraz stali się przykładnymi katolikami. Na dworze swoim trzymali stałego kapłana, o czym świadczy dokument z roku 1772, kiedy to „J.W. ksiądz Michał Zagardo Scholarum Diarum, kapelan J.W. Olędzkich, koniuszych W. Ks. Litewskiego" miał kazanie na uroczystości przeniesienia cudownej figury Pana Jezusa w kościele roskim.

Po zburzeniu kaplicy kalwińskiej, Olędzcy zaczęli budować przy drodze z Rosi do Wołkowyska kaplicę nową, ale wskutek intryg carskich budowę, która już była podciągnięta pod dach przerwano. Mimo, że Olędzcy toczyli w tej sprawie długoletni proces z rządem carskim, kaplica nie została ukończona. W czasach międzywojennych jeden z dzierżawców rozpoczął rozbiórkę murów, ale ze względu na zabytkowość budowli dewastację przerwano. Pozostały więc ruiny, wokół których okoliczni mieszkańcy grzebali nie chrzczone dzieci.

Według spisów parafialnych z Rosi z 1833 r., we dworze moczulańskim w tym czasie mieszkali: Aleksander Olędzki, lat 38, Julia z Jodków Olędzka, lat 33, Wielmożna Katarzyna Jodkówna, szwagierka Aleksandra.

Małżeństwo to było bezdzietne i Moczulna przeszła na brata Władysława. „Aleksander, o którym pan pisze - relacjonuje Kamilia Olędzka - był stryjem naszego dziadka, Władysława, czyli stryjecznym dziadkiem naszego ojca".

Na starym cmentarzu w Rosi, obecnie użytkowanym wyłącznie przez prawosławnych, zaraz u wejścia stoi okazały, murowany z cegieł, bielony i przykryty czerwoną dachówką pomnik. Tutaj pochowani są Aleksander i Julia z Jodków Olędzcy. Z napisu wynika, że Julia zmarła 19 maja 1877 r.

O parę kroków bliżej znajduje się pomnik inny, niski, z gładzonego kamienia i tajemniczym napisie: „Pamięci Marii, urodzonej 19 kwietnia 1844 r, zmarłej 17 lutego 1869 r. Opiekunowie ten pomnik poświęcają i proszą o pacierz za jej duszę".

Co za postać ukrywa się pod tym kamieniem, że nawet nazwiska nie umieszczono i dlaczego tak młodo umarła? Kto się nią opiekował? Musieli to być ludzie możni, skoro pomnik okazały wystawili. Rąbek tajemnicy uchyliła pani

Kamilia Olędzka, która do mnie pisała: „Maria była wychowanką Aleksandra i Julii Olędzkich i nosiła nazwisko Kwiatkowska. Jako niemowlę, ubrana w piękne, koronkowe powijaki, została przywieziona karetą i podrzucona w Moczulnie. Legenda mówiła, że Maria była córką Aleksandra, zrodzoną z romansu naszego pradziada z pewną arystokratką z sąsiedztwa"

Gdy odwiedziłem Roś w 1974 r., pomnik Olędzkich, aczkolwiek odarty już z tynku, zarośnięty szczelnie krzakami bzu, zachował jeszcze swoją charakterystyczną sylwetkę. W bocznej ścianie odbite były dwie krypty z resztkami desek. Było to zapewne dzieło poszukiwaczy skarbów lub zwykła ciekawość. Kości już nie znalazłem. Natomiast pomnik Marii zachował się doskonale.

W czasie pierwszej wojny światowej Olędzcy ewakuowali się do Rosji. Pani Kamilia wyjęła z ram portrety przodków i nadała na bagaż. Zginęły w zawierusze wojennej. Pozostałymi ramami od obrazów Kozacy, obozujący w Moczulnej, palili ogniska, podsycając płomienie porąbanymi meblami.

Kamilia Olędzka - relacjonuje jej córka Janiszewska - urodziła się w majątku swoich rodziców, w Pobojewie. Była z rodu Ostrowska.

W Moczulnej pałacu już nie ma. Pozostały ruiny kaplicy i Kalwińska Górka.

Kilkaset metrów od dworu leży i wieś Moczulna, licząca w okresie międzywojennym 35 domów. Stąd pochodzi artysta plastyk, Antoni Mancewicz, którego kiedyś spotkałem w Gdańsku, ale już nie żyje.

Głos znad Niemna, 20 - 26 marca 1995 r. s. 4

owce

Mogilowce - to dawniej wieś i dwór, leżące w rejonie prużańskim, odległe o 5 km na północny-wschód od Łyskowa, miejsca spoczynku poety Franciszka Karpińskiego. Dwór godny jest wspomnienia, gdyż żył tutaj i pracował drugi, obok Karpińskiego, poeta ziemi łyskowskiej, Albin Dziekoński.

Mogilowcami zachwycał się, w swoim przewodniku po województwie białostockim Mieczysław Orłowicz pisząc, że we wsi jest kilka malowniczych chat, ocienionych drzewami, a za rzeczką Chorówką, w wielkim parku, na wzgórzu, zachował się XVIH-wieczny dwór Dziekońskich, jeden z najpiękniejszych w powiecie. Dwór ten, z grubego muru, wysoko podpiwniczony, w XIX w. poszerzony i upiększony.

Nie wiemy, jak wyglądało wnętrze. Gdy biskup Ropp wizytował parafię w Łyskowie, to przenocowano go w Mogilowcach, w pokoju przedzielonym filarami: w jednej jego części rodzaj saloniku z empirowymi meblami, krytymi materią szarozieloną, drugi z dwoma olbrzymimi łóżkami mahoniowymi w kształcie dużych łodzi z branżami.

Jedna z pamiętnikarek, która odwiedziła Mogilowce w 1835 r., kiedy to dwór ten należał jeszcze do Bychowców, zanotowała: „W Mogilowcach państwa Bychowców, gospodarka wzorowa i ogród kwiecisty, a na cmentarzu parafialnym w Łyskowie, grób Karpińskiego ze znajomym napisem „Oto mój dom ubogi".

To w majątku Mogilowcach Bychowca w dwudziestych latach XIX w., nauczyciel gimnazjum w Wilnie, Klimaszewski, odnalazł z bibliotece magnata słynną „Kronikę Bychowca", pisaną w języku białoruskim w połowie XVI w. i obejmującą dzieje Białorusi i Litwy do roku 1505.

W drugiej połowie XVIII w, Mogilowce przeszły w posiadanie Dziekońskich, po dwóch wujach Bychowcach. Z kolei bezdzietny Kazimierz Dziekoński, przekazał dobra swojemu krewnemu, Albinowi Dziekońskiemu, zapewniając jednocześnie dożywocie swojej żonie, Stefanii z Tołłoczków.

Na razie rządziła więc w Mogilowcach Stefania. Była zaradna i czynna społecznie. Korzystając z tolerancji religijnej, rozpoczęła starania o budowę kościoła w Łyskowie. Kościół misjonarzy zabrany był na cerkiew. Na cmentarzu łyskowskim, przy cerkwi, znajdował się w zupełnym opuszczeniu grób Franciszka Karpińskiego. Dziekońska chciała przenieść zwłoki poety na inne, bardziej odpowiednie miejsce. Chcąc zgromadzić odpowiednie fundusze, zwróciła się z apelem do wielkich ludzi, a między innymi do Henryka Sienkiewicza i Elizy Orzeszkowej. Odnalazła też rodzinę Franciszka Karpińskiego w Ameryce, posyłając fotografię opuszczonego grobu. Nadesłali większą sumę pieniędzy. Fundusze gromadziła we wszelki możliwy sposób, nawet wygrane w karty szły na odbudowę kościoła. Jakoż nowy kościół stanął. Nie wiemy jednak czy odnowiono nagrobek Karpińskiego.

Stefania Dziekońska była osobą serdeczną, ale arbitralną, czasem gwałtowną, wobec czego Albin Dziekoński w tym zamęcie czuł się nieszczęśliwy, zwłaszcza, że był wrażliwy nad miarę. Urodził się w majątku Piotrowicze, pow. kobryńskiego. Dzieciństwo spędził na wsi. Maturę zdał w Rydze. Studiował początkowo rolnictwo w Belgii, ale później przeniósł się na romanistykę do Lozanny. Wojna przerwała studia. Pierwszą wojnę światową spędził w Rosji, dokąd był zmobilizowany jako urzędnik wojskowy. W roku 1917 ożenił się z Zofią Malińską, córką adwokata wileńskiego. Usynowiony przez swoich dalekich krewnych, zamieszkał wraz z żoną w 1920 r. w Mogilowcach, majątku pięknym, ale zabitym deskami od świata, gdyż do najbliższej kolei było 50 km, a i do szosy nie było bliżej. Podobno gospodarował dobrze, ale naprawdę interesował się tylko poezją, muzyką i filozofią. Spokrewniony był z Elizą Orzeszkową. Cierpiał na wrodzoną wadę serca i zagrożony był gruźlicą.

Martwił się, że nie bierze udziału w polskim życiu literackim i ma utrudniony kontakt z pisarzami. Żyjąc więc z dala od ludzi i ruchu umysłowego, czuł się nieszczęśliwy i żalił się w swoich zwrotkach:

Mam ja na bagnach zielonych nierealną willę
pracuję tam wzruszeniem, samotny jak kokon.
Czasami tak jest lepiej (razjeden pro mille)
niźli pysznić się górnie kruszcem i opoką.

Nie była to jedna willa, chociaż rzeczywiście „nierealna". Był to neoklasyczny, zabytkowy pałac, może trochę podupadły, z kapliczką drewnianą w parku. Dobra obejmowały 3300 ha ziemi, w tym prawie połowę lasu. W zbiorku poezji, który wydał pod tytułem *Zielone Mogilowce,* pisał:

Kaplica modrzewiowa ponoć starsza od domu,
ale kto dom budował, dom podobny do promu?
Wieczorem pachnie bryzą szeroki rozlew rzeki
we mgle widzę horyzont i brzeg mój niedaleki.

Wydał kilka tomików swoich poezji, które dzisiaj są trudne do odszukania. Należą do nich: *Bajki, satyra, liryka, Eklogi, Motywy z miasta, Dwa glosy, Dramat Lucyfera, Na zachód, Rzeczy podejrzane,* no i wspomniane wyżej *Zielone Mogilowce.*

Pozostał Albin Dziekoński niedoceniony, może zapomniany. Zginął, jak większość obszarników w 1939 r. Nie wiemy, w jakich okolicznościach i gdzie spoczął na zawsze.

Głos znad Niemna, 22 - 28 maja 1995 r., s. 4

Mścibów

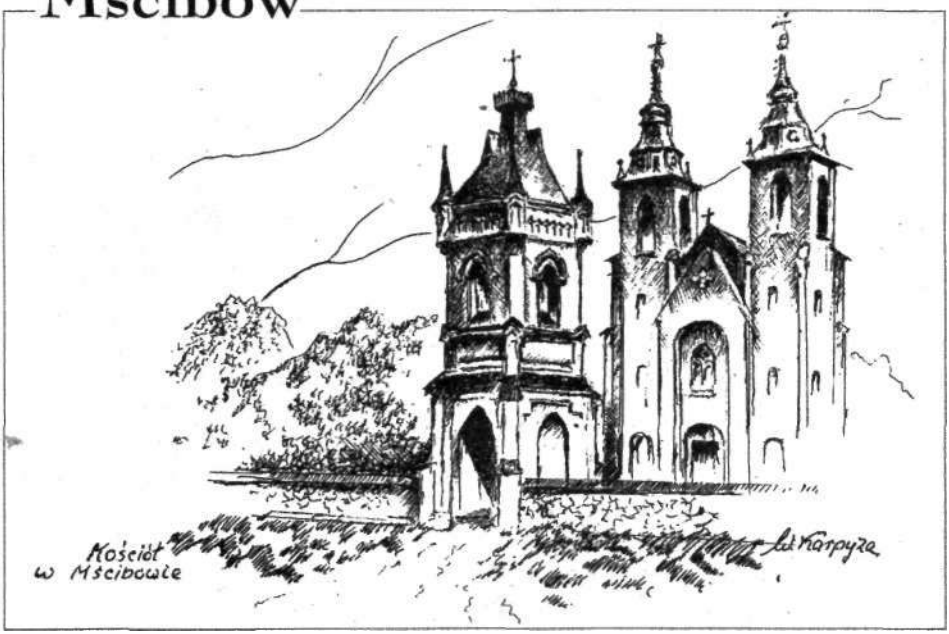

Mścibów, wymieniany w przeszłości przez kronikarzy na równi z Wołkowyskiem, Brześciem, czy Słonimem, a dzisiaj do tego stopnia podupadł, że nie jest nawet siedzibą siełsowietu. Przyczyny tego należy się dopatrywać w niedogodnej komunikacji, łączącej miasteczko ze światem. Kolej żelazna, mimo że przechodzi w bezpośrednim sąsiedztwie, nie posiada tutaj przystanku, a szosa Wołkowyska - Białystok omija miasteczko o 3 kilometry na północ od niego.

Maciej Stryjkowski, znany kronikarz, poświęca Mścibowowi następujący urywek: „Na Nowogródku mieszkał (Erdzwił), stolcu ruskim głową. Mając przeciw Tatarom obronę gotową. Wołkowysk i Mścibohów też znowu zbudował. Gdyż to srogi Tatarzyn wszystko był splądrował".

A w innej swej pracy dodał: „Olgierd mszcząc się w 1330 r. za śmierć Giedymina, spustoszył Prusy Krzyżackie, wspomagany, między innymi, przez Korjata z nowogródzką, wołkowyska i mścibowską szlachtą".

Legenda o dawnej świetności miasteczka przetrwała w podaniach miejscowych ludzi, a Michał Federowski zanotował wypowiedź niejakiej Józefy Osławskiej, mieszkanki Mścibowa: „Naszeje Mścibowo, to nie żarty jakoje, kaliści było wielikoje miasto. Ot, na szto, kala leska daj na try wiersty kala Hałowaha Łuha, to jaszcze bruk wyhorywajuć. A na hetaj hare, pamiż tema rekami, stajau zamok, ale jak była wajna szwedzkaja, taj toje miesta splandrawali i zamok spalili".

Jakoż istotnie był tu książęcy, drewniany zamek obronny, położony wśród bagien, wtulony w ramiona rzeczek Połonki i Hniezny. Do dzisiaj zachowało się grodzisko o średnicy 30 m, wzmocnione dwoma wałami. Wał wewnętrzny jest wyższy i ma wejście z boku wschodniego. W odległości 150 m od grodziska ciągnie się wał o wysokości 1,5 m, którego końce giną w podmokłej łące.

Zamek aż do wojen szwedzkich, kiedy był wraz z miasteczkiem spalony, był dobrze obwarowany i strzeżony. W 1528 r. przetrzymywani tu byli znaczni jeńcy moskiewscy jeszcze z czasów bitwy pod Orszą: Mitiurow Rastopczyn, Andrej Rastopczyn i Sidor Sawin syn władyki rostowskiego. Na utrzymanie jeńców dawano jeden grosz na głowę. Otrzymywali też zasiłki od swoich rodzin. Moskwa nie miała w tym czasie znaczniejszych jeńców, więc Rzeczypospolita za wymianę żądała zwrotu Smoleńska lub Czernihowa, ale bojarzy moskiewscy w przetargach rozumowali po swojemu. „Jeńcy-ludzie śmiertelni. Wymrą, więc korzyści z nich żadnej. A zresztą, gdy popadli w niewolę, umarli oni dla nas. Jakże ma oddawać gosudar groby za nich?".

W drugiej połowie XVI w. zamek Mścibowski staje się miejscem narad szlachty i magnatów litewskich. Narady takie miały miejsce w latach 1572,1576, 1605. Na zjazd w 1572 r. przybyli z Korony Piotr Zborowski - wojewoda krakowski i Jan Tomicki - kasztelan gnieźnieński. Wzywali oni Litwinów do konwokacji i wspólnej elekcji przyszłego króla, gdyż zmarł już ostatni z Jagiellonów. Senatorowie litewscy powiadomili natomiast, że muszą zasięgnąć rady swojej* szlachty. Zażądali przy tym zwrotu Podlasia i Wołynia i żeby moneta litewska miała swobodny obieg w koronie.

Ważniejszym był zajazd w 1576 r., gdy po odjeździe Henryka Walezego, wahano się w wyborze na króla miedzy Batorym a Maksymilianem. Wielką rolę na tym zjeździe odegrał Jan Chodkiewicz, kasztelan wileński i starosta żmudzki, który zgodził się na wybór Batorego, a Czech - Jan Kuchcicki, przybyły tutaj od Maksymiliana, odjechać musiał bez sukcesu. Zjazd więc wysłał do Warszawy poselstwo, oznajmiając zgodę na Batorego.

Przypuszczalnie w 1451 r. otrzymał Mścibów z nadań „hospodarskich" Jan Kieżgajłowucz, starosta żmudzki. Nadanie to zostało w 1473 r. poszerzone o dworzec Anderzejkowski (dziś Anderzejowice). Majątek ten uległ później znacznemu zwiększeniu. W 1528 r. należały już do Mścibowa także dwory: Hrynkowski, Rusinowski i Chrustów, z których zarządzano mniejszymi majątkami.

Stanisław Kiżgajło, wnuk wyżej wspomnianego Jana, zapisał na dobrach mścibowskich wiano żonie swojej, Annie Kiszczance, ale w roku następnym sporządził, że po jego śmierci jedna trzecia jego olbrzymich dóbr przejdzie na króla Zygmunta Augusta. Stanisław Kiżgajło zmarł w 1532 r. a w parę miesięcy po nim i jego żona. W 1533 r., w imieniu Zygmunta Augusta, na mocy testamentu Kiżgajły, Mścibów i Zęlwę przejęła królowa Bona i utworzyła z dóbr Mścibów tak zwane starostwo niegrodowe i wzięła się za gospodarkę. Zaczęła od sprawdzenia legalności posiadania przez szlachtę mścibowską niektórych ziem, otrzymanych z nadań kieżgajłowskich.

Dobra mścibowskie królowa Bona oddała w administrację swojemu wypróbowanemu współpracownikowi, Iwanowi Hornostajowi, podskarbiemu ziemskiemu. Ten, mając poparcie obojga królestwa, nie dopuszczał panów rady do szafowania groszem publicznym i nie przyjmował od nich żadnych poleceń. Miał więc wśród dostojników wielu wrogów i Zygmunt I, opuszczając Litwę w 1536 r. oddał Hornostaja pod opiekę wojewody, Jana Zabrzezińskiego, ale i tak życia lekkiego nie miał i w jednym z listów zachowała się jego skarga - „A jeśli panie hospodynie, chciał mnie bić i za brodę brać, Wasza Miłość raczcie mnie

bronić". Umarł nagle na zamku w Mścibowie w 1569 r.

W następnych latach, aż do rozbiorów Rzeczypospolitej, starostwem mścibowskim zarządzali starostowie. Wszyscy oni pochodzili z możnych i wpływowych rodów magnackich na Litwie, a więc Hornostajów, Wołłowiczów, Wiesiołowskich, Rakowskich, Hlebowiczów, Sapiehów, Massalskich, Brzostowskich, Ogińskich. W 1547 r. królowa Bona rozpoczęła pomiary dworów włości mścibowskiej, powierzając to Jerzemu Włoszkowu, który równocześnie rozmierzał i Słonim.

W 1618 r. do starostwa Mścibowa należały: Montowity, Dziergiele, Wierobiejki, Leonowicze, Bobrowniki, Bobrowniczki, Czurysze, Jaszkowicze, Rudawy, Bortniki, Jatwieź i Oleszyszki. Obejmowały one 216 włók i dawały rocznie 303 kopy groszy dochodu. Było to drugie co do wielkości starostwo w powiecie wołkowyskim. Kolejność była następująca:

starostwo wołpaińskie	-336 dymów
starostwo mścibowskie	- 227 dymów
starostwo wołkowyskie	-184 dymów
starostwo jałowskie	-138 dymów
starostwo dziackie i żyleckie	- 29 dymów.

Taki był stan po kryzysie demograficznym, spowodowanym wojnami XVII w., jakie wówczas nawiedziły Rzeczpospolitą. Nie ominęły one i Mścibowa i należących do niego wsi. Z 543 dymów, pozostało 314 a więc zniszczenia sięgały 57,8 %.

Szczególnie od tych wojen ucierpiał i sam Mścibów. Wymienia się go wśród takich miast, jak Kowno, Słonim, Orsza, Nieśwież i Mołczadź, które zostały „przez ogień zrujnowane i w popiół obrócone". Dlatego też uchwałą sejmową z 1657 r., zostały one zwolnione na lat 4 od wszelkich podatków i stanowisk żołnierskich.

Dawniej były w Mścibowie dwa większe jarmarki, na których handlowano końmi i bydłem. Nie dorównywały one wprawdzie jarmarkom w pobliskiej Zelwie, czy Świsłoczy, ale zjeżdżano na nie chętnie. Mamy na przykład wiadomość, że w 1690 r. kupiec z Bielska wiózł do Mścibowa znaczną ilość wyrobów żelaznych, takich jak noże, mosiądz, a także farby i cebulę. Później jarmarki te podupadły, chociaż wzrosła ich ilość. W okresie międzywojennym odbywały się tutaj targi, a raczej jarmarki w następujących dniach: 5 każdego miesiąca, 1 i 22 marca, 18 i 24 kwietnia, 6 i 25 czerwca, 26 listopada i 27 grudnia. W różnych pamiętnikach znajdujemy wzmianki o Mścibowie. Jako ciekawostki i obrazki epoki, niektóre z nich przytaczam:

W dniu 13 stycznia 1546 r. w zamku mścibowskim nocował Zygmunt August, przejeżdżając tędy na kilkudniowe polowanie do Puszczy Białowieskiej. 13 lipca bawił tutaj Jan Kazimierz, wydając uniwersał, by wobec nowego najazdu moskiewskiego pod wodzą Czerkaskiego i Boriatyńskiego, wojsko gromadziło siępodDołhinowemwdniu 17 lipca.

A Jan Pasek musiał mieć coś wspólnego z Mścibowem bo pod rokiem 1662 zanotował: „Dano mi list otworzysty do miast i miasteczek, żeby mi wszędzie było niebronne pożywienie quantum satis i do wojewody listy sekretne. Oddano mi przedtem dragonijej z regimentu Pana Wojewody do obozu, których pogromiono we Mścibowie, że tam w czymś zbytkowali, na gwałt uderzono, nasieczono kilkunastu, a do króla przyszło osiemnastu z wachmistrzem, prosząc o list do przejechania. Król tedy rzekł: - Posyłam ja tam towarzysza, więc idźcie

pod jego komendę, a słuchajcie go we wszystkiem, kiedyście to tak swawolni, że na was miasta wołają".

W swoim „Diariuszu" często wspomina o Mścibowie Antoni Chrapowicki. Oto parę cytatów: „21.01.1658. Ścięto Węgrzyna, rotmistrza pieszego, który zabił Ordę, ten umarł we Mścibowie". „05.06.1660 r. Przyszła wiadomość, że jakoby Chowański miał iść pod Brześć z wojskiem a podjazd moskiewski był pod Mścibowem". „20.08.1660 r. Jadąc ze Mścibowa rano, zginęła mi z wozu szabla moja kochana, a przy niej łyżka złocista".

Wiele wojen prowadzonych przez Rzeczypospolitą, zahaczało o Mścibów. Od roku 1792 wspomina Sułkowski: „Polacy chcieli po Zelwie i Świsłoczy odpocząć, ale dnia 9 wieczorem odebrał Zabiełło dwie ważne wieści, że Rosjanie zajęli opuszczony przez nas Mścibów i że kolumna Denisowa znajduje się już w Krynkach... Pozostaje więc atak na Mścibów, aby ułatwić odwrót... Sześć szwadronów rozbili setkę kozaków, a następnie rozbili regiment i ścigali go do Mścibowa, ale tutaj mogli zginąć wszyscy, gdyby nie pomoc czwartego szwadronu regimentu Kirkora, którzy osłaniali ich odwrót aż do Swiałoczy ze stratą 200 ludzi".

Jeszcze raz o Mścibów otarła się historia, kiedy to w czasie powstania w 1830 r., przeciągał tędy na czele wojska generał Dezydery Chłapowski, aby powstrzymać powstanie na Litwie.

„Między Mścibowem, a Hnieznem - wspomina Chłapowski - schwytaliśmy oficera grenadierskiego, od którego dowiedzieliśmy się o obecności Wielkiego .Księcia Konstantego z żoną w Słonimie. Po naradzie napisali list do księżnej Łowickiej, że wkrótce się być może zobaczą, gdyż maszerują na czele z przednią strażą wojska polskiego do Słonima i z tym listem zawrócili grenadiera do Konstantego. Ta wieść zrobiła ogromne wrażenie w Słonimie i odwróciła uwagę od naszego pochodu na północ".

Jako niemy świadek minionych wojen, w odległości 300 metrów od miasteczka, tuż za cmentarzem zachował się obwałowany krąg o średnicy 100 m. W miejscowej legendzie przetrwała nazwa kręgu, jako „kuchnia szwedzka".

Kościół w Mścibowie ufundowali dość wcześnie, bo w 1485 r. Kiżgajłowie. Parafia należała do bogatych, gdyż była uposażona 58 „dymami". Wspomniany jest on jeszcze w 1547 r. W1660 r. został spalony, ale wkrótce na koszt Aleksandra Kotowicza został odbudowany. Świątynia była drewniana i w 1700 r. uległa ponownie pożarowi, ale w 1715 odbudował ja Kazimierz Ogiński, starosta mścibowski. Ale i ta budowla okazała się nietrwała i musiano ją przebudowywać. W połowie XIX w. została uszkodzona przez burzę i w 1849 r. kosztem proboszcza i parafian została odnowiona, ale i tam, po zapadnięciu się wieży popadła w ruinę. Wzniesiono więc nowy, drewniany kościół, który przetrwał do 1910 r. W tym to roku stary kościół rozebrano, a z jego szczątków zbudowano plebanię i prowizoryczną kaplicę. Staraniem księdza Marka Buraka, rozpoczęto budowę nowego, dwuwieżowego, z czerwonej cegły. Budowę zakończono w 1922 r., a poświęcił go arcybiskup wileński, ks. Jałbrzykowski. Głównym ofiarodawcą był Edward Tołłoczko z pobliskich Wierdomicz. Robotami kierował inżynier Dziekoński. Nieco później wzniesiono malowniczą dzwonnicę w stylu neogotyckim.

Niewiele mamy wiadomości o miejscowych proboszczach. W 1690 r.

wymieniony jest ks. Kazimierz Sudnik, „sekretarz Jego Królewskiej Mości". W latach 1808-1810 proboszczował tutaj ks. Kazimierz Roch Dmochowski, późniejszy arcybiskup mohylowski. Ks. Aleksander Rymkiewicz był w 1886 r. oskarżony przez władze carskie, że wyjeżdżał poza granicę swojej parafii. W rok po nim parafię objął ks. Dominik Jarosz, ale i ten nie przypadł władzom do gustu i został w 1891 r. aresztowany i osadzony na półtora roku w klasztorze pofranciszkańskim w Grodnie. .

Ks. Marek Burak został przez Niemców rozstrzelany w dniu 15 lipca 1943 r. w lasku zwanym Wiszownik pod Świsłoczą. Po wojnie parafianie ekshumowali jego zwłoki i pochowali przy kościele mścibowskim, stawiając tam pomnik z napisem „Świętej pamięci ks. Marek Burak, kanonik mścibowski, żył lat 64, zmarł śmiercią tragiczną dnia 15 lipca 1943 r. Prosi o modlitwę".

Mało wiemy o istniejącej tutaj cerkwi. Zawsze była drewniana. Obecnie cerkwi tutaj brak. Istniała jeszcze w czasie ostatniej wojny.

Trochę wiadomości o tutejszych Żydach zawdzięczam Tomaszowi Wiśniewskiemu z Białegostoku. Informuje on, że już w 1529 r. istniała tutaj gmina żydowska. Województwo nowogródzkie podzielono na trzy okręgi: nowogródzki, mścibowski i słonimski. Okręg mścibowski składał się w XVIII w. z następujących jednostek administracyjnych: gmina mścibowska była przewodnia dla gmin: Rosi, Swisłoczy i Brzostowicy. Z czasem gminy te administracyjnie od Mścibowa odpadły i obwód kahalny w Mścibowie powoli tracił na znaczeniu. Druga wojna światowa przyniosła Żydom zagładę, ale cierpieli i inni. „Dostało się w ręce Niemców - czytamy w pamiętniku Chusteckiego - dwunastu Rosjan i dwu Mongołów. Kazano im siadać i po godzinie ustawić się w dwuszeregu naprzeciw cerkwi, plecami do niej. Ustawiono ckm. Seria kul puszczona po głowach, położyła jeńców pokotem pod domem, który zajmowała komenda niemieckiej żandarmerii polowej".

Tenże Chustecki, który za czasów niemieckiej okupacji był sołtysem w Prudnie (gmina Mścibów), przytaczał autentyczną anegdotę, gorzką, ale dobrze charakteryzującą wyzysk zastraszonej ludności.

Niemcy nakazują wsi Prudno sprowadzić wszystkie krowy do kontroli. Mniej mleczne pójdą na rzeź. Na ludzi padł wielki strach. Sołtys radzi kupić dwa litry miodu, do tego jakąś tłustą owcę i kopę jaj i z tym pojechać do komisarza. Podają miód i jajka z koszem.

- Panie komisarzu, mamy tłustą owcę na wozie.
- Aż tyle ? Za cóż to?
- Gromada jest panu wdzięczna za ojcowską opiekę nad nami i teraz prosimy wszyscy, niech pan zostawi krowy w spokoju i nie każe prowadzić ich na przegląd do gminy.
- Fiu! To gruba sołtys sprawa, ale kiej was lubię bośta szczyry chłop, to jus was to zrobię.
- Serdecznie panu komisarzowi dziękujemy. Obiecujemy, że wszystko, co~ będzie możliwe dla nas wykonamy.
- Nu, to sołtys, zakrykolcie tę owcę tam u siebie w domu, a jutro mi \ przywieźcie furą, ale tak, żeby nie widział rolny".

Głos znad Niemna 14 - 20 sierpnia 1995 r.

Nowy Dwór

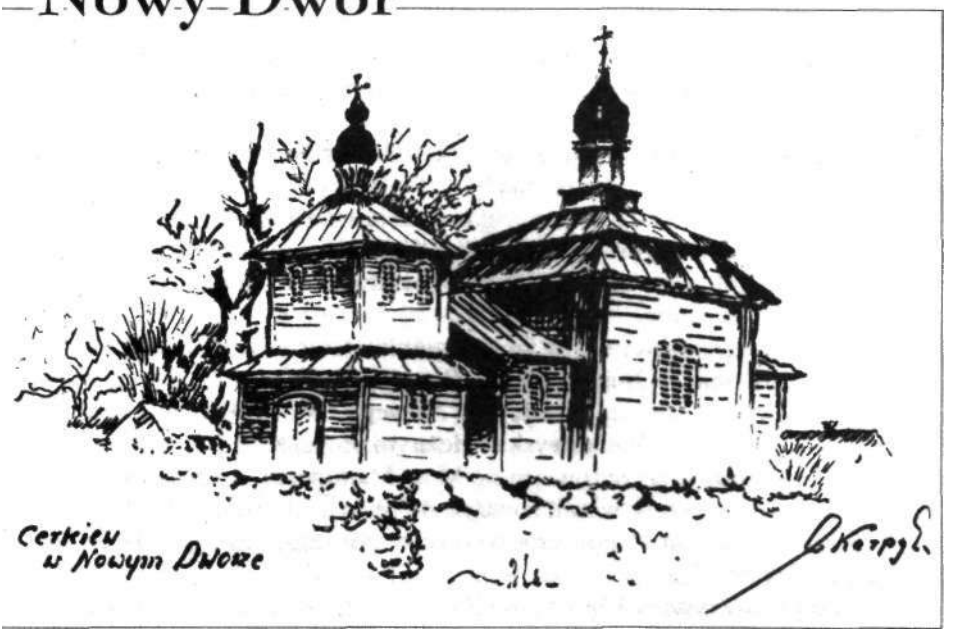

„Nowy Dwór - miasteczko nad rzeką Mieszanką, blisko źródeł Rosi, powiatu wołkowyskiego, przy drodze z Prużan do Wołkowyska, o 38 wiorst od niego, ma 1183 mieszkańców (563 mężczyzn, 620 kobiet), w tej liczbie 100 Żydów. Cerkiew. Miasteczko ma pozór wsi. Miejscowość piaszczysta i błotnista. Ludność się trudni handlem bydła. Parafia prawosławna, dekanatu (błohoczynnia) podoroskiego ma 1648 wiernych (800 mężczyzn, 846 kobiet). W roku 1808 było 612 unitów".

W sto lat później inne źródło o Nowym Dworze pisze „Wioska w świsłockim rejonie, grodzieńskiej obłasti, na rzece Narew. Centrum sielsowietu i sowchozu „Nowy Dwór". 40 km na płd.-wsch. od Swisłoczy, 130 km od Grodna, na drodze samochodowej łączącej Nowy Dwór z Porozowem. Leśnictwo, sklepy. Średnia szkoła, klub, biblioteka, przychodnia, apteka, żłobek, poczta, stołówka, 2 sklepy. Faszyści stracili 46 mieszkańców wsi. Na mogile 109 sowieckich żołnierzy pomnik. Spoczywają pod tym pomnikiem też zwłoki partyzantów i osób cywilnych".

Miasteczko niewątpliwie stare, za takie uznane już w roku 1518, odwieczna włość wielkoksiążęca i królewska i swoje znaczenie w przeszłości zawdzięcza położeniu przy drodze królewskiej, jaka wiodła z Krakowa do Wilna. Niektórzy przypuszczają, że przez Nowy Dwór szła droga do Różany i dalej do Moskwy, i że prawdopodobnie istniał tutaj zameczek. Moim zdaniem był tutaj raczej dwór (zresztą sama nazwa na to wskazuje) i solidnie umocniony, jako miejsce częstego pobytu Wielkich Książąt Litewskich i królów, jadących między Krakowem a Wilnem. O znaczeniu Nowego Dworu w owych czasach sugeruje stara mapa Gródeckiego, na której Nowy Dwór figuruje, jako miejscowość

większa niż Bielsk i posiadająca już cerkiew.

Rzeczywiście, na wszystkich starych mapach Nowy Dwór jest zaznaczony. Itak:

- Na mapie Europy Erazma Gerarda Merkatora, oprócz Nowego Dworu na terenie powiatu wołkowyskiego zaznaczone są tylko Wołkowysk, Zelwa, Wolpa i Porozów.
- Na mapie Wacława Gródeckiego z roku 1562 obok Nowego Dworu w powiecie wołkowyskim występują tylko Wołkowysk i Mosty.
- Na mapie z roku 1565 Chrystiana Sgrootena jest zaznaczony „Novi-dur". Oprócz tych miejscowości figurują tylko Wołkowysk i Mosty. Wszystkie te miejscowości leżą przy słynnej drodze królewskiej, stąd ich znajomość i znaczenie.

Nowy Dwór występuje w opisie granic Puszczy Świsłockiej z 1595 r. Przytaczam fragment: „Opisanie granic Puszczy Świsłockiej, która się poczyna od Puszczy Łyskowskiej, od miasteczka Nowego Dworu, a graniczy gościniec, który idzie z Brześcia do Wołkowyska należnym do puszczy. Na gościniec z pola wyjeżdżając jest uroczyszcze zowiące się Most-Markowaty (czyżby Markownik?), za nim drugie uroczyszcze w mili zowiące się Most Hołobaty, gdzie się rzeką na rzece poczyna. Za nim drugie uroczyszcze w pół mili jadąc gościńcem zowią Swatnicze Mogiły...".

Nowy Dwór wraz z Wójtostwem Porozowskim wchodził w skład Starostwa Wołkowyskiego. Znany jest mi dokument z 1518 r. nadający Jerzemu Hlebowiczowi Nowy Dwór wraz ze starostwem wołkowyskim. Podaję go w tłumaczeniu na polski: „Zygmunt Bożej... oznajmujemy. Bił nam czołem dzierżawca wołkowyski pan Jerzy Hlebowicz o tem, że swego czasu daliśmy mu w dzierżawę dwór Merecz w dożywocie i list nasz na to mu dali, że do końca swego żywota nie mieliśmy go z dzierżawy tej ruszać, ale wskutek potrzeby naszej i ziemiańskiej, dwór ten myśmy mu zabrali a w zamian daliśmy mu dwór nasz Wołkowysk, a on nam bił czołem i mówił, że dobra jego wszystkie są zabrane od nieprzyjaciela naszego moskiewskiego, wobec czego nie ma się czym pożywić, więc abyśmy ten dwór nasz wołkowyski z dochodami i działkami jęczmiennymi i owsianymi, z sianem dziakielnym i ze wszystkimi dochodami urzędników i dworzan naszych z miast w powiecie wołkowyskim Porozowa i Nowego Dworu dali mu w dożywocie... My więc pamiętając o wiernej służbie ojcu i bratu naszemu ich królewskim mościom i nam też, z powodu utraty majątków jego i na jego prośbę uczyniliśmy, aby dwór nasz wołkowyski z dochodami i z działkami jęczmiennymi i owsianymi i z sianem dziakielnym i ze wszystkimi dochodami urzędników i dworzan naszych z miast i włości Wołkowyskiego, Porozowskiego i Nowodworskiego, daliśmy mu w dzierżawę w dożywocie i my do końca żywota nie będziemy go z tego dworu ruszać i nikomu tego dworu w dzierżawę i w zastaw dawać nie będziemy. A horodniczy grodzieński i inni dworzanie, którzy jakie dochody z tych dóbr mieli, nie będą nadal pobierali. I na to daliśmy list z naszą pieczęcią. A byli przy tem panowie rada nasza: kniaź Wojciech - biskup wileński, kanclerz Mikołaj Mikołajewicz Radziwiłłowicz, pan wileński, hetman najwyższy starosta łucki, brasławski i Winnicki, marsza^jk^ wołyńskiej ziemi kniaź Konstanty Iwanowicz Ostrogski, wojewoda trocki, marszałek nadworny - pan Grzegorz

Stanisławowicz Ościkowicz, marszałek ziemski, dzierżawca mozyrski - pan Olbracht Marcinowicz Gasztold, starosta grodzieński - pan Jerzy Mikołajewicz Radziwiłłowicz, wojewoda nowogródzki, dzierżawca markowski - pan Jan Janowicz, starosta brzeski marszałek - pan Jerzy Iwanowicz Ilinicz. Pisano w Brześciu roku Pańskiego 1518, dnia 18 stycznia, induktu 7".

Ponieważ Nowy Dwór wchodził w skład powiatu wołkowyskiego, należy sądzić, że wszyscy starostowie wołkowyscy władali jednocześnie i Nowym Dworem. A oto oni:

1484 - 1494 - Iwan Dowojnowicz
1496-1505 - Wojciech Koczukowicz
1506-1509 -JanZabrzeziński
1511 -Janusz Aleksandrowicz Holszański
1518-1520 -Jan Jerzy Hlebowicz
1522 -1543 - Maciej Wojciechowicz Kłoczko
1546-1552 - Wasyl Tyszkiewicz
1556 - Mikołaj Naruszewicz
1557-1575 - Jan Tyszkiewicz
1576 -Mikołaj Drohostojewski
1637 - Mikołaj Kiszka

Jak zaznaczyłem, Nowy Dwór leżał na ważnej kiedyś drodze, łączącej Wilno z Krakowem, wobec czego miasteczko gościło wiele głów koronowanych. Znany jest pobyt w Nowym Dworze Zygmunta Augusta w dniu 15 maja 1544 r., kiedy to monarcha jechał z Wilna do Krakowa. Być może, że przebywał tutaj także w dniach 2-16 lutego 1544 r., kiedy to polował w „lasach wołkowyskiego powiatu". W roku 1551 przez Nowy Dwór Zygmunt August prowadził zwłoki królowej Barbary z Krakowa do Wilna.

Tenże monarcha w dniu 29 kwietnia 1562 r. wydał uniwersał specjalnie kierowany do „wójtów, burmistrzów, radcom i wszystkich mieszczan miast naszych: Wolkowyska, Zdzitowiecka, Mołczadzi, Porozowa i Nowego Dworu" a nakładającego 10 % podatek na wojnę inflandzką, na wszystkich pożyczających pieniądze na lichwę, handlujących zbożem i słodami, złotem, kosztownymi kamieniami, słusznie utrzymując, że ci jako nie osiadli, nie podlegali żadnym podatkom z handlu, żadne zyski, często ze szkodą królewską i ziemiańską. Dochody swoje mieli zeznawać pod przysięgą. W tym celu w wyżej wspomnianych miastach naznaczeni zostali specjalni poborcy. Dokument wystawiony był w Wilnie Roku Pańskiego 1562, kwietnia dnia 29.

Toczone przez Litwę, a później przez Rzeczpospolitą wojny, zahaczały i o Nowy Dwór. Podobno, znaczna część mieszkańców miasteczka, to potomkowie Tatarów, którzy w bliżej nieokreślonym czasie, zostali otoczeni i wzięci do niewoli, a później osadzeni w Nowym Dworze. Boleśnie odczuto tutaj i wojny szwedzkie, podczas których miasteczko miało być spalone i opustoszałe, co zresztą się potwierdza w zeznaniach późniejszych dzierżawców. Być może, że i o Tatarach nowodworskich ślad zaginął. Ślady pobytu Szwedów zachowały się w podaniach ludowych. Jedno przytaczam"

„Koło Nowego Dworu jest kamień wielki (podobno zwykły granit narzutowy), który jest bardzo pomocny przeciwko wściekliźnie dla ludzi

i zwierząt. Leży on koło chlewa pewnego człowieka, więc ludzie przyjeżdżają i po kawałku odbijają i z chlebem dają pokąsanym przez wściekłe psy. Mówią, że w czasie gdy u nas wojowali Szwedzi i gdy jednego z nich pokąsał wściekły pies, to on tym kamieniem się wyleczył, co nasi ludzie popatrzyli i zaczęli go naśladować. Dawniej ten kamień pomagał, bo kto chciał, ten sobie go wziął, a odbijać go trzeba było o wschodzie lub o zachodzie słońca, a teraz ten człowiek bez pieniędzy nie daje. Trzeba mu zapłacić złotówkę, więc i kamień tak dobrze nie pomaga".

W roku 1690 „wójtostwo nowodworskie" dzierżawił Hrehory Ogiński, o czym czytamy: „Atestacja wielmożnego im. Pana Hrehorego Ogińskiego, chorążego W. Ks. Lit., wołkowyskiego, mścibowskiego, tryskiego starosty, w Księstwie Żmudzkim juramentu wykonanego, starostwa wołkowyskiego, z młynami dwoma, ogrodnikiem jednym i z włością do starostwa fundiutus spustoszałej z dymów ogólnie z wójtostwem Nowodworskim 30".

Tenże Ogiński miał jeszcze w dzierżawie starostwo mścibowskie i jako własność Łopiennicę. Ogółem więc płacił podatek za 123 dymy. Hrehory Ogiński był jednym z przywódców słynnej bitwy szlachty z Sapiehami pod Olkiennikami. Był później hetmanem wielkim litewskim. Został pochowany w Łopiennicy w kościele franciszkańskim.

W czasie wojen napoleońskich w okolicy Nowego Dworu zgrupowane były oddziały wojsk rosyjskich. Było to jeszcze przed atakiem Napoleona. Sztab armii Bagrationa mieścił się w Wołkowysku. W skład armii Bagrationa wchodził 7 korpus Rajewskiego, rozlokowany w Nowym Dworze.

W Nowym Dworze kościoła katolickiego nigdy nie było. Była natomiast cerkiew. W roku 1690 prezbiterem tej cerkwi był ojciec Jan Zubrzycki, który opłacał podatek ze swojej plebani za dym jeden. W 1808 r. parafia liczyła 512 wiernych, w tym 289 mężczyzn i 232 kobiet. Według Siemaszki ikonostas w Nowodworskiej cerkwi wprowadzono w roku 1836, co jest równoznaczne z przejściem cerkwi do prawosławnych. Być może, że nastąpiło to nieco wcześniej, gdyż jeden z byłych mieszkańców Nowego Dworu opowiadał:

„Miałem w ręku bardzo interesujący dokument, który pokazywał mi nowodworski ksiądz prawosławny w 1932 r., Eustachy Bałubuszewicz. Był to protokół zdawczo-odbiorczy. Dokument nosił datę 1829 r. Unicką parafię zdawał ksiądz Euzebiusz Katerkiewicz. Protokół był sporządzony w języku polskim i takiż był podpis zdającego. Odbierał prawosławny batiuszka, który się podpisał grażdanką".

Wprowadzona nowość nie chwyciła od razu. W latach 1830-1840 w drzwiach cerkwi stał żandarm i konfiskował wchodzącym kantyczki, które były pisane w języku polskim. Ludność traktowała je jako amulet. Jeszcze w latach późniejszych odmawiano przy zmarłych modlitwy zarówno w języku rosyjskim, jak i polskim z owych kantyczek. Zapraszano do tych czynności ludzi starszych, było takich w miasteczku 3-4 osoby. Budowla cerkiewna dotrwała do 1968 r., kiedy ją ostatecznie zburzono.

Jeden z mieszkańców Nowego Dworu przechowywał kuferek z dokumentami pochodzącymi jeszcze z czasów Rzeczypospolitej Szlacheckiej, kiedy to Nowy Dwór był miastem królewskim. W roku 1920, tuż przed przyjściem bolszewików,

oficer polski (kawalerzysta) zrobił u niego rewizję i zabrał dwa dokumenty pergaminowe z pieczęciami. Zabudowania Mateusza Gruszewskiego, który właśnie ten kuferek przechowywał, uległy pożarowi w 1930 r., gdzie reszta dokumentów z kuferkiem spłonęła.

Nowy Dwór zawsze był miasteczkiem i „żadnej powinności nie czynił, prócz tylko czynności u podleśnego, także za owies lasowy płacił ogólnie złotych 273". A Porozów wraz z Wołkowyskiem obowiązany był do naprawy mostów nowodworskich tyle, ile potrzeba. Za czasów carskich Nowy Dwór był miasteczkiem rządowym. Musiano jednak stoczyć boje przeciwko zakusom obrócenia jego mieszkańców w chłopów. W tym celu specjalna delegacja jeździła do Petersburga. Osiągnięto tylko tyle, że pozwolono używać nazwę miasteczka i zwolniono mieszkańców Nowego Dworu od odrabiania pańszczyzny.

W roku 1863 okolice Nowego Dworu objęte były działaniem powstańców. Sprzyjały temu okoliczne lasy, a szczególnie bliskość Puszczy Białowieskiej, Różańskiej i Swisłockiej.

Przez okolice Nowego Dworu przedzierała się w czerwcu 1863 r. z Hrynek do Puszczy Różańskiej grupa powstańców powiatu wołkowyskiego pod wodzą byłego oficera wojsk rosyjskich Gustawa Strawińskiego. Grupa ta w liczbie 160 osób zgrupowała się w okolicy Huty Bychowca do 200 osób. W dniu 6 czerwca 1863 r. w okolicy Łyskowa i Nowego Dworu stoczono walkę pod rzeczką Sciercież. Według źródeł powstańczych miało tam polec 13 powstańców i 130 Moskali. Według danych przeciwnika proporcja ta była odwrotna.

„Na jednym stanowisku czytamy tam, - gdzie dla zgłodniałych koni zbierano liście leszczyny, opuścił oddział na czas jakiś kapitan Zawistowski". Został schwytany przez Moskali i rozstrzelany w Wołkowysku w dniu 22 lipca.

Mieszkańcy Nowego Dworu musieli w jakiś sposób być uwikłani w sprawę powstania, gdyż od 101 osób, mieszkańców tego miasteczka ściągnięto kontrybucję w wysokości 1265 rubli.

Redaktor Jan Katarkiewicz pokazywał mi zdjęcie krzyża z okolic Nowego Dworu, które miało na odwrocie napis „Kwartał 168, sekcja B, Puszcza Białowieska, Leśnictwo Oszczyckie. W tym miejscu, gdzie stoi krzyż, sto lat temu, w 1863 r., w czasie powstania styczniowego byli powstańcy Konstantego Kalinowskiego". Krzyż ten, jako pamiątka został wzniesiony w 1934 r.

„Za Łyskowem, w stronę Jasiołdy i Kosowa jest pobudowana szosa z tłucznia na faszynie i workach z piaskiem o długości około 10 kilometrów. Budowali ją rok, aby się dostać do powstańców, ale ci przez ten czas podobno uciekli. Byłem tam z sekretarzem gminy, Rygorewiczem a opowiadał nam o tym staruszek ze wsi Huta. Szosa jest w dobrym stanie, ale nie jest uczęszczana. Obok szosy topiel".

W 1937 r. Nowy Dwór liczył 1400 mieszkańców. W 1934 r. pożar zniszczył miasteczko. Spłonęło wówczas 15 budynków mieszkalnych i 48 zabudowań gospodarczych.

Magazyn Polski

Podorosl

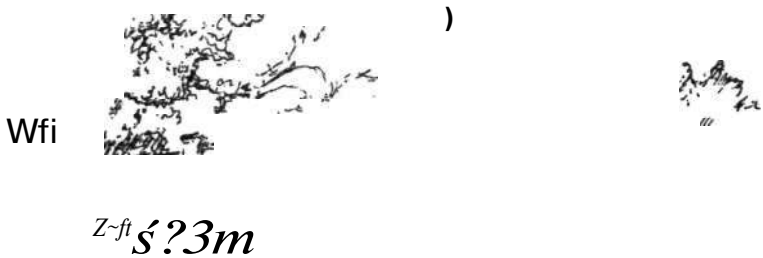

=?•;

V *Podoroi-<H* \£>- **L ; ^ 1 ^** \ >,

Dawniej miasteczko, a w okresie międzywojennym wieś gminna położona w pagórkowatej okolicy nad rzeką Zelwianką, przy rozwidleniu dróg prowadzących do Różany i Łyskowa. Okolicą Podoroska zachwycał się w swoim przewodniku po powiecie wołkowyskim Orłowicz pisząc: „Malowniczy trakt na wzgórkach prowadzący do Różany. Okoliczne wsie ładnie zabudowane, słomą kryte, bez kominów" a więc chaty kurne!

Innego zdania jest ksiądz Czermiński, który opisuje Podorosk o kilka lat wcześniej. „Dzisiaj Podorosk jest tylko gminą z 500 mieszkańcami. Ludność tutejsza od wieków mówiąca po białorusku a w roku 1908, z wyjątkiem trzech rodzin katolickich, wszystkie inne są prawosławne, gdyż generał Szczerbatow zmusił ich przodków do odstąpienia od unii, a cerkiew unicką oddał do kultu prawosławnego. Okolica przedstawia się falisto. Lasy przeważnie iglaste, sosny i jodły".

Na początku XVI w. liczne dobra w powiecie wołkowyskim miał Wojciech Janowicz Kłoczko (Łysków, Międzyrzecz, Pietuchowo, Łopiennica i inne), który zmarł w 1514 r., a dobra po nim dziedziczył syn jego, Maciej Kłoczko, zwany czasem w dokumentach Ochmistrzewiczem lub Podarewskim. To ostatnie nazwisko łączy się z tym, że otrzymał on od króla dodatkowy „podarek" w przyszłości zwany Podarewsk, czyli dzisiejszy Podorosk.

Maciej Kłoczko około 1520 r. został marszałkiem hospodarskim i dzierżawcą wołkowyskim. W latach 1522 i 1528 posłował do Moskwy. Królowa Bona go

protegowała. W 1528 r. na popisie wojska stawiał 65 koni- i należał do najbogatszych na Litwie. On to w 1522 r. fundował kościół w Podorosku. Pozostawił tylko jedną córkę, którą wydał za księcia Prokopa Dolskiego. Zmarł w 1543 r. i pochowany został w katedrze wileńskiej, gdzie jeszcze Józef Ignacy Kraszewski widział jego tablicę nagrobną. Tak więc przez ożenek Podorosk wszedł w dom Dolskich.

Prokop Dolski około 1609 r., sędzia ziemski wołkowyski, przestał używać tytułu książęcego a „tak w sądach i biegłością prawa, sumienia i delikatnością każdą sprawę sądził, że Trybunał Litewski nigdy jego decyzji nie kasował". Miał czterech synów: Andrzeja - podkomorzego wołkowyskiego, Krzysztofa, Mikołaja i Pawła. Krzysztof Dolski został zabity przez chłopów w Telechanach w czasie buntów kozackich w czasach Chmielnickiego. Miał jedynego syna, Jana Karola Dolskiego, ale 10 letni wówczas Karol ocalał, gdyż „uszedł w sad" a słudzy ukryli go w kapuście. Został później wielokrotnym posłem na sejm, a na wojnie musiał się odznaczyć, skoro sejm w 1676 r. uchwalił, aby dla wynagrodzenia jego męstwa i zasług, zapisana była mu suma 20 000 złotych na jednym z wójtostw. Zachowanie się jego w izbie poselskiej nie zawsze było chlubne. Gdy cała izba poselska pozwalała, by metropolita unicki zasiadał w senacie, on będąc tam z powiatu wołkowyskiego posłem, nie pozwalał, twierdząc:

Nogawszcudle
a mysz w pudle
koza w sadzie,
Rusin w radzie.

Pierwsza żona Dolskiego i jej dzieci zmarły w ciągu kilku tygodni i pozostała tylko jedna córka. Pogrzeb odbył się wspólny. Na wysokim katafalku stała trumna Dolskiej, a u jej stóp trumienki jej dzieci. Dolski ożenił się z Wiśniowiecką i Podorosk przeszedł do Michała Wiśniowieckiego, a ten miał tylko jednego syna i aż pięć córek, więc dobra podoroskie uległy rozdrobieniu.

W końcu XVIII w. Podorosk, w nieznany mi sposób, znalazł się w posiadaniu Grabowskich, którzy tutaj w 1776 r. zbudowali kościół, zabrany w 1867 r. na cerkiew, a w 1921 r. katolikom. W1926 r. zaczęto jego przebudowę.

„Tutaj najwięcej - pisał *Tygodnik Wołkowyski* nr 3/1927 - gnębiła nas ręka wroga i prześladowała katolicyzm z całą zawziętością, że też nasz kościółek zamienili w cerkiew, że zmuszano wiejskie katolickie dzieci do uczęszczania do szkół cerkiewnych, że właściciele Podoroska na próżno prosili o wystawienie w swoim parku figury Matki Boskiej oraz odprawianie w grobowej kaplicy mszy świętej w każdą niedzielę. Tak, jak za czasów konspiracyjnych, katakumbowy otwierał się ołtarz tajny dla wspólnej modlitwy".

W bliżej nieokreślonych latach XVIII w. po Grabowskich Podorosk znalazł się w rękach Czeczotów. Do większego znaczenia Czeczotowie nigdy nie doszli. Na przełomie wieków XVIII i XIX właścicielem tego majątku był Konstanty Czeczot. Przekazał on te dobra córce Elżbiecie, zamężnej za Puchalskim. Żyjąca ponad sto lat bezdzietna wdowa Puchalska zapisała swój majątek kuzynce, Elżbiecie Czeczotównie, która wyszła za mąż za Romana Bochwica. Pierwszy raz był on już żonaty z rodzoną siostrą Elżbiety. W ten sposób Podorosk przeszedł do Bochwiców i pozostał w ich ręku do drugiej wojny światowej. Ostatnio należał do

Romana Ottona Bochwica, który zginął w 1939 r.

Bochwicowie na Litwę zostali sprowadzeni przez Radziwiłłów. Wydali wielu zasłużonych pastorów kalwińskich.

Sziedzibą Czeczotów a następnie Bochwiców był duży pałac drewniano-murowany, zapewne fundowany za Grabowskich, a przez Romana Bochwica przebudowany, szczególnie w części środkowej, według projektu architekta Luby. Przebudowa nastąpiła pod koniec XIX w. Szczegółowy opis pałacu podaje Roman Aftanazy w swoim dziele *Dzieje rezydencji* tom 2 dołączając legendę o pobycie w pałacu w 1812 r. Napoleona. Miał on tutaj nocować przez trzy dni wraz ze swoją świtą, stąd nazwa jednego z pokoi - napoleoński. Napoleon miał się zachwycać pewnym lustrem i chciał je kupić, ale transakcja nie doszła do skutku. Napoleona miała gościć ówczesna właścicielka, Elżbieta z Czeczotów Puchalska.

Istniał w Podorosku i jeszcze jest inny zagadkowy budynek przypominający dwór. Pisze o nim Roman Aftanazy następująco:

„Nie jest rzeczą jasną, jakie przeznaczenia miał drugi zabytkowy budynek, bardzo podobny do mieszkalnego, z podobnym kolumnowym portykiem. Przez ostatnie dziesięciolecia służył jako owczarnia, lecz przez miejscowych ludzi nazywany pałacem. Posiadał parter przystosowany do potrzeb gospodarczych, piętro jednak złożone z czterech pokoi, nadal miało charakter mieszkalny. Budynek ten był dość daleko usytuowany od Bochwiców, za szerokim gościńcem, na małym wzgórku, lecz jeszcze w obrębie zabudowań dworskich. Istnieje przypuszczenie, że dom ten stanowił pierwotną siedzibę właścicieli Podoroska. Otaczały go stare topole i ogród warzywny, założony jakoby w miejscu dawnego ogrodu spacerowego".

W Podorosku w 1802 r. urodził się Stanisław Maksymilian Ryłło, przyszły misjonarz w Mezopotamii, Chałdei i Syrii, rektor Kolegium Propagandy Wiary w Watykanie. Ród Ryłłów był z dawna osiadłym w powiecie wołkowyskim, należał jednak do uboższej szlachty, chociaż jeden z rodu, również Maksymilian Ryłło, piastował godność biskupa unickiego.

Ojciec Ryłły był rządcą w Mogilowcach, majątku należącego wówczas do Józefa Bychowca. Później podobną posadę uzyskał u Bispingów w Hołowczycach, gdzie zetknął się z Natalią Bisping, późniejszą Kicką, pamiętnikarką, która o nim ciepło wspomina. „Wstąpił do zakonu Jezuitów. - pisze - Wygnany razem z nimi z kraju, dzielił ich losy, został wysłany na Wschód, jako misjonarz do Syrii, Libanu, Egiptu. Przez długie lata nawracał niewiernych, ostatecznie został przez fanatyka muzułmanina zasztyletowany, nie pomnę, czy w Egipcie czy Palestynie. Papież Grzegorz XVI miał do niego wielki szacunek. Portret Maksymiliana Ryłły w turbanie, z pistoletem i kindżałem u pasa, kazał wymalować i zawiesić w Watykanie. Przywdziewał Ryłło ubiór wschodni, ilekroć wylądował na bisurmańskiej ziemi, a brody wolno mu było nie golić i zachować nosząc sutannę, kiedy wracał do Rzymu".

Możliwe, że w przeszłości różne części Podoroska były w posiadaniu i innych. Przeglądając stare kroniki i pamiętniki, raz po raz napotykamy inne nazwiska niż te, o których wspomniałem wyżej.

W 1690 r. w spisach podatku podymnego powiatu wołkowyskiego obok Dolskiego figurują:

„Jan Kościuszko - imienia wieczystego Starego Podoroska dymów 2" oraz „Imć Mikołaj Tyszkiewicz, kasztelanie smoleński z majątku wieczystego - dymów 8".

W1832 r. część Podoroska była własnością rządową obejmującą 55 dusz, 19 włók i proponowana była w 12 letnią dzierżawę. Być może była to część Podoroska skonfiskowana jednemu z właścicieli po powstaniu listopadowym.

W latach 1662-1670 toczył się spór pomiędzy Jakubem Teodorem Kuncewiczem a innymi właścicielami o majątki Podorosk i Sławatycze.

Znany zaś pamiętnikarz początków XVII w. Samuel Maszkiewicz, pod datą 24 lutego 1615 r. odnotował: „Z panem Chreptowiczem Michałem jechałem w zaloty do Podoroska, do siostry mojej wujecznej panny Rozalii Owsianej. 1 Marca, w mięsopusty w Podorosku oddawał pan Chreptowicz marcepany pannie".

O istnieniu cerkwi unickiej w Podorosku mamy wiadomość, że fundowała ją w XVII w. jedna z Dolskich. Wykaz podatku podymnego powiatu wołkowyskiego z 1690 r. wymienia. „Ojca Andrzeja Buhrynowicza prezbitera podoroskiego, stąd wniosek, że cerkiew tu w tym czasie musiała istnieć. Nie ma natomiast wzmianki w tym roku o kościele, być może zwalił się ze starości. Dopiero Grabowscy w 1776 r. fundowali tutaj kościół nowy, który później w latach 1867-1921 służył za cerkiew. Był to kościół ubogi, uposażony tylko 10 dymami". Jego tragiczne dzieje odnowiły się po drugiej wojnie światowej. Zarówno katolicy, jak i prawosławni rościli do niego pretensje, ale na szczęście sprawa zakończyła się polubownie. Prawosławni dostali zrujnowany kościół, przerobili go znowu na cerkiew, zaś katolicy otrzymali od sowchozu nieużywany barak, który po dobudowaniu wieży, służy obecnie katolikom za kościół. Znajomi piszą, że obie świątynie świecą pustkami. Prawosławnych wprawdzie dużo, ale wiernych mało. Katolików też nie jest wielu. Dojeżdżający do Podoroska ksiądz niewiele ma roboty.

Zastanawia, skąd taka troska o kościół, skoro w samym Podorosku mieszka zaledwie parę rodzin katolickich. Było ich jednak wiele na terenie byłej gminy podoroskiej. Według *Tygodnika Wołkowyskiego* z 1928 r., na terenie tejże gminy mieszkało 6331 osób, z czego 1443 katolików, 4801 prawosławnych, 8 ewangelików, 68 Izraelitów, 11 Tatarów. Z danych za rok 1933 wynika, że na tym terenie mieszkało 7341 osób, z czego 2375 podało narodowość polską. Były też tutaj zaścianki szlacheckie, a nawet istniało Koło Związku Zaścianków Polskich, grupujące 28 członków.

Ostatnia wojna też nie obeszła się łaskawie z Podoroskiem. Cofający się Niemcy, starali się opuszczane miejscowości niszczyć. Opowiadał mi Stanisław Hamanowicz, były sekretarz gminy w Podorosku, że jeden z żołnierzy niemieckich zaminował dom, a następnie go wysadził w powietrze. Dom zniknął, ale jedna z belek ugodziła i Niemca. Zginął na miejscu. Kierownik 7-klasowej szkoły powszechnej, Bujak, został wywieziony do Rosji. Podobny los spotkał ostatniego księdza Michała Szymkowicza, który za wspieranie Armii Krajowej spędził 8 lat na Syberii. Po powrocie był proboszczem w Izabelinie, gdzie zmarł i został pochowany.

Na zakończenie ciekawostka. Leżą przede mną *Wiadomości Numizmatyczno-*

Archeologiczne z roku 1892 gdzie czytam: „w Podorosku, majątku p. Bochwica, w powiecie wołkowyskim, kilka miesięcy temu, włościanin jadący drogą przez wieś posłyszał, że coś brzęknęło pod kołem. Sądząc, że coś się popsuło zatrzymał się i spostrzegł pod kołem rozsypane monety srebrne i napełniony nimi garnek, od którego pokrywająca go płyta odpadła. Ale, że włościan było przy tym kilku, monety rozchwytano. Garnek był wielkości półgamcowej. Z uprzejmości pana Bochwica udało mi się oglądać prawie całe wykopalisko. Składało się ono z holenderskich i brabanckich talarów i półtalarów oraz innych monet zagranicznych. Z polskich - same szóstaki koronne Jana Kazimierza. Parę sztuk 18 groszówek gdańskich, współczesne szóstaki pruskie i parę sztuk szóstaków Augusta II (1702 r.). A więc ten skarb musiał być zakopany za czasów Augusta II. Egzemplarzy rzadkich wcale nie znalazłem". No cóż ? Ziemia gromadzi prochy!

^Poro^ów

Prawie każde szanujące się miasto ma swoją legendę, a najlepiej jak sięga początków świata. Podobnie jest z Porozowem. Gdy Adam i Ewa, wygnani z raju, po długiej wędrówce stanęli na wzgórku pod brzozami (dzisiaj to przedmieście Porozowa, Bogudzienki), mieli wykrzyknąć: „Bogu dzięki już Porozów widać!".

Okolice Prozowa były dawno zamieszkane, o czym może świadczyć toporek kamienny znaleziony w okolicy Bobrownik. Takich krzemieni z dziurką w środku musiano dawniej znajdować więcej, skoro aż do przesądu one weszły. „Znalazłszy z dziurką krzemień - głoszono - trzeba go powiesić na szyi krowie, to do niej żadna wiedźma nie przystąpi".

Porozów, dawne miasto Jego Królewskiej Mości, leżące nad Porozówką, dopływem Rosi, 28 km na południe od Wołkowyska, stanowiło tak zwane województwo porozowskie, należące do starostwa wołkowyskiego. Pierwszą wzmiankę o tej miejscowości, wówczas jeszcze wsi królewskiej, mamy pod rokiem 1460, kiedy to Jan Jagintowicz Rymowid, dzierżawca brzeski i lidzki, dziedzic Porozowa, we wsi królewskiej tejże nazwy, w ziemi kupionej, wystawionemu przez siebie kościołowi pod wezwaniem NMP, św. Piotra i Pawła apostołów, św. Wojciecha i św. Jerzego męczenników, dla lepszego utrzymania jego duchowieństwa, czyni pewne nadania. *{Kodeks dyplomatyczny Katedry i Diecezji Wileńskiej,* t. 1, s. 263). Majątek Rymowida, w dokumencie nazwany Porozowem Rymiwidowskim, to dzisiejsze Hornostajewicze; położone około 6 km na północ od Porozowa, ale o tej miejscowości później.

W początkach XVI w. Porozów był już osadą znaczną i zaliczał się do miast na prawie litewskim. Dopiero w 1523 r. król Zygmunt Stary nadał mu prawo magdeburskie. Odnośny dokument opublikowało pismo *Nasza Okolica* wydawane w Grodnie, nr 2/1939, z którego cytuję fragmenty.

„W imię Pańskie. Amen. Na wieczną rzeczy pamiątkę, My, Zygmunt z Bożej łaski, król polski i Wielki Książe Litewski oraz Ziem Krakowskiej, Sandomierskiej, Sieradzkiej, Łęczyńskiej, Kujawskiej, Chełmskiej, Elbląskiej, Pomorskiej, Ruskiej, Pruskiej etc, pan i dziedzic. Oznajmiamy treścią niniejszą, komu wypada, wszystkim współczesnym i przyszłym... iż szlachetni i sławni, Jan Podolanin, wójt dziedziczny oraz burmistrz i radcy w swoim, w całej społeczności obywateli i mieszkańców miasta naszego, Porozowa, imiennie wobec nas stanąwszy przedstawili, iż wielce są uciśnieni od urzędników naszych, których władzy podlegać zwykli, jakoż dotąd żadnemu określonemu prawu nie są poddani, z powodu często karani niegodnie przez tych że urzędników naszych i ich zastępców są nawiedzani, nas najpokorniej proszą, abyśmy im samym i miastu Porozowi, wyż rzeczonemu i wszystkim jego mieszkańcom teraźniejszym i w przyszłości będącym, przywilej prawa magdeburskiego dać i udzielić byli łaskawi. Przeto pragnąc, by miasto nasze Porozów i mieszkańcy w czasie szczęśliwego naszego panowania do większej zamożności i wzrostu doprowadzeni byli, owe samo miasto i jego granicach z dawien dawna ograniczone i obwiedzione oraz jego mieszkańców wszystkich i poszczególnych i przyszłych z prawa litewskiego ziemskiego na prawo niemieckie, które magdeburskim zowią a którem inne miasta nasze uprzywilejowane w Wielkim Księstwie Litewskim cieszą się, przenieść i przemieścić nakazaliśmy i przemieściliśmy..."

Dalej z dokumentu wynika, że Porozów otrzymuje trzy doroczne jarmarki: na Świętą Trójcę, na Wszystkich Świętych i Zwiastowanie NMP i zobowiązany jest do wystawienia 10 jeźdźców na wyprawy wojenne, podwody i stancje dla hospodara. Dokument wystawiono w Krakowie, w piątek po święcie zwiastowania 1523 r. w obecności Hornostaja Iwanowicza, Stanisława Skopowicza 27 marca 1523 r. (Dokument podpisał król Zygmunt „ręką swą". Gdy w 1776 r. mniejszym miastom prawa magdeburskie cofnięto, pośród nich znalazł się również Porozów. Miasto było bardzo dumne ze swojej „magdeburgii" i skrzętnie gromadziło akta miejskie, które później w czasie zaborów zostały rozproszone i zagubione. W roku 1937 znaleziono przypadkowo dokument Stefana Batorego, pod którego dowództwem porozowiacy brali udział w walkach pod Połockiem. Dziękuje on mieszkańcom miasta Porozowa za waleczność oraz potwierdza prawa magdeburskie. W 1926 r. mieszkanka Porozowa, znalazła w ogrodzie pieczęć miasta Porozowa. Była ona uformowana w kształt okrągłego naczynia o średnicy 5,5 cm. Na pieczęci widniał rysunek Bogurodzicy z Dzieciątkiem i napis *Pieczęć miasta Porozowa. Anno 1720.* Pieczęć została oddana do gminy, o czym powiadamiał *Tygodnik Wołkowyski* z 1928 r. To spowodowało, że zarząd Porozowa przeznaczył w swoim budżecie pewną sumę pieniędzy na uporządkowanie i odnalezienie starych dokumentów rozproszonych u ludności.

Jeśli chodzi o świątynie, to według relacji z wizyty biskupa Mikołaja Słupskiego w 1655 r., kościół w Porozowie „był wielkim kosztem, wspaniałej struktury wzniesiony przez księdza Benedykta Zacharskiego". *{Litwa i Ruś,* 1.1,] rocznik 1912). Nie był to już fundowany przez Rymowida. Dotrwał prawdopodobnie do 1767 r., kiedy go zniszczył pożar. I znowu musiano budować nowy. Uczynił to hr. Tyszkiewicz, ale i ta budowa z czasem się wysłużyła. W 1825 r. staraniem proboszcza ks. Michała Grabowieckiego przy pomocy parafian

okolicznych posiadaczy ziemskich wzniesiono kościół murowany pod wezwaniem Michała Archanioła. Znajdował się w nim cudowny obraz św. Antoniego, do którego modlić się przychodzili także prawosławni. Obraz nie dochował się do naszych czasów, gdyż w 1915 r. *bieżency,* z ks. Werenikiem na czele, wywieźli go do Charkowa i tam pozostał.

Kościół, również drewniany, jak i kościół Rymowida, odbudowany przez Antoniego Kazimierza Tyszkiewicza, generała i właściciela pobliskiej Świsłoczy, spalił się w 1793 r. od pioruna. Po tym pożarze nabożeństwa odprawiano aż do 1828 r. w drewnianej szopie.

W połowie XIX w. Porozowem wstrząsnęły zaburzenia religijne, po przymusowym przepisaniu unitów na prawosławie, część z nich zaczęła powracać do katolicyzmu, co się spotkało z brutalną reakcją władz carskich. Obszernie opisuje to „Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego" w Paryżu. (Rocznik 1866, t. I Akta męczeńskie Unii). Byś może relacja jest stronnicza, a Siemaszko, metropolita litewski, główny sprawca przepisania wszystkich unitów na prawosławie, winę zrzucił na katolickich księży, nie podając jednak całej prawdy.

„W miasteczku Porozowie" - pisał Siemaszko do oberprokuratora, Tołstoja, w dniu 17 czerwca 1858 r. - grodzieńskiej gubernii wołkowyskiego powiatu, znajdują się prawosławna i katolicka parafie. Od dawna duchowieństwo rzymsko-katolickie wywierało wpływ na przejście unitów na katolicyzm a później prawosławnych porozowskiej i innych parafii. Specjalnie sprzyjały temu uroczystości ku czci św. Antoniego. Jeszcze w roku 1844 popi z sąsiedzkich parafii jak: Hornostajewicka, Łopiennicka, Nowodworska udali się do mnie ze skargą na odchodzenie parafian od prawosławia wskutek działalności porozowskiego kościoła i prosili mnie o zakrycie tego kościoła. W stosunku do tych odszczepieńców podjęliśmy sprawę i powoli część wróciła do prawosławia". *(Zapiski Osipa metropolity litewskiego,* t. II s. 650 i inne).

Położenie kościoła pogorszyło jeszcze powstanie styczniowe. Na tym terenie, w okolicy Nowego Dworu, na skraju puszczy Swisłockiej i Białowieskiej działał tu czas jakiś oddział wołkowyszczan pod wodzą Strawińskiego. Stoczono tutaj pod Hutą Michalińską niezbyt szczęśliwą bitwę, tracąc, 5 zabitych (Hlebowicz, Hryniewicz, Strawiński, Prużańczyk), 4 rannych oraz 2 furgony parokonne z burkami i bronią. Rosjan, według wygórowanych ocen, miano paść 176 przy 65 rannych. Inna bitwa rozegrała się pod Sawickimi Karczmami, gdzie miało paść 12 Rosjan i 2 Polaków. Następnie oddział został zreorganizowany i część jego udała się w Nowogródzkie, część zaś w północne strony powiatu, w okolice Piasek. (Ignacy Aramowicz. Marzenia 1865, s. 8).

Za sprzyjanie powstaniu aresztowani zostali dwaj księża porozowscy: ks. Władysław Bajkowski i ks. Bonifacy Pisanko. Ten ostatni za nie przedstawienie władzom listów o szkodliwej dla rządu treści, jakie otrzymywał od ks. Józefa Dyakiewicza zWołkowyska, za sprzyjanie powstaniu oraz za otaczanie się ludźmi podejrzanymi i działającymi przeciwko rządowi, został pozbawiony godności kapłańskich, praw osobistych i zesłany do „odległych" gubernii, gdzie też w Kołogrywie, w 1870 r., zmarł. (P. Kubicki. *Bojownicy kapłani ... ^cz.* II, t. 2. s. 2).

Za udział lub sprzyjanie powstaniu naczelnik wojenny powiatu wołkowyskiego, pułkownik Kazauli, ściągnął od 110 mieszkańców Porozowa

kontrybucję w wysokości 1430 rubli, zaś z Nowego Dworu, leżącego w gminie porozowskiej, od 101 osób, 1265 rubli.

Na miejscowym cmentarzu znajdują się dwie mogiły powstańcze: Kazimierza Szałkiewicza i Jana Dmuchowskiego. Grób tego ostatniego jest zadbany, widnieje na nim napis: „S.P Jan Dmuchowski bohater powstania 1863 r. Rzeczpospolita Polska". Drugiego grobu nie odnalazłem.

Porozów XIX w. to miasteczko spokojne, gdzie monotonię przerywały od czasu do czasu pożary, jak w roku 1828 i 1899. W latach 1906 i 1907 dał się zauważyć znowu powrót pewnej liczby mieszkańców do katolicyzmu. W 1878 r. miasteczko liczyło: 100 domów mieszkalnych, 1456 mieszkańców, w tym 556 Żydów. *{Słownik Geograficzny,* t. VIII). Liczba Żydów porozowskich, chociaż pokaźna, to jednak była mała w porównaniu z innymi miasteczkami powiatu wołkowyskiego. Pozostawili jednak tutaj ślad swojej obecności. W Porozowie urodziła się bowiem „matka teatru żydowskiego" Ester Rachel Halpern, późniejsza Kamińska. Ojciec jej był w Porozowie, kantorem i to po nim odziedziczyła muzykalność. Jej piękny głos zwrócił uwagę aktora teatru żydowskiego Abrahama Izaaka Kamińskiego, za którego wyszła za mąż. Obecny teatr żydowski w Warszawie nosi jej imię. Córka i syn poszli w jej ślady. Syn od 1937 r. przebywa w Izraelu, gdzie jest znanym kompozytorem. (Polski Słownik Biograficzny, t. XI). Pewnego kolorytu dodaje miasteczku inny Żyd. *Tygodnik Wołkowysk"* z roku 1933 podaje, że w Porozowie zmarł w wieku 106 lat Żyd, Icko Kickun. Zdrowy był do ostatnich chwil i miał wszystkie zdrowe zęby. Mając już 80 lat otrzymał od swego ojca list z prośbą o zapomogę i z wymówką, że mu nie pomaga. Icko odpisał: „Drogi ojcze, niestety, nie mogę ci w niczym pomóc, bo sam jestem stary, ale zwróć się do moim wnuków. Może oni ci pomogą".

Obraz Porozowa międzywojennego oddaje dobrze notatka zamieszczona w *Tygodniku Wołkowyskim* nr 34/1928 niejakiego „porozowianina", która jest na tyle ciekawa, że zacytuję ją prawie w całości:

„Nadszedł rok 1914. Wybuchła wojna, zabierając młodzież do wojska a starszych do fortecy w Grodnie na roboty. Przychodzą Niemcy i ogałacają miasteczko kompletnie ze wszystkiego a później urządzają po swojemu, rejestrują wszystkich kobiet i mężczyzn, fotografują i zaopatrują ich w paszporty, ograniczają swobodę dalekich wyjazdów i pobytu poza domem, poza pewnymi godzinami, wyznaczają głodowe normy żywności, odbierają żarna, które były dotychczas ratunkiem ludności, wyzyskując ją do najwyższych granic możliwości, pokazując co znaczą żelazne i butne rządy szwabskie".

„Nadszedł przecie grudzień 1918 r., Niemcy zwiali. Władzy żadnej. Co robić, lasów tyle dookoła, chałupa stara, albo mała, drzew na opał nie ma, więc co śmielszy zaczął drzewo ciąć i wozić, i tak w niespełna miesiąc czasu z gaju „Za Rosią" same tylko pieńki pozostały. A ludzie z wiosek przypuszczańskich nie tylko w drzewo się zaopatrzyli, ale gdzie jaki dzik lub żubr w puszczy się zabłąkał wystrzeliwali je tak, że w puszczy, jak podczas wojny, całe dnie i noce karabinowe i pojedyncze strzały wciąż się rozlegały".

Od siebie dodam, że ostatni żubr w Puszczy Białowieskiej padł 19 lutego 1919 r. Zabił go niejaki Bartłomiej Szpakowicz (według notatki z *Kulis* 1972 r.)

„Przychodzą Legiony - wspomina porozowianin - organizuje się władza

polska. Porozowiacy odetchnęli wolnymi piersiami. Przyszły dawno przepowiadane czasy... W roku 1919 został postawiony na rynku krzyż na pamiątkę wstąpienia do miasteczka wojsk i urzędników polskich, uruchomiono jarmarki, które odbywają się każdego 10-go i targi odbywające się co środę. Z budynku byłego magazynu zbożowego został pobudowany w miasteczku, przy cerkwi, dom miasteczkowy, w którym w jednej połowie mieści się obecnie spółdzielnia, w drugiej - biblioteka rolnicza oraz odbywają się różne zebrania porozowian".

„Obecnie Porozów piwiarń i browaru nie ma. Ma domów mieszkalnych 350, z nich 15 procent murowanych, a reszta drewniane. Ludności katolickiej osób 1300, żydowskiej 700. Prawosławnej zaś cztery rodziny nie tubylczej. Ma 6 ulic, 2 zaułki, kościół, szkołę 5 klasową, przy szkole 2 biblioteki: dziecięcą i dla dorosłych, z której młodzież chętnie korzysta. Ma pocztę, telefon, sąd pokoju, lekarza, aptekę, cerkiew prawosławną i szkołę żydowską. Ma stary zabytek przy ulicy Matuszańskiej - drewniany kościółek unicki, gdzie dziadkowie nasi różaniec dawniej śpiewali, ale za czasów Szczerbowskich przerobiono kościółek na cerkiew, która obecnie jest na wpół zniszczona i oczekuje ostatecznej zagłady. Miasto ma sporo sklepów i zakłady przemysłowe: młyn parowomotorowy, dwa wiatraki i dachówczarnię cementową. Dotąd jedynie nie sądzone było ziścić się marzeniom Ludwika Bujko, miejscowego obywatela, aby samochodem ciężarowym szybko i tanio przewozić pocztę i pasażerów szosą z Porozowa do Wołkowyska, gdyż Porozów szosy nie ma".

„Zasadniczym i podstawowym zajęciem ludności chrześcijańskiej jest rolnictwo. Ziemię posiada przeważnie piaszczystą w wąskich i długich pasach w szachownicę. Nie ma domu, który by się czymś ubocznie nie zajmował, bo by nikt nie wyżył tylko z ziemi. Większość ludności wydobywa białą glinkę, tak zwany „mieł", którą odkrył niejaki Jaroszewicz przypadkowo, około 100 lat temu i wożą tę glinkę do sąsiednich wsi i miasteczek i tam ją spieniężają lub otrzymują równoważnik w innych artykułach, właśnie tyle, co by kosztowała podwoda, aby do tej miejscowości dojechać... Część ludności wyrabia gliniane, czarne lub niebieskie garnki i również wywozi je. Kto nie wozi glinki, jest szewcem, kowalem, stelmachem lub innym rzemieślnikiem. Ludność żydowska zajmuje się wyłącznie handlem, ale jest już parę sklepów prowadzonych przez chrześcijan".

Był to jednak rok 1928. Miasteczko powoli krzepło. W dziesięć lat później Porozów liczył już 2000 mieszkańców, w tym 1350 katolików, 50 prawosławnych i 600 Żydów. (Orłowicz. *Przewodnik po woj. białostockim,* s. 411). Rozwijała się szkoła. Zaliczała się już do 7 klasowych, czyli III stopnia. (W 1938 uczęszczało do niej 358 dzieci katolickich, 47 prawosławnych, 111 żydowskich, klas 11. (Dzień. Urz. KOS Wileńskiego, nr 3/1932). Kierownikami, między innymi byli: Stanisław Malczyk, Aleksander Paczykowski, Józef Pietraszkiewicz, Stanisław Maciejewski. Ten ostatni, elokwentny i dowcipny, podharcmistrz, w 1941 r. stracił rękę, zamieszkał w opuszczonej szkole, którą Niemcy później spalili i zajął się tajnym nauczaniem, żyjąc z tego, co mu ludzie przynieśli. Ostrzeżony miał oświadczyć, że jest samotny i kryć się nie będzie. Nauczał dalej prawie jawnie. Ostatecznie Niemcy go aresztowali i wszelki ślad po nim zaginął.

Bujnie rozwijało się harcerstwo. Drużynę męska prowadził kierownik Stanisław Maciejewski, zaś żeńską Jadwiga Maksymowiczówna, a później Janina

Maciukiewicz.

Ostatnia wojna nie obeszła się z Porozowem łagodnie. „Niemcy - wspomina Stanisław Hamanowicz były mieszkaniec Porozowa - wszedłszy do miasteczka, otworzyli ogień w kierunku cofających się na wschód wojsk rosyjskich. Dużo poległo nie tylko Rosjan ale i Niemców. W nocy żołnierze rosyjscy pieszo i na koniach przedzierali się przez miasteczko, które już było osadzone przez wojska niemieckie. Niemcy użyli rakiet oświetlających, które spadając zapaliły budynki. Nastała w miasteczku wielka mieszanina wojsk rosyjskich i niemieckich. Jeden z pozostałych w miasteczku urzędników rosyjskich trafnym strzałem zabił oficera niemieckiego, który został pochowany przy cerkwi. Na skutek czego dowódca niemiecki wydał rozkaz strzelania do każdego napotkanego mężczyzny. Zostało wtedy zabitych kilku młodych porozowian, którzy bronili swego dobytku przed rozszerzającym się pożarem. Następnym rozkazem spędzono mężczyzn do cerkwi i zamknięto drzwi. Później znów pojawili się żołnierze rosyjscy i zamkniętych uwolnili. Niemcy po ponownym wejściu do Porozowa, sporządzili listę kilku Żydów, zapewne komunistów, których rozstrzeliwali".

Wycofujący się w 1944 r. Niemcy podpalali poszczególne domy w miasteczku. Ocalała ulica Matuszańska, która już wówczas uchodziła za zabytek. Podobno ludność się okupiła. Dawny mieszkaniec Porozowa, który odwiedził ostatnio swoje rodzinne miasteczko, zanotował: „Pozostały dawne, krzyżujące się ulice z cerkwią i kościołem w centrum. Budowle te odnowione i pomalowane wyróżniają się korzystnie na tle zaniedbanego otoczenia. Straciły jednak sporo przez fakt, że zostały wycięte okalające je drzewa. Pozostałe budynki w centrum zniszczone, a na ich miejscu są nowe bez żadnego wyrazu. Na dawnych ulicach: Szkolnej, Nowodworskiej, Wołkowyskiej a szczególnie Matuszańskiej, jest coś co przypomina skansen. Miasteczko otoczone lasami, które dzięki socjalistycznemu systemowi niechęci do uprawy ziemi, podchodzą już prawie do jego obrzeża. Dookoła soczysta zieleń. Dzięki Bogu przemysłu brak. Na 4000 ha ziemi, która należała do sowchozu Porozów, uprawianych jest połowa. I pomyśleć, że stosunkowo nie tak dawno ludność walczyła o każdy kawałek gruntu, a procesy o przysłowiową miedzę przechodziły z pokolenia na pokolenie".

Głos znad Niemna 2 - 8 grudnia 1996 r.

Repla i jej kościół

Repla, to mała osada a właściwie to resztka po dawnej majętności. Nigdy nie była miasteczkiem. Miała wprawdzie kościół, ale nie posiadała targów. Nie leży też na żadnych ważnych skrzyżowaniach szlaków. Przycupnęła na północno-zachodnich rubieżach byłego powiatu wołkowyskiego. W odległości półtora kilometra na wschód znajduje się tu okazałe grodzisko, sztucznie usypane, rzucone na płaskiej, trochę podmokłej równinie. Miejscowość jest więc stara a nazwa Repla jest pochodzenia litewskiego. Sądzić to możemy z tego, że jeden z synów króla litewskiego, Mendoga, który w 1263 r. został zabity, nosił imię Repla. *(Kodeks dyplomatyczny Litwy).*

W początkach XV w. Repla należała do biskupa wileńskiego, kniazia Pawła Holszańskiego, właściciela też pobliskiej Wołpy, u którego ją potem wysłużył Stanisław Odachowski, o czym czytamy w dokumencie z 1558 r. - „A tak ja,

Stanisław Odachowski, przez miłość małżeńską, darowuję i zapisuję trzecią część majątku mego: Repli i Hanusowszczyzny, które wysłużyłem na moim panu, kniaziu Pawle, sławnej pamięci biskupie wileńskim, po mojej na wieczność „wsim i wsie". *(Akty Ziemskago Grodnieńskawo Suda*. Tom XXI, s. 326)

Zapewne w tym czasie część Repli należała do Mikołaja Jasieńskiego, pisarza wspomnianego wyżej biskupa i być może także Replę „wysłużył", czy też kupił. Po Jasieńskich majątek przeszedł do Massalskich, gdyż Apolonia Jasieńska, herby Jastrzębiec została zaślubiona Aleksandrowi Massalskiemu.

Ciekawe, że w tym samym czasie jako właściciel Repli, czy też jej części, występuje Iwan Karp. Jeden z trzech jego synów, Józef, fundator linii Karpiów na Brzostowicy Murowanej, dziedzic Repli, Narewki, Karpowicz, marszałek wołkowyski „zbudował kościół w Repli i tu jest pogrzebion". (Kojałowicz. *Herbarz rycerstwa...)*. Tenże Kojałowicz, który żył w latach 1609-1677, widział jeszcze w tym kościele herby Karpiów. Karpiowie przybyli w XI w. z Włoch i szybko się spolonizowali. Jeden z nich, będąc dworzaninem królewskim, otrzymał od króla w posiadanie Replę. Stosunki między Massalskimi a Karpiami nie układały się najlepiej, o czym wspomina pamiętnikarz. „Pewien szlachcic nazwiskiem Karp, jechał do Wilna, aby kontynuować zaczętą w sądach asesorskich swą sprawę z marszałkowa litewską. Zdarzyło się, że z Wilna wyjeżdżał wtedy wojewodzie Miński, Massalski, który popadł w nieprzyjaźń z bratem Karpia. Ponieważ obaj bracia byli do siebie podobni, zapytał Massalski kto to był. Zaraz też obaj wyskoczyli z sań a kiedy się witali, sługa Massalskiego ugodził w głowę Karpia wystrzałem z muszkietu. Karp upadł na ziemię".

W początkach XVII w., być może drogą koligacji, gdyż jedna ze Scypionówien, Katarzyna była małżonką jednego z Karpiów, Repla znalazła się w posiadaniu Jerzego de Campo Scypiona, również pochodzącego z rodziny włoskiej. Nosił on tytuł podkomorzego grodzieńskiego i był żonaty z Zofią z Lewiczyna Lewicką, chorążanką podlaską, córką Wołłowiczówny. On to w 1626 r. „kościół w Repli zbudowawszy, 15 włók ziemi wydzielił". *(Przyaigowski. Biskupstwo wi/eńsiie)*.

Synowie jego: Gabryel, który zmarł młodo i Matiasz, dziedzic Repli i Olekszyc, zapis ojca potwierdzili dokumentem, który częściowo cytuję: „Stan się ku wiecznej pamięci po wieczne, potomne czasy. Amen. Ja Matiasz i Ja Gabryel Scypionowie Kampowie, podkomorzycowie grodzieńscy, czynimy jawnym tym naszym, dobrowolnym, sobopólnym wiecznym listem i zapisem o tym, iż co nieboszczyk Imć Pan Jerzy Scypion Kampo, podkomorzy grodzieński, pan ojciec dobrodziej nasz, że to „coligio ąuento" jak w rzymskiej wierze gorący katolik, zdrowy będąc na ciele i zmysłach, z dobrej woli, pobożnym i ochoczym sercem kościół Anny świętej w majątku swym Repli, w powiecie wołkowyskim leżący, zbudowany i należącymi aparatami wystawiony a za wiadomością i konsensem ks. Eustachego Wołłowicza, biskupa natenczas wileńskiego, do zawiadomienia i dyspozycji w Bogu imci ks. Mateuszowi Zebrowskiemu, plebanowi i teraźniejszemu replańskimu, dawszy onemu za prowizją i słuszne wychowanie przy tym kościele dobra pewne zawiódł i podał był, ale za nastąpieniem z wyroku Pańskiego śmierci, nie przyszło im panu Ojcu, dobrodziejowi naszemu, przedsięwzięcie swoje w tym słusznym nadaniu fundusze prawnie utwierdzić. Ostatnią czyniąc wolę i rozporządzenie, dobra i majętności swoje opatrzył i warował to

testamentem, aby po zejściu onego z tego świata, najmniejsza cząstka, cokolwiek napomniawszy, kościół replański wiecznością nadał i zapisał, oddalone nie było. 1 my tedy, Matiasz i Gabryel Scypionowie Kampowie i przyszedłszy już na łaskę Bożą do lat według prawa zupełnych, podzieliliśmy się majętnościami i dobrami po nieboszczyku panu Ojcu naszym pozostałym i zastawszy każdy z podziału wieczystego przy swojej części, nie tylko nie sprzeciwiając się, ale chcąc we wszystkim wolę dobrodzieja naszego, więc też życząc, aby z przykładu pobożności nam potomkom pozostawionego, chwała Pańska po wszystkie potomne wieki nieustając szerzyła się, opatrzyliśmy to, aby ten pomieniony kościół, według swej życzącej woli i dyspozycji testamentowej imci Ojca naszego, nadany wiecznie w spokoju zostawał...". (Archiwum kościelne w Repli).

W tymże dokumencie zapisuje się kościołowi wsie Mackowce i Szufowlany. Te ostanie opustoszałe, kupione przez ojca od Aleksandra Massalskiego, marszałka kowieńskiego. Cytowany powyżej opis dokumentu pisany był w Repli 2 sierpnia 1632 r.

Córka Mariasza, jedynaczka została wydana za Wołłowicza i wniosła w ich dom wspomniane dobra, ale po Wołłowiczach dostały się znowu Massalskim.

Kościół został w czasie *potopu* spalony przez Tatarów, ale Scypionowie go szybko, bo w 1670 r. odbudowali. W 1661 r. wizytator znajduje jeszcze tutaj „kościół piękny i dogodny, kollatorstwa Scypionów. Proboszcz Maciej Przyszychocki śmiertelnie chory, ale wszystko utrzymuje w porządku z małym wyjątkiem". *(Litwa i Ruś,* tom III, rocz. 1912, s. 204).

W 1690 r. kościół replański istnieje a Repla należy do Jerzego Wołłowicza i liczy dymów 12, plus dwa dymy przypadające na karczmę i młyn, a ksiądz Michał Kozłowski płaci podatek z plebani i folwarku Mońkowce za dymów 11 a ze wsi Szufowlany za dymów 7. (Krakowski. *Powiat wołkowyski w końcu wieku XVII).*

W obu tych wsiach obowiązywała ustawa z 1689 r. specjalnie dla tych wsi ułożona przez komisję, w której uczestniczył proboszcz mścibowski. Cytuję wyjątki:

„Każdy poddany z dymu na robotę chodził od św. Jerzego do św. Marcina po trzy dni, żonka zaś po dwa dni a od św. Marcina do św. Jerzego chłop i żonka po dwa dni".

„Raz w roku ksiądz mógł potrzebować i podwodę od włóki do Wilna zimą, kiedy droga była sanna, bliżej zawsze mógł żądać w miarę potrzeby".

Te dłuższe wyprawy nie ograniczały się tylko do Wilna. Jeździć musiano czasami i do Brześcia, zwłaszcza, gdy od 1561 r. został urządzony tam skład soli dla Podlasia. Wójtowie z włości musieli sami tam jechać i sól dla całej wsi na rok cały zakupić, po beczce na każde 3 włóki. Ustawa ta z czasem wymagała korekty, to też specjalna komisja w Mścibowie w 1740 r. opracowała nową, w której między innymi czytamy:

„Służyć po 8 dni z włóki. W pole poddany winien iść ze swoim chlebem, chyba że łaska plebana okaże inaczej. Na dożynki winien jednak dać ksiądz beczkę piwa, barana jednego lub dwa w zależności od liczby żeńców i chleba zwarzywą". *{Ustawy poddanych kościoła replańskiego...* Archiwum kościoła w Repli).

Jak już wyżej wspomniałem, Repla po Wołłowiczach przeszła do rąk Massalskich. Książę Michał Massalski wraz z ręką Wołłowiczówny te dobra

otrzymał. Możny ten pan rezydujący w pobliskich Olekszycach, ojciec słynnego biskupa wileńskiego, Ignacego, piastował kolejno kilka wysokich godności: kasztelana wileńskiego, hetmana polnego wreszcie hetmana wielkiego litewskiego. Zmarł w 1768 r.

On to w 1732 r. wzniósł w Repli kościół nowy, drewniany, kształtu prostokątnego, z dwiema wieżami, 29 łokci długi, 19 szeroki o pięciu ołtarzach.

Po śmierci biskupa Ignacego Massalskiego Repla znalazła się w rękach Obyrndw, którzy ją w 1795 r. sprzedają Józefowi Zawadzkiemu, chorążemu województwa chełmińskiego. Do aktu kupna dołączony był inwentarz. Oto jego fragment:

„Z przyjazdu do miasteczka grobla różnym drzewem wysadzona. Wjeżdżając na dziedziniec brama o dwóch słupach z furtami podwójnymi i furtką sztakietową... po lewej stronie bramy oficyna z drzewa budowana, stara gontami kryta. Od tej oficyny, po prawej stronie, z południa na północ wzdłuż budowany pałac z sosnowego drzewa, gontami kryty i pięcioma kominami nad dach wyprowadzonymi... sklep w ogrodzie za pałacem, z cegieł wymurowany, gontami kryty... lodownia w drugim ogrodzie z drzewa wybudowana, słomą kryta, wierzbami wokół wysadzana... Spichlerz obok tej lodowni stary z drzewa sosnowego na dwie kondygnacje zbudowany, słomą kryty... stajnia przeciw pałacu z drzewa opiłowanego obudowana, cała gontem kryta. Od bramy do stajni wrota podwójne na zawiasach a przy niej wozownia. Przy końcu tej budowli magazyn. Między pałacem a ogrodem folwarcznym studnia - kołowrót. Przy końcu ogrodu pałacowego, nad kanałem, tranzet z tarcic wystawiony, gontami kryty". *(Akty Izdaw. Wileńskoj Arch. Kom.* t. 38, s. 239).

Do majątku Repla należały jeszcze wsie: Nowosady, Milkowce i Małafiejowce.

Syn Józefa, Wincenty Zawadzki „dziedzic Repli i Dachówka" (Duchowlan), to jeden z kolegów Adama Mickiewicza i aktywny filomata, który tu w Repli został aresztowany. Matka jego na tę wiadomość podobno dostała pomieszania zmysłów. Sam Wincenty jest pochowany w Repli, gdzie na cmentarzu, przed swoją śmiercią fundował kaplicę grobową istniejącą do dzisiaj.

Córka jego, Zofia, zamężna za Bolesławem Glazerem, urodziła się w 1833 r., osoba bardzo oświecona, protektorka literatury i sztuk pięknych oraz wielki filantrop. (Żychliriski. *Złota księga szlachty polskiej).* Założyła w Duchowlanach szpital dla chorych i nieuleczalnych. Duchowlany za czasów Zawadzkich i Glazerów po wcześniejszych właścicielach Odachowskich i Eysmontach, stały się niejako centrum dóbr Repla. Wieś dawniej nazywała się Surmacze, ale chłopi wymarli. Odbudowaną wieś nazwano podobno „ Duchów Łany" i tak pozostało.

„Gwarno i huczno było przed kilkoma laty w Duchowlanach. Prawdziwe Duchów Łany - wspomina w swoich rękopiśmiennych pamiętnikach Jan Bisping. - Córka Glazerów, panna Zofia dorastała a wiedzieć, że posag miała piękny, serce czułe a urok wielki i niemniejszą chęć do zabawy. Niestety wiele ofiar padło. Był taki, że się i o klasztor oparł, nie jeden z miłości osiwiał i na wieczny celibat zaprzysiągł, ale nikt wyborem bogdanki pochwalić się nie mógł".

Otóż o tej dorastającej pannie, późniejszej Zofii Zalutyńskiej, Orzeszkowa pisała: „Dziś miałam zajmującą wizytę. Była u mnie parę godzin pani Zalutyńska, dawniej ideał księdza Czeczota, dla nieodwzajemnionego kochania, który

księdzem został. Dawna to moja znajoma, ale zawsze miła i zajmująca, przypomniała mi księdza Czeczota". (Orzeszkowa. *Listy zebrane,* tom 5). W innym liście Orzeszkowa wspomina o niej jak o wysoko wykształconej i szeroko z dobrych swych czynów na Litwie znanej. Zalutyńska z Orzeszkową korespondowały i z powodu noweli *Gedali* przeżyły wspólną przygodę o czym pisałem poprzednio w artykule p.t. *Wołpa.*

Na cmentarzu replańskim zachowała się kaplica, może to jednak nie ta, którą władze carskie zamknęły w 1864 r., jeszcze nikomu nie była oddana i służyła za trupiarnię, ale ta nowsza związana z pochówkami Glazerów. Zachowały się tam epitafia nagrobne z dwoma podpisami Glazerów (w 1975 r. był już tylko jeden). Napisy udało się częściowo odczytać: „Najdroższej pamięci nieodżałowanego Bolesława Glazera ur. 29 maja 1831 r. Zmarł 14 grudnia 1890 r." oraz „Najdroższej pamięci, najczulszej i uwielbianej, nieprzepłakanej matki Zofii Glazer. Raz mnie opuściła, jeden mi ból zadała, umierając 20 lipca 1898 r".

Ostatnim właścicielem Repli i Duchowlan był syn Seweryna i Zofii Zalutyńskich, Bohdan, postać niezmiernie barwna. Po swoich poprzednikach odziedziczył bogatą wyobraźnię i niezmierną żywotność. Zmarł w 1959 r. w wieku 74 lat. Gospodarzem był jednak gorszym. Podatków nie płacił, z władz się wykpiwał a o jego „kawałach" krążyły anegdoty. Jedne były niewinne, inne zaś złośliwe lub wręcz, jak zauważył Wańkowicz, średniowieczne. Przytaczam tę niewinną: „W gminie Werejki miał swoje posiadłości ziemskie niejaki Zalutyński - wspomina były sekretarz gminy, Wiktor Rygorowicz - z którym gmina miała ustawiczne kłopoty. Pewnego razu napisał pismo do wojewody w Białymstoku, że u nas w Polsce cudzoziemcy nieprawnie zajmują grunty, co jest sprzeczne z konstytucją. Wojewoda drogą służbową przesłał pismo do gminy z poleceniem, aby zbadano o co panu Zalutyńskiemu chodzi. Okazało się, że u niego w majątku było kilka mogił niemieckich po pierwszej wojnie światowej i panu Zalutyńskiemu chodziło o ekshumację Niemców. To też po pewnym czasie zwłoki zabrano".

Korespondował z monarchami, pilnie śledząc kalendarz i daty ich urodzin, wysyłając im w odpowiedniej chwili ozdobne telegramy. Postarał się też o Order Kawalerów Maltańskich, chociaż złośliwy Wańkowicz twierdził, że w czasie drugiej wojny światowej podobne odznaczenie można było w Palestynie kupić za kilka funtów. (M. Wańkowicz. *Tędy i owędy).*

Jak prawie każda parafia miała i Repla przytułek dla starców, zwany szpitalem, zbudowany przez księdza na placu kościelnym w 1806 r. a uposażony w 1814 r. przez Michała Odachowskiego, strażnika grodzieńskiego. Przeznaczył on z Duchowlan żyta beczek trzy, jęczmienia beczkę jedną i „ośmin" cztery, okrasy funtów 72, soli funtów 12, spodni płóciennych cztery, koszul cztery, butów nowych par dwie, siermięg dwie, spodni sukiennych dwie, zaś kożuchy dwa, ale na lat dwoje i płaszczów dwa na lat cztery. Wszystko to sukcesorowie jego, Eysmontowie, regularnie dawali. Ordynaria i odzież przeznaczone były na dwie osoby męskie, które zawsze z dóbr Duchowlan, ze starców, wybierani byli, z obowiązkiem aby każdego dnia mszy świętej słuchali i każdego dnia z rana różaniec za fundatora odmawiali oraz posługę w szpitalu czynili. *{Dzieje dobroczynności.* Wilno 1822, s. 322).

Był to szpital „z drzewa piłowanego i na węgieł prosty zbudowany, słomą

pokryty i z kominem nad dach wyprowadzonym, długości łokci 27, szerokości 15. W **nim** po prawej stronie izba dla ubogich, a za nią komora, do której wejście **z sieni.** Po lewej zaś izba z alkierzem dla organisty, gdzie się też i szkoła parafialna mieści. W całym tym budynku piec kaflowy jeden, piec piekarniczy jeden, okien 8, drzwi na zawiasach i krukach żelaznych 5".

Pierwszą wzmiankę o szkółce parafialnej znalazłem pod datą 1638 r. Żywot jej był nędzny. W 1781 r. uczęszczało do niej tylko 8 dzieci, zaś w 1804 r. jeszcze mnie, bo tylko 4. Pewne ożywienie nastąpiło w czasach Komisji Edukacji Narodowej, której szkółka ta podlegała.

Cmentarz replański założony na początku XIX w. jest położony w pewnym oddaleniu od kościoła. Na istniejącej na im kaplicy fundacji Wincentego Zawadzkiego spoczywają zwłoki, między innymi Glazerów, Seweryna Zalutyńskiego i Wandy Buttowt Andrzejkowicz. Tylko takie napisy udało się jeszcze odczytać.

Kościół pochodzący jeszcze z 1732 r. został w 1909 r. rozebrany, a na jego miejscu staraniem parafian i ks. Władysława Ławrynowicza, w tymże roku wzniesiono nowy, z czerwonej cegły, dwuwieżowy.

Ksiądz Ławrynowicz, urodzony 16 września 1869 r. w Uzdelach powiatu święciańskiego, pochodził ze szlachty zaściankowej. Od 1895 r. był proboszczem w Repli, w latach zaś 1920-1929 dziekanem łunieńskim ale zrezygnował ze względu na stan zdrowia. W czasie inwazji bolszewickiej w 1920 r. parafii nie opuścił. Aresztowany, skazany na śmierć, ale szybki ruch frontu go ocalił. (Życiorys jest w *Naszej Okolicy* z dnia 15.01.1938) Zmarł 28 listopada 1938 r.

Kościół w Repli zwiedziłem w 1945 r. i korzystając z okazji przejrzałem także archiwum. W zakrystii oglądałem ornat z pasów słuckich, bęben miedziany, zapewne pamiątka po wojnach XVII w., bogaty materiał archiwalny o postępach prawosławia i walki z nim w obronie unii i katolicyzmu, szczególnie w latach 1839-1864.

Dziś, po śmierci ks. Borówki, który został zasądzony na 25 lat łagru i wywieziony na wschód i po kilkuletnim przeznaczeniu kościoła na skład zboża, kościół został zwrócony wiernym. Przez kilka lat nie było jednak proboszcza. Czasami z posługami duchowymi dojeżdżali księża z innych parafii a szczególnie Stanisław Pietrasz z Krzemienicy. Dziś Repla ma własnego w osobie ks. Walentego. Kościół pokryto blachą, odnowiono wnętrze a także cmentarną kaplicę a sam cmentarz ogrodzono murem.

Kościół powoli wraca do normy.

Głos znad Niemna, 13 - 19 listopada 1995 r., s. 5

Rohoźnica

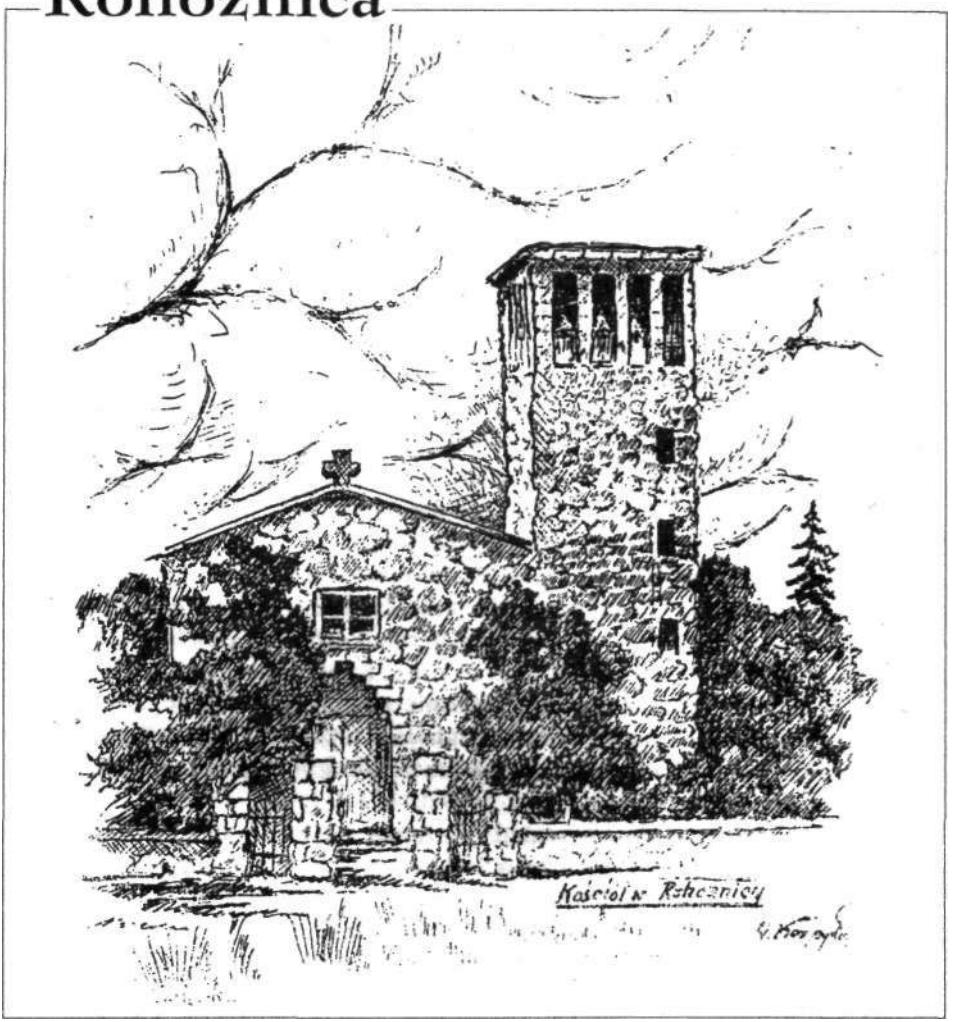

Na wschodnich rubieżach byłego powiatu wołkowyskiego, a obecnie na południu rejonu mostowskiego leży dawny majątek Rohoźnica oraz dwie wsie o tej samej nazwie. Odwieczna to włość hospodara nadana w roku 1504 przez króla Aleksandra Jagiellończyka Stanisławowi Janowiczowi Kieżgajle, która spadła na króla po bezpotomnej śmierci Iwaszki Ginejtowicza. W 1534 r., testamentem Stanisława Stanisławowicza Kieżgajły, Rohoźnica została przekazana królowej Bonie. Zamieszkiwało tę okolicę wtedy, jak wynika z Metryki Litewskiej w 1567 r. jedenastu szlachty - bojarów, którzy na popisie wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego stawiali - po jednym koniu „zbrojno". Jak wynika ze spisu podymnego powiatu wołkowyskiego z 1690 r., Rohoźnica należała do rozdrobnionej rodziny Puksztów. Z czasem włość się scaliła i należała kolejno do następujących właścicieli: Wiesiołowscy, Brygidki, Suchodolscy, Pancerzyńscy, Szabańscy, Sieheniowie,

Zerebcowie, Zurowie, Meysztowicze.

Do dzisiaj zachował się tutaj piękny w stanisławowskim stylu pałac, na którego frontonie, na białej marmurowej tablicy, widniał napis a może jest i dzisiaj: „Opatrzność zbudowała przez dziedzica Antoniego Suchodolskiego kasztelana smoleńskiego orderów polskich kawalera 1791".

Antoni miał wiele wnuków, z których January i Rajnold chlubnie zapisali się w dziejach polskiej kultury i dali przykład wielkiego patriotyzmu. Pierwszy walczył jako oficer w powstaniu listopadowym. Wiatach 1832-1837 studiował we Włoszech malarstwo pod kierunkiem Verneta. Zdobył wielką popularność jako autor romantyczno-batalistycznych obrazów, malowanych ku pokrzepieniu dusz. Do ważniejszych jego obrazów należą: *Bitwa pod Raszynem, Śmierć Cypriana Godebskiego, Bitwa pod Samosierrą* i *Przejście Napoleona przez Berezynę.*

Młodszy jego brat, Rajnold, urodzony w 1804 r., prawdopodobnie w Rohoźnicy, zmarł w Warszawie w 1831 r., będąc ciężko ranny w jednej z bitew powstania listopadowego, poeta i autor popularnych wierszy i piosenek powstańczych, jak: *Patrz Kościuszko na nas z nieba, Dalej bracia do bułata* i innych. Rajnold uczył się w słynnym gimnazjum w Swisłoczy w latach 1821-1824 i należał tam do tajnego towarzystwa „Zorzan", które z czasem zostało przez Nowosilcowa wykryte a członkowie ukarani. Rajnold dostał wtedy 30 plag.

Jeden z kolegów poety, który leżał z nim w szpitalu, tak go wspomina: „Gdy do onej słynnej kawiarni wchodził ten młodzieniec, szczupły, blady, delikatny, noszący w całej swej postaci smutne piętno suchot, wszyscy go wesołym okrzykiem witali. W środku sali czekał na niego fotel, na którym siadał i śpiewał te piękne zwrotki, które całe zgromadzenie powtarzało za nim chórem. Nie śpiewał już nieborak na swoim łożu szpitalnym i tejże nocy, dowiedziawszy się, że Moskale wkroczyli do Warszawy, życie zakończył, zerwawszy pod kołdrą swoje opaski i krew mu uszła".

Młodszy ich brat, Jacek, wrócił z kazamat carskich obłąkany. Ojciec ich, Jan , skarbny wołkowyski, jeszcze w 1833 r. mieszkał w Rohoźnicy, gdzie go bolejącego po stracie synów odwiedził syn January.

Drogą po kądzieli, po Suchodolskich, Rohoźnicę odziedziczyli Pancerzyńscy i Szabańscy. Młody Szabański na czele kilku chłopaków wziął udział w powstaniu styczniowym. W potyczce z kozakami, według jednych poległ „zrąbany przez wroga" w lasach Bebetowa (4 kilometry na północ od Rohoźnicy), według innych, zmarł z odniesionych ran za granicą. W latach międzywojennych przeszłością okolicy bardzo się interesował młody nauczyciel z Samojłowicz. Z jego inicjatywy postawiono krzyż na pobojowisku bebetowskim.

Po śmierci syna Szabańska sprzedała majątek Sieheniom. Ukaz carski z dnia 10 grudnia 1864 r. zakazywał kupowania majątków przez Polaków. Wobec czego Sieheniowie, chcąc ominąć zakaz, sprowadzili z Francji kuzyna, obywatela francuskiego Jelskiego, który niby dla siebie kupił Rohoźnicę dla Sieheniów, a Szabańska miała prawo mieszkać tu do śmierci.

W 1869 r. majątek kupił Rosjanin Aleksander Dreniakin, płacąc 10068 rubli, ale podobno przegrał w karty. Rohoźnica znalazła się więc w ręku innego Rosjanina, Żerebkowa, czy też Żurowa, od którego w 1906 r. zakupił ją Oskar Meysztowicz, co jako Polakowi nie przyszło łatwo. Opowiadała o tym córka jego,

Maria Pruszyńska:

„Ojciec pochodził z bojarów litewskich, którzy zostali przyjęci do herbów polskich. Kazał porobić kopie dokumentów, które świadczyły, że Meysztowicze byli kiedyś Litwinami... i pojechał do gubernatora.

- To pan nie jest Polak stwierdził gubernator.
- Nie. Nie! Ja jestem tylko niepolskiego pochodzenia.
- Hm! No, ładno! Musi pan jeszcze przykleić znaczek za 75 kopiejek.

Ucieszony Meysztowicz wziął dorożkę i pocwałował do notariusza, bo może się gubernator rozmyślić. Udało się".

Meysztowicze siedzieli spokojnie w Rohoźnicy do 1939 r., kiedy to Oskar Meysztowicz został aresztowany i pod Zelwą razem z tamtejszym księdzem prawosławnym, ojcem Dawidem Jakubsonem i księdzem katolickim, Janem Kryńskim, został bestialsko zamordowany.

Sześcioro dzieci Meysztowicza rozproszyło się po świecie. Najstarszy syn, Jan, zamieszkał w Warszawie. Jest to znany pisarz, publicysta, były dyplomata, Sędzia Trybunału Stanu, tłumacz z języków francuskiego i angielskiego, autor wielu książek, jak: *Saga Brygady Podhalańskiej, Husaria pod Kircholmem, Trzy Korony, Historia III republiki, Żelazny książę.*

Brat jego, Paweł, zginął śmiercią żołnierską w niewyjaśnionych okolicznościach w roku 1940 gdzieś na kresach. Drugi brat, Oskar, mieszka w Krakowie i jest z zawodu rolnikiem. Córka, Maria, osiadła w Kanadzie, gdzie też zmarła. Była ona żoną znanego pisarza Ksawerego Pruszyńskiego, autora *Droga wiodła przez Narwik.*

Według Marii Pruszyńskiej Ksawery stawiał pierwsze kroki na niwie literackiej właśnie w Rohoźnicy i tu czas jakiś zamieszkiwał.

„Dwór był rzeczywiście dworem" - wspomina w swojej noweli *Karabela z Meschedu* Pruszyński - miał, jak się patrzy, wysoki, piękny podjazd, oparty na czterech, jeszcze większych kolumnach. Na jego frontonie świecił dumnie swą datą rok 1791 i z przetrzebionego wojnami parku widać było poprzez nisko sfałdowane pola bardzo daleko. Dwór był stawiany w podkowę, to znaczy po obu stronach miał dwie stawiane pod kątem prostym oficyny, a w nich dużo, o wiele za dużo pokoi. W samym końcu jednej z tych oficynek odremontowałem, a raczej oczyściłem, nikomu nie zawadzające mieszkanie. Poleciłem umyć z wapiennego tynku, grube, drewniane, piękne belkowanie sufitu, pościągałem kilimów i glinianych mis podhalańskich. Jadalnią był duży pokój, prawdziwa sala, ciemny w tonie, a okna były na noc zamykane na wysokie, wewnętrzne okiennice, których ciemne drzewo dodawało mroku. Dokoła biegła ciemna boazeria, a kredens stanowił ciemną plamę. Wysoko wisiało parę portretów, artystycznie zupełnie bezwartościowych, z których wynurzały się tylko żółtą plamą podgolone łby jakichś wendejskich podstolich, czy upickich wojskich. Ściany były oklejone wielkimi płótnami z końca XVIII w., też nieszczególnymi, ale swym charakterem przynajmniej podkreślały epokę, w której panował nie tylko król Ciołek, ale i mistrz Bacciarelli. Pod płótnami odkryto później freski. Freski zapełniały, jak się później okazało całą ścianę i reprodukowano je potem *w Arkadach.*

Bardzo dokładnie opisuje ten dwór, jego liczne pokoje i wyposażenie Maria Pruszyńska, ale szczupłość miejsca w tym artykule na korzystanie z tego

opisu nie pozwala.

Dodać jeszcze trzeba, że dwór od strony parku miał jeszcze wsparty na czterech kolumnach taras, zamieniony z czasem na werandę.

Pruszyńska twierdzi, że w pałacu był kiedyś piękny, rzeźbiony w białym marmurze kominek, który Sieheniowie mieli zabrać do Krasek, gdy Rohoźnicę sprzedawali Żerebnikowi.

O jakieś tysiąc kroków za pałacem, na porośniętym sosnami wzgórzu, istniała jeszcze kaplica. Miała kształt wydłużonego ośmioboku o bardzo grubych murach. Została ona spalona na rozkaz Murawiewa. Ruiny jej także nie przetrwały wojen i zostały rozebrane na cegły. Stała ona podobno w lasach, których obecnie w tej okolicy brak i nosiła imię św. Huberta, patrona myśliwych. Kaplica ta wspomniana jest w „Akcie wizyty kolegialnej cerkwi samojłowickiej" z 1818 r., dokonanej przez ks. Michała Onacewicza, kanonika katedralnego brzeskiego, gdzie czytamy:

„Kaplica do tej cerkwi należąca w majątku Rohoźnicy JW. Pancerzyńskich, murowana, w dobrym opatrzeniu ze wszystkiemi jakie być mogą potrzebami i srebrem, nową przez dziedziców sprawionym, za kluczem tychże dziedziców, którzy jak teraz w odległych dobrach mieszkają".

Okolice Rohoźnicy były wybitnie katolickie, ale do 1924 r., prócz myśliwskiej kaplicy, kościoła w Rohoźnicy nie było. Dopiero z inicjatywy Meysztowiczów i przy pomocy parafian, wzniesiono obszerny kościół z granitu w stylu neoromańskim. Żona Oskara Meysztowicza, Flora z Kęszyckich, już miała we krwi zamiłowanie do budowy kościołów, gdyż babka jej Nimfa z Mydliborskich Kęszycka, właścicielka Lginia, Chwalibogowa (obie miejscowości na Zachodzie Polski) ufundowała aż trzy kościoły. Jeden z nich zbudowała w Lginiu, koło Wschowy, gdzie ma się również znajdować jej portret.

- Zbudujemy w Rohoźnicy kościół - powiedziała Flora Meysztowiczowa mężowi, w czasie powojennej wizyty biskupiej i według projektu Gutha wyrósł w szczerym polu kościół. Widać z daleka jego ściany wzniesione z barwnych, polnych granitów.

- Rodzice moi - wspomina Jan Meysztowicz - ponieśli stosunkowo znaczną część kosztów przy budowie kościoła i bez ich inicjatywy i starań, ojciec był szambelanem Papieża Piusa XI, kościół ten i parafia by nie powstały.

Pierwszym proboszczem i założycielem parafii był ksiądz Władysław Biernacki. Parafią kierował do 1926 r., skąd został przeniesiony do Międzyrzecza. Włożył ogromny trud w budowę nowego kościoła, budynków gospodarczych, plebani, chlewów, stodółki i wielkiego domu parafialnego, przeniesionego z okolicy. .

Ks. Jan Przybiński proboszczował tutaj bardzo krótko, bo zaledwie 6 miesięcy. Przybył z diecezji łomżyńskiej a wybył do parafii Mosty.

Ksiądz Marian Wądołowski prowadził rohoźnicką parafię przez trzy lata. Podobno świetny gospodarz, ale miał zatargi z organizacją „Strzelec", ale sąd w Zelwie księdza uniewinnił. Przeniesiono go w 1933 r. do Mostów.

Ksiądz Antoni Skalski przyszedł z diecezji żytomirskiej w 1933 r. i przebywał w Rohoźnicy przez trzy lata, jako administrator parafii. Skołatany aresztowaniami na Ukrainie, stroną gospodarczą wcale się nie interesował, stąd wielkie spustoszenia w obejściach i kościele.

Ksiądz Jan Mianowski proboszczował tutaj w latach 1936-1957 z dwoma przerwami: jedną z powodu powołania go w 1939 r. na kapelana Wojska Polskiego, drugą w latach 1947-1955 z powodu skazania go na karę łagrów. ,

„Obóz przetrzymałem - wspomina - dzięki Opatrzności i pomocy Żyda lekarza Abrahama Aurucha. Pochodził z Łucka, a studia lekarskie ukończył w Szwajcarii. Mnie pomógł ukończyć kurs felczerski. Pracowałem więc w obozach jako sanitariusz, potem felczer, potem kierownik apteki, która na moje szczęście była zewnątrz obozu. Jednak przeganiany byłem w ciągu tych 8 lat aż do szesnastu obozów. Po zwolnieniu chciałem pracować na sowieckiej Ukrainie, gdzie mnie nikt nie znał, ale próba osiedlenia się w Polonnem nie udała się i oznajmiono mi, że na terenie Ukrainy nie zameldują. Znowu byłem aresztowany i przebywałem przez pięć lat w Krasnojarskim Kraju, wśród różnojęzycznego morza. Wróciłem więc do swego dekanatu, ale trzeba było uzyskać prawo na proboszczowanie i wyznaczenie parafii. Ja do „wyznaniowego" a ten mnie pyta.

- Gdzie chcecie pracować?
- Mnie nie zależy na miejscu, byle w katolickim kościele.

To mu się spodobało i naznacza mnie do Teolina na zamianę z tamtejszym proboszczem. Ten się jednak nie zgodził, więc widząc, że nie nalegam na swoją Rohoźnicę, zwraca się do stojących obok komitetowych.

- Tak bierzcie sobie jego.

Mnie wcześniej uprzedzono, by nie ubiegać się o tę samą parafię i dlatego tak zagrałem. Udało się jeszcze przez cztery lata pracować, ale ze zmiennym szczęściem. Musiałem wyjechać do Polski.

„I zaczęła się praca i harówka - wspomina dalej ksiądz Mianowski - bo musiałem obsługiwać parafie: swoją, w 80% krzemienicką, strubnicką. Oto, na przykład, w 1955 r., w niedzielę palmową, oprócz nabożeństwa wyspowiadałem 413 osób. Taki był mój odpoczynek po 8 latach obozu koncentracyjnego".

Ksiądz Mianowski był energicznym człowiekiem i wiele zrobił dla parafii rohoźnickiej. Pozostawił w rękopisie obszerny pamiętnik, który swego czasu łaskawie udostępnił mi do wglądu. W listopadzie 1958 r. został zmuszony do repatriacji do Polski.

Obecnie parafiami: rohoźnickopiaskowską i strubnicką zarządza ks. Krzysztof Korolewski. Remontuje trzy kościoły, a w Rohoźnicy buduje plebanię. Dobrze mu się układa współpraca z miejscowymi kołchozami i sowchozami.

(Głos znad Niemna 27 maja - 2 czerwca 1996 r.)

Roś

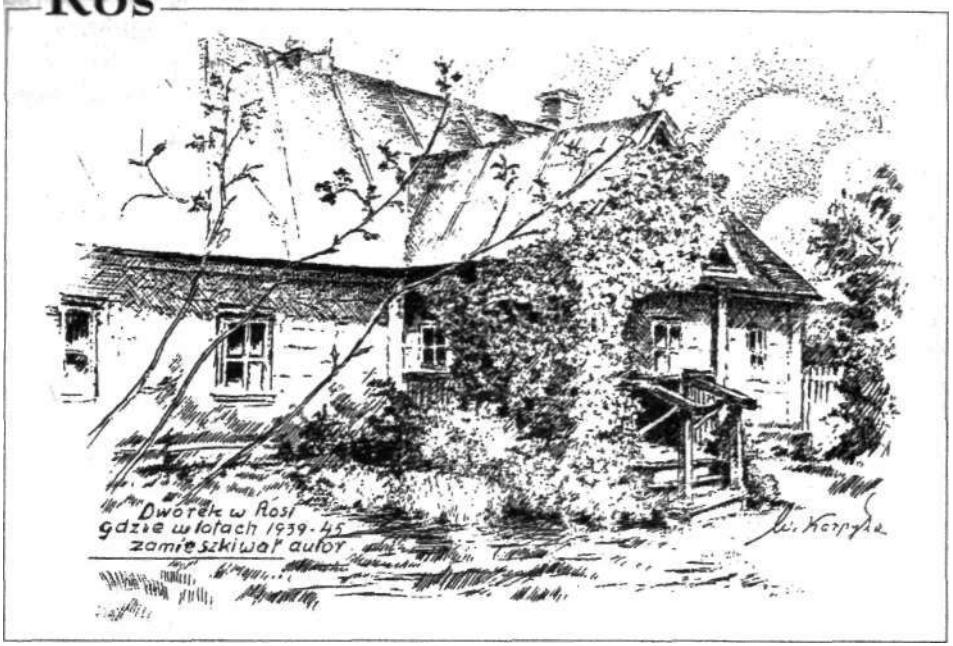

Miasteczko leży nad rzeką Roś, dopływem Niemna, wśród zalesionych wzgórz, szczerzących zęby kredowymi wyrobiskami. Rzeka Roś na obszarze miasteczka przyjmuje niewielki dopływ, zwany Wiechotnianką, mający swe źródła w odległej o 4 km wsi Wiechotnicy. Jest to ta sama Wiechotnica, którą 24 lipca 1388 r. wielki książę Witold nadał katedrze wileńskiej. Wieś ta we władaniu biskupów pozostawała tylko do 1411 r., gdyż ze względu na jej wielką odległość od Wilna, została przez Witolda zamieniona na inne miejscowości.

Pierwszym, bezspornym, prywatnym właścicielem Rosi był Aleksander Chodkiewicz (1457-1549) fundator klasztoru w Supraślu. Wynika to z dokumentu, pisanego 11 listopada 1513 r., w którym to Chodkiewicz zapisał żonie swoje wiano 400 tys. szerokich gr. Aleksander Chodkiewicz należał do zaufanych ludzi królowej Bony, pomagał w zarządzaniu jej majątkiem na Litwie, miał dwór w Rosi, gdzie zamieszkiwał (znane są dwa jego listy do Bony z lat 1536 i 1538 datowane z Rosi). Inwentarz w 1569 r. dwór ten określa jako: „dom nowy, wielki, na podmurowaniu", ale stał jeszcze i dwór stary, którego osobliwością był „lichtarz zawiesity z jelenich rogów na łańcuchach pośrodku izby". Aleksander Chodkiewicz umierając pozostawił trzech synów i dwie córki, którzy w dniu 6 grudnia 1549 r. zebrali się w Brzostowicy, celem podzielenia się spadkiem po ojcu. Synowie proponowali matce wzięcie kierownictwa nad majątkiem, ta jednak wymówiła się chorobą i zaleciła podział dóbr między dzieci. Roś i Brzostowicę otrzymał najmłodszy z jej synów, Jerzy (zm. 6 VI 1569 r. w Brzostowicy rażony apopleksją). Jerzy Chodkiewicz, obok Radziwiłła Rudego, należał do najzagorzalszych przeciwników unii lubelskiej. Jerzy Unii nie podpisał oświadczając, że „woli zemrzeć, niż tego dożyć".

Roś odziedziczył syn jego, Hieronim (1560-1617), późniejszy kasztelan wileński, stryj hetmana Jana Karola Chodkiewicza. *Osiadł też w Rosi na stałe.* Ponieważ matką Hieronima Chodkiewicza była księżna Zofia Słucka, wypadała więc mu z urzędu rola opiekuna nad ostatnią latoroślą książąt słuckich, również z imienia Zofią. Hieronim rękę tej pięknej i bogatej panny obiecał Januszowi Radziwiłłowi, ale później obietnicę cofnął. Radziwiłłowie postanowili brać ją siłą. Zanosiło się na wojnę domową. Hieronim, zwany przez współczesnych „Jaroszem", żenił się czterokrotnie. Ostatnią jego żoną była wdowa po kniaziu Romanie Różyńskim, słynna Zofia z Korabczewa. Niewiele ona ustępowała byłemu mężowi, a dr Antoni J.Rolle w *Niewiastach kresowych,* między innymi, pisał „Już w kilka miesięcy po śmierci męża zrobiła zajazd z muzyką, na czele 600 ludzi, do odległego o kilka dni marszu Czeremoszne Kowelskie, gdzie w zameczku siedziała księżna Anna Korecka, rodzona siostra hetmana Jana Karola Chodkiewicza. Po całodziennym oblężeniu zamku zdobyła, obrabowała, ludzi posiekała a resztę w jasyr wzięła".

U schyłku swego życia Hieronim Chodkiewicz „wywdzięczając się za doznane w życiu łaski", dnia 15 czerwca 1611 r. ufundował w Rosi kościół, uposażając go folwarkiem Harasimowiczyzna (obecnie Plebanowce), nałożył jednak obowiązek utrzymywania trzech sług kościelnych: do grania na organach, służenia proboszczowi i uczenia dzieci. Kościół stanął w parku dworskim, przy drodze do Krasnego Sioła, na miejscu cerkwi, którą przeniesiono do odległej wsi Ogrodników (obecnie ulica Ogrodnicka). Kościół oczywiście był drewniany. Nie znalazłem w archiwum jego opisu. W wizycie biskupiej w 1660 r. wspomniany jest krótko - „Kościół piękny". Pierwszym proboszczem został ks. Walenty Falkowski. W kronikach parafialnych Krynek znajduje się szokująca notatka pod rokiem 1625 - „Ksiądz zabity w Rosi i utopiony w rzece". Nie udało się ustalić, o którego księdza chodzi i czy był on proboszczem roskim.

Z czasem kościół chodkiewiczowski się wysłużył i w 1685 r. ówczesny właściciel Rosi, późniejszy wojewoda wileński, Marcjan Ogiński, na tym samym miejscu ufundował kościół nowy, oczywiście również drewniany. Zachował się dokładny opis tego kościoła, ale już w sto lat później wizyta biskupa opisuje go jako „kościół w całej swej strukturze osłabiony". Potoccy rozpoczęli przygotowania do budowy nowego. Budowa trwała latami, następowały kilkuletnie przerwy, zgromadzone drzewo gniło i ostatecznie za sprawą księdza Szymona Moczarskiego i Zofii z Paców Niesiołowskiej powstał w 1807 r. kościół nowy, murowany, ale już na nowym miejscu przy rynku, do dzisiaj istniejący. W głównym ołtarzu tego kościoła znajduje się ciesząca się kultem drewniana figura Pana Jezusa, wspomniana w dokumentach jeszcze przed rokiem 1618. Początkowo stała w babińcu a później przeniesiona do ołtarza bocznego. Gdy kult figury wzrastał, przeniesiono ją w dniu 17 czerwca 1772 r. do ołtarza głównego. Uroczystość odbyła się okazale a „z harmat dawano ognia, po którym kapela grała wieżą". Po nabożeństwach dostojnikiem duchowym, jak i świeckim, w pałacu Joachima Potockiego dano obiad.

Wokół figury zawieszono wota i nazwiska ofiarodawców wpisano do *Księgi cudów.* Nie brak tam takich nazwisk jak: Jelscy, Romerowie, Sapiehowie, Oskierki, Kołłątaje, Jundziłowie, Kalenkiewicze, Jabłonowscy, Olędzcy i inni.

W dni powszednie figura jest przysłonięta wielkim obrazem przedstawiającym jawnogrzesznicę. Obraz ten ma w środku dwie białe plamy, pozostałe po rozcięciu obrazu przez złoczyńcę. Przez te właśnie otwory wykradł z rąk figury trzcinę, mniemając, że jest ze szczerego złota.

Cerkiew w Rosi prawdopodobnie istniała jeszcze przed rokiem 1569, o czym należy sądzić z zapisu, że w spisie zawartości świronu dworskiego, między obręczami młyńskimi i kadziami kapusty, znajdował się dzwon z cerkwi. Następny inwentarz z 1571 r., ktdry został sporządzony po śmierci Zofii Chodkiewiczowej, daje już potwierdzenie istnienia cerkwi a nawet dokładny jej opis. Była ona pod wezwaniem świętego Proroka Eliasza. W carskich wrotach było 11 ikon. Prócz tego były i jeszcze 3 większe i 5 mniejszych. Na dzwonnicy były dwa dzwony a pop posiadał 2 i pół włóki ziemi.

Następną cerkiew, tym razem unitom, zafundował ówczesny właściciel Rosi, Jan Rakowski, a gdy i ta się wysłużyła, w 1762 r. ufundowano nową, również jak poprzednie, drewnianą. Gdy w początkach XX w. wybudowano murowaną, starą przeniesiono na cmentarz, gdzie pełniła rolę kaplicy, aż w czasie ostatniej wojny została spalona. Nowa cerkiew do dzisiaj malowniczo góruje nad miasteczkiem swoimi kopułami.

W 1621 r. Chodkiewiczowie sprzedali dobra roskie Janowi Rakowskiemu. Rakowscy zaś, a ściślej mówiąc ich spadkobiercy, gdyż dzieci nie mieli, sprzedali Roś w 1643 r. Jerzemu Karolowi Hlebowiczowi, późniejszemu wojewodzie wileńskiemu, żonatemu z kalwinką Katarzyną Radziwiłłówną rodzoną siostrą znanego nam z sienkiewiczowskiego *Potopu* Janusza Radziwiłła. „Przerwano komisję - wspomina jeden z Radziwiłłów - wesele córki wojewody wileńskiego z podstolim W. Ks. Lit., Hlebowiczem, katolikiem, który na podziw wszystkich katolików z honorem teścia swojego zezwolił na ślub ministra kalwińskiego. Sto i trzy bogate prezenta ofiarowano, król 20 000 złotych i łóżko słane złotem przysłał".

Hlebowicz był katolikiem, zaś żona zaciekłą kalwinką, zemdlała gdy dowiedziała się, że starający się o rękę jej córki Sapieha, poszedł w Rosi do kościoła. Z trudem ją ocucono, gdy córka przeszła na katolicyzm. Hlebowicz miał w Rosi stałą rezydencję, również Zasław, położony za Mińskiem należał do niego. Zmarł w 1669 r. Nie pozostawił męskiego potomka, miał natomiast dwie córki: Krystynę i Marcybellę. Krystyna wyszła za mąż za Kazimierza Pawła Sapiehę. Marcybella zaś za Marcjana Ogińskiego. Zięciowie podzielili się olbrzymimi dobrami. Matka ich, Katarzyna Hlebowiczowa, zrzekła się przysługującego jej dożywocia na dobrach męża i zatrzymała dla siebie jedynie Roś i Ilję. Gdy w 1674 r. zmarła, córki jej zjechały się w Lubczy i podzieliły się spadkiem po matce. Roś dostała się Marcybelli Ogińskiej. Marcybella Ogińska, będąc bezdzietna, zapisała dobra swoje a między innymi i Roś, swojej siostrzenicy Katarzynie Sapieżance. Zapis i śmierć nastąpiły w 1681 r. Na jej pogrzebie był pamiętnikarz Poczobut-Odlaniecki, który zanotował: „Zeszła ta zacna heroina upraszała o to małżonka swego JW. Impana z Kozielska Ogińskiego, wojewodę trockiego i testamentem warowała aby trumna niczym obita nie była. Tedy pan małżonek, samą srebrną trumnę wystawił na katafalku, kosztującą osiem tysięcy talarów".

Katarzyna Scholastyka Sapieżanka poślubiła w 1683 r. dobrze znanego

białostocczanom Stefana Branickiego i wniosła mu w posagu, między innymi Roś. W1690 r. „trzymał taksą wielką" Jerzy Kowalewski.

Najstarsza córka Branickiego Krystyna, poślubiła Józefa Franciszka Sapiehę. Małżeństwo na stałe zamieszkało w Boćkach.

Jedyna córka Józefa Sapiehy, Teresa, wyszła za mąż za księcia Hieronima Floriana Radziwiłła. Był to wielki dziwak, dumny i porywczy tyran, nie znoszący nad sobą żadnej władzy. Sapieżanka zażądała rozwodu. Sprawa ciągnęła się trzy lata, ale dla Sapieżanki została zakończona pomyślnie. W 1752 r. zaślubiła Joachima Potockiego, jednego z przywódców konfederacji barskiej.

„Joachim Karol ze Złotego Potoku i Mucharwie i Teresa z Sapiehów na Boćkach, Rosi, Pratulinie, Turowie hrabiowie Potoccy, starostowie sądowi trembolewscy, małżonkowie" szczególnie często przebywali w Rosi o czym świadczą liczne listy i nadania, przechowywane w archiwum kościelnym w Rosi. Znane są instrukcje gospodarcze dla dóbr Rosi autorstwa J. Potockiego. On to rozpoczął budowę kościoła w Rosi, dbał o utrzymanie przytułku dla ubogich, odbudował pałac. Fundusz dla przytułku zwanego szpitalem był zasługą ks. Moczarskiego, od którego Potocki wziął 2000 zł, zobowiązując się po wieczne czasy utrzymywać tam 3 ubogich. W inwentarzu z 1783 r. czytamy: „Dom szpitalny stary z sieńmi, białą izbą i piekarnią. Cały słomą kryty. Drzwi do sieni na biegunach. W tej izbie okien trzy deskami pozabijanych. Piec był kaflowy, zrujnowany, tylko kominek przy nim". A mieszkało tam „osób płci męskiej dziadów dwa i baba jedna".

Jedna z córek Joachima wydana została za Piotra Franciszka Potockiego, dziedzica Białołówki, Tykocina, Tyszyna, starostę szczyrzeckiego, ostatniego posła Rzeczypospolitej przedrozbiorowej w Turcji, marszałka guberni kijowskiej, wnosząc mu w posagu także i Roś. Przemieszkiwał najczęściej w Warszawie , czasem w majątku żony w Boćkach, Stambule, na emigracji we Włoszech. Z rzadka zaglądał do Rosi, gdzie mu się urodził jeden z dwu jego synów, Feliks. Guwernerem synów Piotra, (a miał oprócz Feliksa jeszcze Jana), był Jakub Jasiński, późniejszy generał w Powstaniu Kościuszkowskim, który później bohatersko poległ na szańcach Pragi. W czasie wakacji Jasiński zajeżdżał ze swoimi wychowankami do Rosi.

Piotr Franciszek Potocki gospodarzem w dobrach Boćki i Rosi był dobrym. Zażalenia i prośby chłopów, czyli supliki, rozpatrywał przeważnie sam i załatwiał pozytywnie. Oficjalistów, krzykliwych chłopów, zwalniał lub karał.

Trzeci rozbiór Rzeczypospolitej spowodował, że Boćki i Roś znalazły się po przeciwnych stronach granicy: Boćki w zaborze pruskim, Roś zaś w moskiewskim. Potoccy usiłowali Roś sprzedać i kupić w to miejsce od Jundziłłów majątek Hołynkę, koło Sopoćkin, która znajdowała się po tej samej stronie granicy co Boćki. Sytuację finansową pogarszały przemarsze wojsk rosyjskich oraz ich kwaterunki. „Znowu wszystkie pomieszczenia pałacu zajęte kwaterunkiem - pisał ekonom roski do Potockiego w 1799 r. - dwieście koni wojskowych pasie się na łąkach dworskich". Sprzedaż Rosi nie doszła do skutku, chociaż była aktualna do 1801 r., kiedy nastąpił podział dóbr między synów Piotra, Jan osiadł w Boćkach, zaś Feliks, żonaty z Zofią z Paców, siostrą generała Ludwika Paca, osiadł na stałe w Rosi. Roś stała się na następnych sto lat główną i jedyną siedzibą

właścicieli tego miasteczka.

Feliks Potocki znany jest jako zdolny matematyk, dobry mówca, żołnierz Księstwa Warszawskiego, pułkownik, uczestnik walk w Hiszpanii, zmarł w 1811 r. na gruźlicę. Żona z czasem wyszła za mąż za gen. Niesiołowskiego, ale wkrótce się z nim rozwiodła. Córki jej po Potockim zmarły młodo, a sama osiadłszy na dożywociu w Rosi, zmarła w 1865 r. Ostatnia z Paców, Ludwika Sapieżyna, córka generała, wystawiła ukochanej ciotce wspaniały sarkofag z białego marmuru. Stoi on do dziś w kościele roskim. Rzeźbił go Guillo Maschetti w dalekiej Italii, skąd wielkim nakładem kosztów do Rosi został sprowadzony. Stał początkowo blisko ołtarza, tuż przy ławce kolarskiej. Nieprzejednany wróg płci kobiecej, sukcesor Niesiołowskiej, Stefan hr. Potocki, kazał sarkofag przesunąć bliżej przedsionka, twierdząc, że śmierdzi. Po przemieszczeniu sarkofagu okazało się, że odór wydawało rozbite i gnijące jajko, które się tam zawieruszyło podczas wielkanocnych święceń. Sarkofag przedstawia konającą hrabinę na szezlongu. Na postumencie oprócz herbu widnieje napis: „Na pamiątkę przywiązania i wdzięczności ostatnia z Paców, księżna Ludwika Sapieżyna".

Roś przeszła na własność Stefana hr. Potockiego, dumnego magnata, uważającego się za „hrabię nad hrabiami", ale dobrego gospodarza, któremu Roś zawdzięcza w znacznej części kilka murowanych budynków jak: cerkiew, dzwonnica przy kościele, szkoła, młyn, kaplica św. Stefana. W kaplicy tej przewidywał dla siebie i swoich następców miejsce wiecznego spoczynku jednak zauważył, że na dnie krypty zbiera się woda, kazał się więc pochować nad piwnicą. Zgodnie z życzeniem spadkobierców wystawili mu w kaplicy grobowiec z czerwonego marmuru i napisem: „Ś.P. Stefan hr. Potocki, założyciel ordynacji Roskiej, urodzony w Warszawie 4/26 października 1820 r. Zmarł w Rosi 18 czerwca/l lipca 1910 r.". Grobowiec ten przetrwał obie wojny światowe, ale obecnie nie istnieje. Dobra roskie przeszły w posiadanie Adama hr. Branickiego. Nowi właściciele zjeżdżali się do Rosi tylko na wakacje, na stałe rezydując w Wilanowie. Malowniczy dwór w Rosi pustoszał i popadał w ruinę.

Najstarsze przekazy źródłowe o pałacu odnoszą się do początków XVI w. Kolejne budowle, a było ich sześć wznoszono na tych samych fundamentach, o tym można wnioskować z faktu, że pod każdym kolejnym obiektem znajdowały się te same dwie murowane piwnice pochodzące z XVI w. Zwraca uwagę fakt braku kuchni, mimo, że znajdowała się tam duża jadalnia i tzw. „służba" (rodzaj kredensu).

W 1709 r. inwentarz opisuje pałac „nowy", który potrzebował już reperacji, ale prezentował się okazale. Poprzedni widocznie już spłonął, gdyż wymienia się drzwi od spalonego pałacu. Na uwagę zasługuje olbrzymia sala o 9 oknach, zajmująca połowę budynku. Według legendy, sejmikowała tam szlachta. Na piętrze był skarbiec, a w parku „obszerna altana otoczona kanałami". W inwentarzu z 1727 r. jest już nowym, niedawno zbudowanym pałacem, stojącym na tych samych, murowanych piwnicach. Był to już czwarty, znany nam z przekazów źródłowych dwór.

Inwentarz z czasów Joachima Potockiego podaje opis pałacu nie odpowiadający opisowi z 1727 r., a więc nowego lub gruntownie przebudowanego, z nowym rozkładem pokoi, schodami półkolistymi, z dwiema oficynami bocznymi, a więc

w ogólnym zarysie takim, jaki przetrwał do drugiej wojny światowej. Na parterze mieściło się 10 pokoi i pomieszczeń. Od strony ogrodów w pałacu urządzono salę wielką z przeszklonymi drzwiami. Nowo zbudowana oficyna, naprzeciw oficyny mieszczącej kuchnię, miała sześć pokoi. We wnętrzu pałacu było wiele kominków, złoceń i malowideł ściennych, przedstawiających przeważnie rzymskie ruiny. Z sąsiedztwa pałacu zniknęły zabudowania folwarczne, służebne, plebania i kościół, a ich miejsce zajął sad, poszerzony park, ogród, a na kanale „most chiński stolarskiej roboty i czarno z zielonym malowany domek, płótnem zielono malowanym obity, arkada z tarcic sosnowych w kolorze żółtym. Mostek mały, drugi w olszynie z poręczami czerwono malowanymi, bat pływający po kanale, zewnątrz i wewnątrz malowany, dranicami czerwonymi obity a w środku firanki z płótna błękitnego dwie".

Pałac gruntownie odnowił i przebudował Feliks Potocki około 1801 r. i siedząca tutaj na dożywociu żona jego, późniejsza Niesiołowska, czuła się jak udzielna księżniczka, a odwiedzająca ją Buczyńska zanotowała - „ W Rosi u cioci Niesiołowskiej wszystko na wielką skalę, w całym znaczeniu la vie du chateau. Piękna rezydencja, liczni rezydenci, panny respektowne i wychowanice, a gośćmi rodzina Romerów, pan Buksza, metrowie itd.".

W końcu XIX w. pałac roski zwiedził K. Waliszewski: „Wewnątrz komnaty bez tapetów i kobierców, tynkowane na biało, ale przestronne i widne. Między innymi na taras i perspektywę ogrodu wychodziły duże oszklone drzwi salonu. To pomieszczenie było przestronniejsze od innych, na jońskich kapitelach czterech kolumn wsparte, a białą powłokę ścian okryły od góry do dołu portrety. Główna sala jadalna, dziś i bawialnią zarazem, a dawniej i sejmikowa potrosze. W dwóch rogach owej sali wznoszą się dwie olbrzymie szafy epoki fundacji dworu, a więc Jana III i tak zwanej epoki sapieżyńskiej, epoki dobrze na Litwie pamiętającej, kształtem zaś i barwą pociemniałego pokostu i tym właściwym szperaczom dobrze znanym zapachem, nęcącym takich gości jak ja".

Autor miał na myśli oczywiście owe słynne Archiwum Roskie, sięgające XVI w, które w czasie wojny światowej zostało wywiezione do Rosji, ale na podstawie Traktatu Ryskiego zwrócone jego właścicielom, którzy umieścili je w swym pałacu w Wilanowie. Po II wojnie archiwum znalazło się w Archiwum Głównym Akt Dawnych. W pałacu roskim przechowywano też zdobyty na Gustawie Adolfie słynny serwis, a także kocioł bardzo pięknej roboty drezdeńskiej z herbem Branickich. Dziś pałac nie istnieje. Pozostały tylko zarastające wykopy po piwnicach.

Głos znad Niemna 13 - 19 lutego 1995 r.

r Pomnik -Traugutta w- Swisłoc^

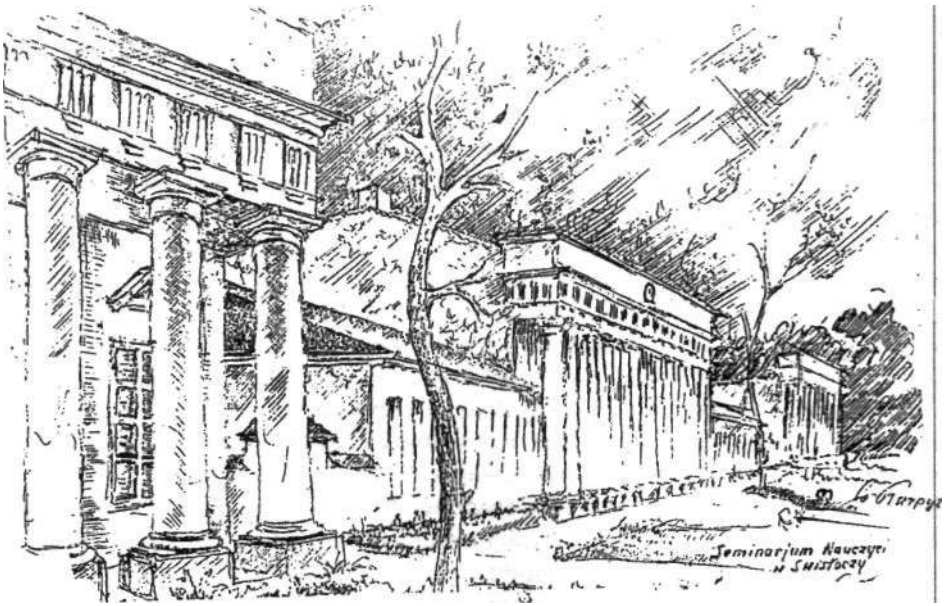

Jak podaje prasa, w roku 1989, w przygranicznym miasteczku Świsłocz odsłonięto pomnik jednego z przywódców powstania styczniowego 1863 r., Romualda Traugutta. Pomnik, dzieło białoruskich rzeźbiarzy kierowanych przez Michaiła Antipina, jest wierną kopią pomnika wzniesionego tutaj w 1928 r. według projektu Pawła Białka, zniszczonego w początkach drugiej wojny światowej. Na ocalałym z wojennej pożogi pięciometrowym kamiennym postumencie znajduje się wykonane z brązu popiersie Traugutta oraz kompozycja przedstawiająca symbol powstańców - zrywającego się do lotu orła i słowa z przysięgi powstańców - „Bóg i Ojczyzna". Na pomniku umieszczono daty urodzin i śmierci Traugutta (1826-864) oraz napis „Romualdowi Trauguttowi - rodacy".

Świsłocz w okresie międzywojennym leżała w obrębie ówczesnego województwa białostockiego. Obecnie znajduje się na Białorusi.

Według Białoruskiej Sowieckiej Encyklopedii, Świsłocz w XIII w. miała być siedzibą udzielnego księstwa. Rzeczywiście, w Latopisie Wołyńskim znajduje się wzmianka, że w 1256 r. w wyprawie na Jaćwingów Danielowi towarzyszył kniaź wołkowyski Gleb i świsłocki Izjasław. Sprawa jest dyskusyjna, bo nie ma pewności, czy o tę Świsłocz chodzi. Jedynym argumentem za Świsłoczą wołkowyską jest jej bliskość Wołkowyska, gdzie kniaziem był Gleb.

Świsłocz, jako miasteczko, założone zostało z polecenia króla przed 1523 r., prawdopodobnie w 1520 r. przez Macieja Wojciechowicza. W 1540 r. Zygmunt August darował Puszczę Świsłocką Hieronimowi Chodkiewiczowi, dziadowi bohatera spod Kirchholmu. Prawdopodobnie wraz z puszczą Chodkiewicze otrzymali i Świsłocz, gdyż w owym czasie, aż do 1571 r., znajdowała się w ich posiadaniu.

W kilka lat później wierny sługa Chodkiewiczów, Teodor Jewłaszewski, zanotował w swoim pamiętniku - „Król Jegomość frymarkiem za Świsłocz puścił Lachowicze Panu Janowi Chodkiewiczowi, staroście żmudzkiemu i wziął one Jegomość 12 czerwca 1572 r.".

Istotnie, z uwagi na to, że niektóre dobra królewskie przylegały do dóbr Chodkiewiczowskich i szachownica posiadłości nie zawsze sprzyjała racjonalnej gospodarce lub co ważniejsze dla owych czasów, polowaniu. Nastąpiła między Zygmuntem Augustem a Chodkiewiczem umowa o wymianie niektórych posiadłości. W ten sposób dwory Świsłocz, Hrynki, Janowo i Wołkowszczyzna, leżące w powiecie wołkowyskim, stały się znowu własnością królewską. Król ze swej strony ustąpił Chodkiewiczom na własność dobra swoje prywatne, Lachowicze. Ale już w 1580 r. dobra świsłocke znowu znalazły się w posiadaniu Chodkiewiczów. Za swoje zasługi otrzymali je Jan Karol i Aleksander Chodkiewiczowie od króla Stefana Batorego. W 1595 r. Jan Karol Chodkiewicz sprzedał Świsłocz Sebastianowi Pakoszowi Eljaszewiczowi, dzierżawcy żyżymskiemu, za sumę dwudziestu ośmiu tysięcy kóp groszy litewskich, a ponieważ w tym czasie Świsłocz była w dzierżawie Mikołaja Kiszki, Chodkiewicz poleca wypłacić sobie dziewiętnaście tysięcy kóp groszy litewskich, a resztę dzierżawcy.

W połowie XVII w. Świsłocz prawem zastawnym za 400 tysięcy złotych polskich przeszła na własność Kryszpinów-Kirszensztajnów. Po Konstancji, ostatniej z rodu Kryszpinów-Kirszensztajnów, która była bezdzietna, dobra Świsłocz przeszły w posiadanie Tyszkiewiczów z Łohojska. Jednemu z tego rodu, a mianowicie Wincentemu Tyszkiewiczowi, referendarzowi Wielkiego Księstwa Litewskiego, Świsłocz zawdzięcza wiele.

Żonaty był z siostrą księcia Józefa Poniatowskiego, ale małżeństwo nie było dobrane. „Tyszkiewicz - wspomina Niemcewicz - lubo umysłu, jak i ciała równie tłustego, dobry jednak i rządny gospodarz, miał gusta dziwne, najśmielsze w swoim rodzaju. Największym jego szczęściem, najmilszą zabawą, było rano odprawiać mszę, a w wieczór przebierać się po kobiecemu. Przeciwnie, żona jego z najgorętszą imaginacją, cała romansowa, piękna, z śmiałością męską, nie lubiła, jak konie, zawody i męskie zabawy". A mimo to, Tyszkiewicz należał do mądrych, zapobiegliwych i rządnych gospodarzy. Jemu to Świsłocz zawdzięcza wspaniałą uczelnię - gimnazjum.

Były to czasy odwilżowe, czasy Aleksandra I. Na mocy jego ukazów z 1803 r. utworzono Wydział Naukowy Wileński, który swym zasięgiem objął wszystkie ziemie przypadłe Rosji po rozbiorach Polski. Zorganizowane na tym terenie szkoły miały mieć język wykładowy polski. Uniwersytet Wileński powierzył ówczesnemu dyrektorowi guberni grodzieńskiej, Józefowi Ignacemu Kossakowskiemu, wybranie odpowiedniego miejsca na założenie gimnazjum. Wybór padł na Świsłocz. Złożyło się na to wiele powodów. W guberni grodzieńskiej, złożonej z ośmiu powiatów, poza Grodnem, Nowogródkiem, Słonimem, Brześciem, innych znaczniejszych miast nie było. Żadne jednak z nich na umieszczenie gimnazjum się nie nadawało. Grodno leżało na skraju guberni, pozbawione bezpośredniego sąsiedztwa lasów, przeciążone kwaterunkiem wojskowym, co się wiązało z dotkliwa drożyzną, nie rokowało na dopływ uczniów. Nowogródek, położony na wyżynie, pozbawiony był „żywej wody" i właśnie

w Nowogródku wykryto najwięcej uczniów chorych. Umieszczenie gimnazjum w Słonimie wymagało wielu nakładów, a i bliskość szkoły w Żyrowicach, prowadzonej przez bazylianów, nie przemawiały na korzyść Słonima. Brześć nie wchodził w rachubę ze względu na położenie tuż nad ówczesną granicą austriacką. Za Świsłoczą przemawiało centralne jej położenie w zdrowym terenie z życiodajnym leśnym zapleczem w postaci Puszczy Białowieskiej oraz mecenat Wincentego Tyszkiewicza, który ofiarował na szkołę budynek oraz pewną sumę pieniędzy na jego stałą reparację, pod warunkiem, że majętność Swisłocz będzie zwolniona od kwaterunku wojskowego. Tak więc 18 września 1804 r. reskryptem cesarskim, na wniosek księcia Adama Czartoryskiego, zostało zatwierdzone w Świsłoczy „gubernialne gimnazjum grodzieńskie". Burzliwe, postępowe i piękne były jego dzieje, ale wymagają osobnego opracowania. Spadkobiercą jego tradycji zostało powołane dekretem z datą 20 stycznia 1924 r. Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Świsłoczy. Organizatorem i pierwszym jego dyrektorem został Bolesław Borys.

Wybór patrona dla uczelni nie był łatwy. Szkoła w przeszłości wydała wielu ludzi sławnych i liczących się w historii i dorobku kulturalnym Polski. W rachubę wchodził Józef Ignacy Kraszewski, który ostatnie dwa lata tutaj się uczył i tutaj zdobył „patent" oraz Romuald Traugutt, który również szkołę świsłocką ukończył, uczęszczając do niej od klasy pierwszej. Ostatecznie zdecydowano się na Traugutta. Bojownik o wolność, bohater i męczennik, bardziej przemawiał do świadomości ówczesnego, powojennego pokolenia. W sprawie tej inicjatywę przejął Bolesław Borys, idąc nawet dalej i wysuwając projekt budowy pomnika Traugutta w Świsłoczy. Dyrektor Borys zwołał w tej sprawie w dniu 10 maja 1924 r. zebranie miejscowej inteligencji. Na zebranie to, oprócz dyrektora, przyszło dziewięć osób. Zebrani zaaprobowali wniosek dyrektora i uznali się za komitet organizacyjny budowy pomnika. Ponieważ w 1924 r. przypadała sześćdziesiąta rocznica stracenia Traugutta na stokach Cytadeli, komitet przyspieszył prace organizacyjne i tę rocznicę postanowił uczcić odsłonięciem pomnika.

Już 20 maja ruszyło na miasto sześciu kwestarzy. Zebrano wówczas 550 tys. marek, co na stosunki małomiasteczkowe należy uznać za sukces, chociaż wartość marki wówczas nie była wysoka, a dewaluacja z każdym dniem postępowała dalej. Zorganizowana przez komitet zabawa taneczna, przyniosła dalsze 980 tys. marek, druga zaś, połączona z loterią, wzbogaciła kasę o 1739 tys. marek. Trzeba nadmienić, że dobrze zorganizowana propaganda spowodowała, że na konto Komitetu napływały ofiary z innych części kraju. Minister Skarbu, W. Grabowski, nadesłał przekazem kwotę 50 tys. marek. Wiele ofiar pochodziło od samych uczniów seminarium. Gdy ci rozjeżdżali się na wakacje, otrzymywali ostemplowane listy, celem przeprowadzenia zbiórki na ich terenie. Jednakże trudności z budową pomnika były olbrzymie, a wartość marki spadała gwałtownie. Zapobiegliwy skarbnik, Lenartowicz, pożyczył zebrane pieniądze pewnemu przedsiębiorstwu pod warunkiem, że pożyczkę zwróci w odpowiednim czasie w zbożu. To uratowało fundusz. Jak szybko spadała wartość marki, niech świadczy fakt, że gdy Marian Dubiecki, ostatni wówczas z żyjących członków Rządu Narodowego, przysłał na konto budowy pomnika 5 zł zaznaczając, że jest to równowartość 9 min marek.

Ponieważ budowa pomnika ze względów organizacyjnych, jak i technicznych (opracowanie projektów, zatwierdzenie przez władze, odkucie w kamieniu) musiała się przesunąć na dalsze lata, przeto dyrektor B. Borys postanowił uczcić rocznicę stracenia Traugutta przez wmurowanie tablicy pamiątkowej w ścianę auli. Uroczystość odbyła się z całym, obowiązującym wówczas rytuałem, a więc ze mszą polową, przemówieniami i bankietem. Uroczystość uświetnił 50-osobowy oddział wojska z orkiestrą dętą. Po przecięciu wstęgi przez przedstawiciela wojewody, W. Andrzeykowicza, zebranym ukazał się złotymi zgłoskami wyryty napis - „Romualdowi Trauguttowi Dyktatorowi 1863 r. w 59 rocznicę stracenia w dowód czci największej - Ziomkowie. 5 sierpnia 1923 r.". Na przyjęcie przybyło około 50 osób. Wpłynął wówczas telegram gratulacyjny od marszałka sejmu, Macieja Rataja oraz serdeczny list od córki Traugutta, Anny Korwin-Juszkiewiczowej. Córka niewiele pamiętała ojca, ale w wywiadzie udzielonym *Gazecie Polskiej,* mówiła - „Ojciec był pułkownikiem saperów w Petersburgu. Twierdził, że powstanie należy zaczynać, gdyż Rosja jest uwikłana w wojnę. My byłyśmy w majątku na Polesiu, gdy stracono ojca. Miałam wówczas lat dziewięć, a siostra sześć. Był jeszcze brat. Moskale chcieli nas zabrać na wychowanie do Petersburga. Strasznie było. Ale brat umarł i nam dziewczętom dano spokój. Kozacy wyjeżdżając zabrali rzeczy, ile dało się zmieścić w dwa powozy. Majątek skonfiskowano. Wychowaliśmy się u stryja".

W owym czasie, oprócz córki Traugutta, żyło jeszcze wielu weteranów powstania styczniowego, a między innymi, Marian Dubiecki, były członek Rządu Narodowego, historyk i przyjaciel Traugutta, zasądzony na śmierć, ale karę tę zamieniono na katorgę, Stanisław Święcicki z Warszawy i Seroczyński ze Lwowa. Wspominam o nich dlatego, gdyż Bolesław Borys natychmiast nawiązał z nimi kontakt listowy i starał się ich wciągnąć do współpracy przy budowie pomnika Traugutta w Swisłoczy. Wszyscy oni ideę pomnika popierali bez zastrzeżeń, przeprowadzając na swym terenie zbiórki pieniędzy na ten cel, ale osobistego przyjazdu, ze względu na ich podeszły wiek odmówili. Bolesław Borys planował zjazd w Szostakowie, miejscu urodzenia Traugutta, ale córka Traugutta „z przyczyn od niej niezależnych", udziału w zjeździe odmówiła. Seroczyński ze Lwowa nadesłał od tamtejszych weteranów 200 zł z przeznaczeniem na budowę pomnika.

W roku szkolnym 1923/24 na nauczyciela rysunku w seminarium świsłockim zaangażowano Pawła Białka. Ponieważ był to człowiek o wielkich zdolnościach plastycznych, powierzono mu opracowanie projektu pomnika, który miał stanąć w Swisłoczy. Ze zlecenia Paweł Białek wywiązał się znakomicie i Komitet, nie czekając na zatwierdzenie projektu pomnika przez władze, zorganizował w dniu 28 czerwca 1924 r. uroczystość położenia kamienia węgielnego pod pomnik. Przy okazji spisano odpowiedni akt, który włożono do butelki, otwór zalano lakiem, opieczętowano pieczęcią sędziego pokoju i wmurowano w fundamenty. Z okolicznych pół rozpoczęto zwózkę granitowych głazów, powierzając roboty kamieniarskie Konstantemu Pawluczeni.

Projekt pomnika wymagał jednak zatwierdzenia przez odpowiednie władze. Rozpoczęła się więc żmudna korespondencja i pertraktacje odnośnie ostatecznego wyglądu obelisku. Architekt Zborowski w projekcie pomnika

poczynił tak znaczne zmiany, że sam Białek uznał, że poza wieńczącym pomnik orłem i tablicą brązową z medalionem Romualda Traugutta, niewiele z jego projektu pozostało, tak, że za autorów projektu tego pomnika należy uznać Białka i Zborowskiego.

Ożywioną korespondencję z weteranami powstania styczniowego prowadzono nadal. Niezwykle aktywny okazał się warszawski oddział weteranów z prezesem Stanisławem Święcickim na czele. Z ich inicjatywy wznoszono wtedy na stokach cytadeli warszawskiej pamiątkowy krzyż ku czci przywódców spotkania. Powołano tam też w tym celu specjalny komitet. Na wniosek Święcickiego oba komitety, warszawski i świsłocki, połączono i na honorowego prezesa powołano Mariana Dubieckiego. Na jednym z zebrań połączonego komitetu, które odbyło się w Warszawie, brał udział Bolesław Borys. Nie wiemy czy dyrektor Borys odwiedził kiedykolwiek córkę Traugutta, która jeszcze wówczas żyła, chociaż swego czasu pisała do niego, że wyśle na jego przyjęcie „wygodny powóz z burką oraz koc futrzany na nogi". Żyła ona skromnie i utrzymywała się z procentu i żaliła się, że od trzech miesięcy procentu tego jej nie płacą. „Jestem bez grosza. Wszyscy w naszych stronach są w podobnej sytuacji, skutkiem nadmiernych podatków". Niewielu też zapewne korespondentów dyrektora Borysa odwiedziło Świsłocz. I tak Święcicki swego czasu pisał: „Szanowny panie Dyrektorze! Ku największej przykrości mojej niestety do Świsłoczy przybyć nie mogę z powodu opłakanego stanu zdrowia mego, które mi nie pozwala wyjechać z Warszawy, a nawet pójść na podwórko dla odetchnięcia świeżym powietrzem, gdyż ustawiczne zawroty głowy zmuszają mnie do kilkukrotnego w ciągu dnia leżenia w łóżku. Dodam też jedno, że nawet gdybym przybył do Świsłoczy, co jest absolutnie niemożliwe, to w mowie mojej nie wystąpiłbym w obronie 1863 r., celem odparcia tej świeżej napaści na powstanie styczniowe, gdyż z taką mową powinien wystąpić nie weteran powstanie 1863 r., ale ktoś z młodszego pokolenia patriotów polskich, przeświadczony o wielkiej doniosłości narodowej wszystkich powstań naszych, które, mimo że nie uwieńczone zostały sukcesem, stanowiły jednak wobec całego świata świadectwa, że Polska nigdy nie pogodzi się z narzuconą niewolą i że jej prawa do bytu niepodległego nie zostały przedawnione. Nie mogąc sam przyjechać, pragnąłbym wysłać do Świsłoczy wiceprezesa Święcickiego, który wprawdzie nie jest mówcą, ale weteranem powstania, kulturalnym i jeszcze nie dotkniętym starością. Chcę rozesłać do rozsprzedaży pocztówki z wizerunkiem Traugutta. Podobno na uroczystości świsłockiej ma być Prezydent?".

Jednakże odsłonięcie pomnika z różnych powodów ulegało zwłoce. Niej bez wpływu był fakt pogarszania się zdrowia dyrektora Borysa. Gruźlica zrobiła swoje i dnia 30 maja 1927 r. Bolesław Borys zmarł.

Dnia 16 października 1927 r. wiceprezes Komitetu Budowy Pomnika Romualda Traugutta w Świsłoczy, aptekarz Jan Strzałkowski, zwołał zebranie Komitetu, proponując rozszerzenie jego składu. Nowy Komitet ukształtował się następująco: przewodniczący: Bolesław Wojtulewicz, vice-przewodniczący: aptekarz Jan Strzałkowski, skarbnik - Mieczysław Lenartowicz - naczelnik poczty, sekretarz - ks. Albin Horba; członkowie: sędzia Kazimierz Kuran, administrator majątku państwowego Świsłocz - inż. Wachnowski, kierownik Stacji

Zootechnicznej w Świsłoczy - inż. Plewiński, burmistrz miasta Świsłoczy - Michał Woleniec.

Nowy komitet wysłał delegację do ówczesnego prezydenta Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego, z prośbą o przyjęcie protektoratu nad budową pomnika i honorowego przewodnictwa Komitetu budowy pomnika. Prezydent ofiarowane mu godności przyjął. W skład świsłockiej delegacji wchodziły trzy osoby: Jan Strzałkowski (Bolesław Wojtulewicz wyjechać nie mógł), Tomasz Wachnowski i ks. Albin Horba. A oto jak w relacji pisemnej wspomina ten wyjazd jeden z uczestników. „Audiencja odbyła się na zamku królewskim i trwała 30 minut. Prezydent wyraził chęć i zgodę na przyjazd do Świsłoczy. Dlaczego jednak nie przyjechał? Wojewoda białostocki, Kirst, mocno się obraził, że podanie z prośbą o audiencję u prezydenta złożono z pominięciem drogi służbowej, a więc nie przez Urząd Wojewódzki. W ostatniej też chwili powiadomił prezydenta, że województwo białostockie nie jest przygotowane do jego wizyty i nie może zapewnić bezpieczeństwa. Na trzy dni przed odsłonięciem pomnika prezydent nadesłał depeszę, że do Świsłoczy nie przyjedzie i że w swoim zastępstwie przyśle kogoś innego. Wobec powyższego obrotu sprawy, pojechaliśmy natychmiast z dyrektorem Wojtulewiczem do wojewody Kirsta, który nam przy okazji nawymyślał. Z trudnością też uprosiliśmy wojewodę, aby zechciał na uroczystość świsłocką przyjechać. Ostatecznie prezydenta reprezentował gen. Fabrycy".

Bezpośrednio po wizycie u prezydenta, Komitet znowu zaczął energicznie gromadzić fundusze. Wielu obywateli miasta Świsłocz, opodatkowało się dobrowolnie stałymi składkami. Zorganizowano kilka imprez dochodowych. Dyrektor Wojtulewicz i Jan Strzałkowski udali się do Warszawy, celem zebrania dobrowolnych ofiar w firmach handlowych stolicy.

Uroczystość odsłonięcia pomnika odbyła się 17 czerwca 1928 r. W uroczystości wzięli między innymi udział: gen. Fabrycy, jako przedstawiciel prezydenta RP, gen. Franciszek Kleeberg, dowódca okręgu wojskowego w Grodnie, biskupi katoliccy z Wilna, biskup prawosławny z Grodna, wojewoda białostocki oraz córka R. Traugutta - Anna Korwin-Juszkiewiczowa. Licznie stawili się mieszkańcy miasta i gminy, w tym młodzież szkolna i harcerze.

Mistrzem ceremonii, ustalonej poprzednio przez Komitet, był inspektor szkolny z Wołkowyska, Teofil Hagel. Po odegraniu hymnu narodowego wstęgę opasującą pomnik przeciął gen. Fabrycy. Natomiast gości przywitał i przemówił do społeczeństwa w imieniu Komitetu dyrektor seminarium, Wojtulewicz. Przemawiał także miejscowy ksiądz prawosławny, Wiernikowski. Po akcie odsłonięcia pomnika na miejscowym rynku odbyła się defilada wojsk, organizacji młodzieżowych i społecznych, a później w trzech dużych salach seminarium odbył się bankiet na 150 osób. Tutaj także wygłoszono parę okolicznościowych toastów. Zorganizowanie tej całej uroczystości wymagało dużo zabiegów i starań. Produkty spożywcze, dzięki niestrudzonym zabiegom, uzyskano w okolicznych dworach, do czego w znacznym stopniu przyczynił się starosta Eustachiewicz. Nakrycia stołowe, kucharzy zawodowych oraz powozy do przywożenia gości ze stacji wypożyczył hr. Adam Branicki z Rosi. Harcerze pełnili warty honorowe, a przebrane w krakowskie stroje seminarzystki obsługiwały gości bankietujących w salach. W czasie bankietu wystąpił chór

seminarzystów pod kierunkiem profesora Henryka Katkiewicza.

Pomnik, mimo jego odsłonięcia, nie był gotowy. Brakowało zwieńczenia w postaci zrywającego się do lotu orła oraz napisów na pomniku. Model tego orła oraz litery wykonał w pracowni szkolnej nauczyciel robót ręcznych, Paweł Białek. Odlewy z nich w brązie wykonano w Warszawie i dopiero 2 października 1928 r. wmontowano w pomnik. Na ścianie frontowej pomnika, pod płaskorzeźbą w brązie, umieszczono napis - „Romualdowi Trauguttowi - Rodacy 1928", z innej zaś strony pomnika datę jego urodzin i śmierci: „1826-1864".

Dnia 9 października 1928 r. Komitet budowy pomnika się rozwiązał, pozostałą sumę w wysokości 340 złotych przeznaczył na cele społeczne i kulturalne.

Wokół pomnika uporządkowano teren i zasadzono kwiaty, których pielęgnacją zajęła się młodzież szkolna.

Źródła:

- „Tygodnik Wołkowyski" nr 23-25 z 1928 r.
- Korespondencja w sprawie budowy pomnika Romualda Traugutta w Swisłoczy w posiadaniu Marii Borysówny, córki dyrektora Bolesława Borysa.
- Rękopiśmienne relacje i wspomnienia B. Wojtulewicza i ks. A. Horby w posiadaniu autora.

JMncenty-Tys^kiewic^ i jegfo testament.

Wincenty Tyszkiewicz (1757-1816) referendarz Wielkiego Księstwa Litewskiego, właściciel Łohojska i Swisłoczy, żonaty z Teresą Poniatowską, rodzoną siostrą księcia Józefa, wodza naczelnego Księstwa Warszawskiego.

To jemu, Tyszkiewiczowi, zawdzięcza Swisłosz, dawniej miasteczko małe i zaniedbane, lata świetności. On wyjednał, między innymi, na zorganizowanie w Swisłoczy starych jarmarków i założył w 1806 r. gimnazjum akademickie, hojnie je zaopatrując w bibliotekę i pomoce naukowe, otaczając równocześnie opieką nauczycieli i uczącą się młodzież. Mimo, że sam" nie był zbyt wykształcony, to jednak popierał naukę. Przyjaźnił się z poetą, Franciszkiem Karpińskim i Janem Śniadeckim. Dał też pieniądze na opublikowanie ostatniego tomu *Słownika języka polskiego* Lindego.

Wspomniana Swisłocz, to miasto, które w okresie międzywojennym wchodziło w skład powiatu wołkowyskiego a obecnie jest centrum rejonu na Białorusi. Według mapy w Białoruskiej Encyklopedii, Swisłocz jest zaznaczona jako siedziba udzielnego księstwa świsłockiego w XIII w, ale przyjąć tego za pewnik nie można, gdyż wiadomość ta opiera się tylko na zapisie, że w wyprawie na Jaćwingów w 1256 r. brali udział Gleb i Izjasław Świsłocki. Nie wiadomo jest tutaj o jaką Swisłocz chodzi. Podobną wątpliwość budzi twierdzenie ze *Słownika geograficznego,* za którym podają i inne przewodniki, że Swisłocz w 1542 r. była w dzierżawie kniazia Kuźmy Zasławskiego, miała zamek, spławną rzekę i była zobowiązana do reperacji zamku kijowskiego. Tu znowu mamy do czynienia ze Swisłoczą, ale w owym czasie bardziej znaczną, która leżała w okolicach Mińska.

Swisłocz, jako miasteczko, zostało założone z polecenia króla przed rokiem 1523, prawdopodobnie przez Macieja Wojciechowicza w 1520 r. W 1540 r.

Zygmunt August darował Puszczę Świsłocką Hieronimowi Chodkiewiczowi (1500-1561), dziadowi bohatera spod Kircholmu. Wraz z puszczą Chodkiewiczowie otrzymali i Świsłocz, gdyż do roku 1571 znajdowała się w ich posiadaniu. Z uwagi jednak na to, że niektóre dobra królewskie przylegały do dóbr chodkiewiczowskich i szachownica posiadłości nie zawsze sprzyjała gospodarce, a szczególnie polowaniu, król ponownie znalazł się w posiadaniu Swisłoczy, zmieniając ją z Chodkiewiczami na Lachowicze w 1572 r. Ale już w 1580 r. król Stefan Batory nadał ponownie Chodkiewiczom za zasługi Świsłocz. Jan Karol Chodkiewicz (1561-1621) sprzedał Świsłocz Sebastianowi Pakoszowi w roku 1595 za dwadzieścia osiem tysięcy kóp groszy litewskich. Po Pakoszach miasteczko przeszło w posiadanie Kryszpinów - Kirszensztajnów a po nich Tyszkiewiczów.

Wincenty Tyszkiewicz, który dziedziczył Świsłocz wraz z innymi majątkami po ojcu, Antonim Kazimierzu, najbardziej upodobał sobie Świsłocz i tutaj osiadł na stałe, mimo, że posiadał taki wspaniały dwór jak Łohosk.

Młody Wincenty wychowanie otrzymał staranne. W 21 roku życia stracił ojca a w parę miesięcy później macochę. W tym też czasie poślubił w Wiedniu siedemnastoletnią Teresę księżnę Poniatowską, synowiec króla Stanisława Poniatowskiego a córkę generała Andrzeja, będącego wówczas na służbie austriackiej. Para ta jednak „nie była dla siebie". Ona dworka, kokietująca mężczyzn na dworze królewskim, on piecuch rzadko kiedy wychylający się z ukochanej Swisłoczy. Ona poważna dama a on tłuścioch i obżartuch. Ona rozrzutna i lekkomyślna, on zapobiegliwy i gospodarny.

„Hrabia Wincenty Tyszkiewicz - wspomina Tadeusz Bułharyn - był w całym znaczeniu tego słowa oryginałem, tak z umysłowego usposobienia, jak i z figury. Miał wówczas lat sześćdziesiąt i był tak niezmiernie otyły, że z wielką trudnością dźwigały go nogi. Ubierał się bardzo dziwacznie, nosił bowiem kolorowe suknie według kroju przez siebie wymyślonego. Był to rodzaj średniowiecznego surduta, który sięgał do stóp i zapinany był od szyi do dołu, małymi guziczkami. Kołnierz był tylko na palec szeroki, gdyż hrabia wcale nie miał szyi a podbródek spoczywał na piersi. Nigdy nie zdejmował swojej mycki".

„Tyszkiewicz należał do mądrych, zapobiegliwych i postępowych gospodarzy. Obok rzadkiego rozumu miał wiele wszechstronnych wiadomości, wiele doświadczenia i dobrą pamięć. Wątpię aby ktoś więcej miał posiadać dobroci serca, poczciwości i szlachetności. Na jego dworze było zaplanowane wszystko co do godziny. Na rok przedtem wiadomo było, kiedy będą strzyżone krzewy, kiedy i jakie folwarki odwiedzane. Tyszkiewicz miał bliską krewniaczkę zamężną za Kurzenieckim i zamieszkałą w Duboi. Był tak punktualny, że kiedy napisze do niej, że przyjedzie o godzinie dwunastej, to choćby przyjechał o dziesiątej, to stać będzie dwie godziny przed bramą, aby punktualności swojej nie uchybić. Tyszkiewicz pilnował, aby wszystkie posiadłości miały dobre drogi i były wysadzone brzózkami. Bardzo się też gniewał jeśli ekonomowie zarządzenia tego nie przestrzegali. Ci jednak, znając dzień przyjazdu właściciela zatykali po obu stronach drogi świeżo ścięte drzewka. Donosów się nie bali, bo referendarz donosów nie znosił. Gdy mu ktoś donosił, że jego rządca chce kupić majątek, obrażony odpowiadał: „To lepiej niżeli by chodził bez butów. Mnie dobrze i jemu dobrze". Tyszkiewicza bardziej gniewała oszczędność, niż przekraczanie

limitów. Nie cierpiał też białych łat na dachach, a gdy przecieki były w taki sposób naprawione, kazał poszycie zrywać i na własny koszt budynek pokrywać, bo Świsłocz nie może być pstrokata".

Tyszkiewicz gruntownie przebudował miasteczko. Uporządkował rynek, na środku którego postawił wyniosły, ze złotą iglicą i takąż kulą, obelisk. U wylotu pięciu ulic zbudował dekoracyjne, murowane bramy bez wrót wokół pałacu, pochodzącego jeszcze z XVII w., a więc z czasów Kierszensztajnów, założył stylowy ogród. Z miasteczka do dworu wiodła aleja wysadzana olszyną. Biegła ona między ogrodem pałacowym a zwierzyńcem, w którym podobno było kilkadziesiąt danieli i jeleni. Właściwy ogród pałacowy rozpoczynał się od kwadratowego stawu z okrągłą wyspą pośrodku. Od stawu szła odnoga do zwierzyńca. Przez mostek, rzucony przez tę odnogę, przejeżdżało się do brzozowego lasku, którego wierzchołki, dla lepszego widoku na miasteczko, były przycięte. Za tym laskiem ciągnęły się strzyżone szpalery z załamaniami. Cztery takie załamania tworzyły rodzaj gabinetów. Ziemia tej części ogrodu pozbawiona była kwiatów, ale pokrywała ją wypielęgnowana trawa i przecinały kanały łączące się z głównym stawem. Ogród był urozmaicony dwoma alejami wiekowych lip i kończył się drewnianym budynkiem administracji. W końcu ogrodu była oranżeria z kilkoma pokojami gościnnymi. Nad wodą stała murowana altana.

Dziedziniec pałacowy otaczały drewniane sztachety z przęsłami, połączone murowanymi słupami. Obok domu administracyjnego droga wiodła do zabudowań gospodarczych. Pałac usytuowany był bokiem do ogrodu. Od zajazdu rosło kilka sędziwych lip, zaś od strony przeciwnej otwierał się bardzo rozległy widok na pola uprawne, których jednostajność przerywał niewielki lasek liściasty, zwany Wiszownikiem. W pobliżu pałacu znajdował się też ogród kwiatowy z ławkami i starannie utrzymanymi ścieżkami.

Gości referendarz miał zawsze wielu, ale od nich, podobnie jak i od służby, wymagał punktualności. Wielu tych gości poświęciło Tyszkiewiczowi później sporo wspomnień i anegdot. Uchybienia karał. Dla służących najdotkliwszą karą było półgodzinne klęczenie. Często nawet siwy, podżyły wasal, klęczał jak student za krzesłem swego pana. Jednej z Potockich za karę, że się spóźniła zrobił afront, podając ramię innej damie i prowadząc ją do stołu, czym urażona Potocka udała zemdlenie. Gdy wszyscy potracili głowy, Tyszkiewicz oświadczył by mu podali nóż, to sam jej krew upuści, na czym się oczywiście zna. Taka zapowiedź postawiła Potocką na nogi.

Do stałych gości referendarza należał Franciszek Karpiński, mieszkający w niedalekiej Chorowszczyźnie. Tyszkiewicz, chcąc pomóc materialnie poecie i jeszcze bardziej chcąc mieć go przy sobie, zaproponował mu przenieść się do Swisłoczy i osiąść na łaskawym chlebie. Wrażliwy poeta się obraził i przez czas dłuższy w Swisłoczy się nie pokazywał. Z czasem doszło do pojednania i rozegrała się scena niezwykła. Dwaj przyjaciele uklękli na środku pokoju i objąwszy się rękoma, rzewnie zapłakali, żałując dąsów i serdecznie się przepraszając. Trwało to długo, gdyż Karpiński z potężnych ramion wyswobodzić się nie mógł, a Tyszkiewicz, z powodu swej tuszy z kolan podnieść się nie zdołał. Dopiero kilku rosłych lokai, wziąwszy referendarza pod ramiona, z wielkim wysiłkiem postawili go na nogi. Karpiński, po śmierci Tyszkiewicza, dla pamięci przyjaciela,

ubierał się często w żupan, kupiony po nieboszczyku, którym dla nadmiernej szerokości, okrywał się wkoło dwa razy.

Nie bogactwo jednak, ani urząd referendarza, przysporzyły Tyszkiewiczowi sławy, ale jego gospodarność, patriotyzm i dbałość o oświatę, zapewniły mu pamięć potomnych.

Umarł w Duboi, w powiecie pińskim, u krewnej swej, kasztelanowej Kurzenieckiej, którą odwiedził w marcu 1816 r. Znaleziono go rano w pościeli, już nieżyjącego. Żona, która już go dawno opuściła, przeżyła go znacznie i zmarła w Paryżu w 1831 r. i została pochowana w dobrach księcia Tylleyranda.

Tyszkiewicza pochowano w dobrach rodzinnych w Łohojsku, u stóp trumien rodzicielskich. Krótki napis głosił: „Syn Wincenty. Roku 1816, marca dnia 12". Świsłocz przekazał swemu krewniakowi, generałowi Tadeuszowi Tyszkiewiczowi (1774-1852), zastrzegając sobie dożywocie: 200 czerwonych złotych rocznie, wolne mieszkanie zimą w Klepaczach a na lato w willi świsłockiej, położoną za ulicą Brzeską i dostarczenie wszelkich prowiantów do kuchni.

Pozostawił testament, chyba nie jedyny. W Bibliotece Narodowej w Warszawie zachował się, poświadczony urzędowi „vidimus" z księży grodzkich powiatu wołkowyskiego, z którego przytaczam wyjątki: Testament ten pisany był na siedem lat przed śmiercią, to jest 17 kwietnia 1809 r.

„Wincenty hrabia Tyszkiewicz - czytamy na wstępie - Referendarz Wielkiego księstwa Litewskiego, czynię wiadomo tym swoim dokumentem, wieczysto upewniającym i na zawsze ubezpieczającym dany i służący na to. Ja, gdy od mego objęcia dóbr Świsłoczy, aż dotąd, nie oszczędzałem żadnych wydatków ani najtroskliwszych starań dla polepszenia bytu ludziom, rządowi memu poddanych, ku wygodzie publicznej i zdobienia miejsc własnych swoich składających, tak w egzekwowaniu jak i w utrzymaniu własnym nakładem miasta Świsłoczy, wsiów, karczem, gościńców, dróg i grobel. Chcąc tym ludziom moim i miejscom po mnie należącym, czyli po zejściu moim, opatrzyć i ubezpieczyć na wieczną trwałość. Rzeczy, warunki i obowiązki, które po niej opisuję a na pewność skutków za istotnych egzekutorów i przyjaciół, opiekować się tym mającym, aby życzenia moje dla dobra ludzi i miejsca, po zejściu nawet moim były dopełnione, zaprosiłem i naznaczam JWWJPP: Tomasza Wawrzeckiego byłego chorążego, litewskiego, Michała Romera, prezydenta departamentu i Ksawerego Niesiołowskiego, generała majora Wojska Polskiego, których to upraszam, w wypadku zejścia mego, o egzekucje i skuteczną opiekę w rzeczach i okolicznościach następujących".

Najpierw prosi realizatorów testamentu o odebranie u księcia Dominika Radziwiłła, pożyczoną mu swego czasu sumę sto tysięcy złotych polskich, bo przeznacza on na wymurowanie nowego kościoła w Świsłoczy, na co zobowiązał majątek świsłocki do dostarczenia drzewa i cegieł, ile ta budowa potrzebować będzie. Zastrzega, by ten kościół był przynajmniej nie mniejszy od obecnie istniejącego i był według jego rysunku. Ponieważ istniejący kościół jest jeszcze mocny i dobrze zaopatrzony, więc nie ma pośpiechu w murowaniu nowego, wobec czego podjęte pieniądze u Radziwiłła ulokować na 7% rocznie i z tego 6 tysięcy każdego roku przeznaczać na wsparcie ubogich w Świsłoczy a także na poszkodowanych gradobiciem lub pożarem a trwać to ma do czasu całkowitego

ukończenia budowli.

Wypadki dziejowe nie pozwoliły jednak na postawienie murowanego kościoła. Stary kościół dotrwał do 1941 r., kiedy to został spalony podczas bombardowania Swisłoczy. Jeszcze za czasów istnienia kościoła starego były czynione próby postawienia murowanego w 1907 r. i nawet rozpoczęto gromadzenie materiałów, ale gubernator nie pozwolił.

Nie zapomniał Wincenty Tyszkiewicz i o gimnazjum świsłockim. „Sumę trzy tysiące czerwonych złotych - pisze - złożoną przeze mnie u JW chorążego litewskiego, jeśliby przeze mnie zdjęte i użyte nie były na przebudowanie gimnazjum w wypadku pożaru w przeciągu czasu danego przeze mnie dokumentu takiej sumy trzech tysięcy czerwonych złotych na ten obiekt w dobrach Swisłoczy na zbudowanie gimnazjum nie zapisał i nie zapewnił i gdyby po moim zejściu toż gimnazjum z miasta Swisłoczy przenoszone być miało, w tym razie coroczny procent siódmy od tych czerwonych złotych, przeznaczam na zbudowanie domu i na utrzymanie w nim chorych, sposobów do kuracji nie mających, z miasta i włości świsłockiej, obowiązując fundom do wydania placu na jego zbudowanie i na ogrodu przyzwoitego, polecając szczególniej JWW egzekutorów ludzkości i opiece".

Dla ciekawości dodamy, że gimnazjum w Swisłoczy zostało odbudowane przez spadkobiercę, gen. Tadeusza Tyszkiewicza. W 1821 r. rozpoczęto budowę. W położeniu fundamentów uczestniczył kurator wileński, książę Czartoryski, który „własną ręką spuścił ogromny głaz z rusztowania na ten koniec przygotowanego, w dół na fundament wyryty a następnie obrzucił go zwykłą mieszaniną gliny, wapnia i piasku, w pięknym cebrazku do tego przygotowaną, kielnią murarską z rękojeścią hebanową, w srebro oprawną."

Nie zapomniał Tyszkiewicz i o swojej dworskiej służbie, o czym między innymi czytamy:

„Protekcji wzywam dla służących w dworze moim i przy mnie, uwolnionych już przez mój dokument w roku 1807, miesiąca oktobra dnia dwudziestego wydany a tegoż roku w ziemi wołkowyskiej aktywowany, jako to Mateusza Lidzewskiego, Stanisława Wojciechowskiego i innych wówczas z nimi służących w służbie lokajskiej, kuchennej i stajennej, wysłużonego Nestora Kamińskiego, dzieci ich wszystkich, żony i dzieci liberowałem a teraz liberuję wszystkich w służbie dworskiej, lokajskiej, kuchennej i stajennej będących od poddaństwa i skazki uwalniam ich samych, jak i tych, których przez osobne dokumenta od poddaństwa i skazki uwolnić mogę, aby jako ludzie wolni sami, ich żony i potomkowie, żadnej niewoli nie zaznawali od posiadaczy dóbr Swisłoczy".

„Na kasę komunalną, włościańską dla miasta i wsi wszystkich hrabstwa świsłockiego składających się, zebrało się kilka tysięcy złotych polskich i troskliwie o mnożenie tego fundum starać się będą. Po zejściu moim obliguję JWW egzekutorów, aby gdziekolwiek pieniądze tej kasy włościańskiej należące, ulokowane były, zająć ją raczyli pod własną swoją władzę i wiadomość, aby fundusz nie ginął i na proste wiejskie zapomogi w zbożu, na żywność i zasiewy, lub na zaprzęgi, wołów, koni, bo te wszystkie do fundum należą, lecz owszem, aby z przybywających procentów mnożył się i nie był użyty, tylko w wypadkach i okazjach nadzwyczajnych, publicznych obowiązków, klęską całą wieś, lub

pojedynczy osoby, ogniem gradem, lub upadkiem powszechnym bydła, dotyczących".

Wiele troski zawiera testament o organizacji wiejskich, zsypkowych magazynów zbożowych w dobrach świsłockich, a szczególnie centralnym, który powiększa Tyszkiewicz o 120 beczek żyta, dziesięć beczek pszenicy, 50 beczek jęczmienia, 60 beczek owsa, 20 beczek gryki - ogółem 260 beczek różnego zboża. Przy czym wyłączył wpływowe osoby, jak administratorów, komisarzy i ekonomistów od decydowania rozdawnictwa tych zbóż, przedstawiając im jedynie ogólny dozór nad całością, rejestrami i zachowaniem zboża od stęcłilizny. Magazyny miały pozostawać pod własnymi, włościańskimi kluczami, dozorem i zawiadywaniem. Polecił więc wybrać czterech gospodarzy trzeźwych, uczciwych, pilnych i zdolnych, „którzy utrzymywać mają rachunek percepty i ekspensy na karbach i którzy przysięgną Bogu i włości na wierność z uczciwością, bez żadnej kradzieży i zmowy. U każdego z czterech wybranych włościan ma się znajdować po jednym różnym kluczu, aby nie mogli wydawać zboża w pojedynkę, ale wszyscy czterej razem. Specjalny pisarz musi utrzymywać księgę. Włościanom z obcych włości też może być wydawane za poręką dworów swoich, ale tylko piąta część zboża przeznaczonego włościanom świsłockim".

W zakończeniu testamentu, Wincenty Tyszkiewicz prosi wyżej wymienionych egzekutorów: Tomasza Wawrzeckiego, Michała Romera i Ksawerego Niesiołowskiego, aby według jego życzeń zajęli się egzekucją testamentu, a gdyby już żaden z nich nie żył, to prosi Sąd Apelacyjny aby wyznaczył trzech nowych opiekunów i egzekutorów „osób cnotliwych dostojnych, bezinteresownych do takiej egzekucji i opieki, aby mieszkańcy dóbr i miasta Swisłoczy, nie niszcząc czasu i majątku, kłótnie i pienie, nie podlegali chciwym intrygom, wolni zawsze od przemocy i niesprawiedliwości, w późniejsze czasy mieli zawsze gotową i poważną radę, protekcję i pomoc".

Źródła:

1. Słownik geograficzny.
2. Białoruska Sowiecka Encyklopedia.,
3. Latopis wołyński.
4. S. Aleksandrowicz. Geneza i rozwój miesteczej Białorusi i Litwy do połowy XVII wieku.
5. Downar Zapolski. Gosudarstwiennoje choziajstwo Wiel. Kniastwa Lit. pri Jagiełłonach.

Kościół w Szydłowicach

Pized kosciolem
u Jttydteuit*oh

Szydłowice, to mała miejscowość w byłym powiecie wołkowyskim z wielkim neogotyckim kościołem, którego wieża jest widoczna z najdalszego zakątka parafii. Nie opiewał tych stron poeta, ani dziennikarz, ani historyk. Warto więc tam zajrzeć.

W 1511 r. miały Szydłowice już kościół fundacji sióstr Krupskich, który jednak w 1541 r. się spalił od pioruna, wobec czego Anna z Krupskich Radahoska zbudowała kościół nowy. Gdy tego nie stało, Krzysztof i Barbara Wolscy na Krzemienicy zbudowali w Szydłowicach kościół nowy, drewniany, uposażając go folwarkiem Bierdziki (dwa kilometry od Szydłowie), ze wsią i poddanymi oraz placem przy kościele, z obowiązkiem 2 mszy tygodniowo, z utrzymaniem szkoły, bakałarza i kantora.

Budynek plebański stanął więc z dala od kościoła, w Bierdzikach w miejscu, które dzisiaj jest porosłe krzakami i pokryte zarastającymi sadzawkami i nosi nazwę Jowje. Zabudowania plebańskie stały tam jeszcze w 1812 r. a wojska saskie, jak wynika z kroniki kościelnej poczyniły tam wielkie szkody. „Dnia 6 lipca - czytamy - z rana istotny począł się rabunek, bo kilkadziesiąt żołnierzy w białych mundurach z czerwonymi obszlagami, napadli na dom plebański, dawać co sobie dawali, lecz kogo napadli, płazowali, drzwi łamać, zamki odbijać, okna, szklanki, kieliszki, filiżanki, jedne brać, drugie tłuc, po wszystkich kątach szperali i co się tylko podobało, jedni po drugich napadając, do 13 ludzi zbili, kobiety uganiali".

Dobra szydłowickie przeszły z czasem w ręce Wiesiołowskich, z których Krzysztof, żonaty był z Aleksandrą Sobieską, ciotką króla Jana III. Oni to,

fundując klasztor brygidek w Grodnie, uposażyli go Szydłowicami i Krzemienicą. W skład dóbr szydłowickich wchodziły wsie: Szydłowice, Miełowce, Talkowce, Kukiełki, Snopki, Janowicze, Piaczyce i pozostawały własnością zakonu aż do 1843 r., kiedy to wszystkie dobra zakonne przeszły na skarb państwa. Nic więc dziwnego, że gmina szydłowicka miała ludność prawie w całości katolicką, bo według spisu ludności z 1928 r., na 5170 mieszkańców, było tylko 308 prawosławnych (wieś Dziaki).

Wizyta biskupa, przeprowadzona po *potopie* znalazła tutaj nietknięty wojną „kościół wspaniały, kollacji brygidek, ks. Kazimierza Władyczkę, wikarego". Żalił się jednak biskup, że proboszcza na miejscu nie było, gdyż posiadał aż dwa probostwa: szydłowickie i brzostowskie, na co zażądał specjalnego pozwolenia. Następnie pobierzmowawszy 27 osób, odjechał.

Drewniany kościół, fundowany przez Wolskich, w dość dobrym stanie przetrwał do pierwszej wojny światowej. Mimo to, w 1907 r., staraniem parafii i ks. Kazimierza Stanionisa, rozpoczęto tuż za starym kościołem budowę nowego. Plany jego prawdopodobnie były sporządzone dla jakiegoś kościoła miejskiego, ale nie zostały przez miasto przyjęte i w ten sposób parafia plany otrzymała taniej. W każdym razie, jak na stosunki szydłowickie, był to kościół kolos. Na budowę kościoła ludność opodatkowała się po 10 rubli od osoby. Wieś Mosznie, chcąc się wywiązać z przyjętego zobowiązania, sprzedała znaczny kawałek swojego lasu. Aby zabezpieczyć cegłę na budowę kościoła wybudowano cegielnię w Bierdzikach. W 1914 r. kościół już był gotowy, ale wojna nie obeszła się z nim łaskawie. Oto, co na ten temat pisał w liście do autora ks. Albin Horba, ówczesny wikary w Szydłowicach:

„ Kościół budowano osiem lat. Miał 65 metrów wysokości i dawał widoczność z wieży o promieniu 20 kilometrów. Okna miał opatrzone witrażami. Organy były 28 głosowe. W okolicy Szydłowie wojska rosyjskie stawiały opór. Wirzchołek wieży wraz z krzyżem został zbity, gdyż był tam wojskowy posterunek obserwacyjny. Dach był podziurawiony a w sklepieniach powstały wyrwy, okna zbite a w organy trafił pocisk. Uszkodzono też kościół drewniany".

Ksiądz Stanionis był bliski obłędu a gdy przyszli bolszewicy, ukrył się w Bierdzikach, zrzucił sutannę i buty a przewiesiwszy przez ramię dziadowską torbę, pasał w zaroślach Jewje gospodarskie krowy. Bolszewicy go nie rozpoznali, zwłaszcza, że pastuch chodził boso, nóg nigdy nie mył a zarostu nie golił. Chodzenie na bosaka po rosie dobrze zrobiło zbiegowi. Wyzdrowiał.

Jak już wspomniałem wyżej, nowy kościół zbudowano na zapleczu starego, którego ogołocone resztki przetrwały do 1926 r. W ten sposób przed frontem nowej budowli powstał malowniczy, ocieniony lipami, ogrodzony murem i upiększony bramą cmentarzyk kościelny. Na jego środku pozostały do dzisiaj ślady fundamentów i ceglanej posadzki starego kościoła, a w murowanym ogrodzeniu liczne epitafia rzeźbione w kamieniu i marmurze możnych ówczesnego świata.

Podczas rozbiórki starego kościoła znaleziono w podziemiach groby powstańców z 1863 r., których w tajemnicy przed reżymem carskim tutaj pogrzebano. Ksiądz Zienkiewicz chciał w okresie międzywojennym dokonać ekshumacji pochowanych i uroczyście przenieść na cmentarz parafialny, ale

Kuria Metropolitarna na to się nie zgodziła.

O grobach tych wspomina były uczeń szkoły szydłowickiej, Władysław Klimczuk: „Co do grobów pod kościołem to na pewno były i są dotychczas. Pamiętam, gdy chodziłem do szkoły, gdzieś około 1926 r., to parafię szydłowicką wizytował ksiądz biskup z Wilna, pamiętam nazwisko - Michałkiewicz i był również u nas w szkole, zaproszony przez nauczycielki, Sarosiekówny, to również opowiadał o tych grobach, że w podziemiu, gdzie stał stary kościół są groby powstańców i ludzi zasłużonych w naszej parafii i prosił, aby idąc do nowego kościoła zdejmowali czapki przechodząc przez to miejsce, gdzie stał stary kościół, bo to jest miejsce święte".

Po drugiej wojnie światowej w nowym kościele urządzono jakieś zakłady mechaniczne. Kościół niszczał, a gdy groził zawaleniem, oddano katolikom, którzy go pieczołowicie odbudowują. Niestety, fabryka całkowicie zniszczyła cmentarz kościelny, nie pozostawiając ani bramy, ani ogrodzenia, ani epitafiów.

Na zakończenie wyliczę jeszcze paru księży, którzy zasłużyli się szydłowickiemu kościołowi. Są to:

Ksiądz kanonik Franciszek Cybulski był jednym z dzielniejszych proboszczów. On to w 1807 r. gruntownie odnowił kościół pochodzący z 1620 r. wraz z ogrodzeniem i bramą, przeniósł plebanię z Bierdzik do Szydłowie.

Ksiądz Filip Bonera, początkowo wikary u księdza Cybulskiego, kontynuował jego dzieło, kończąc przenosiny plebani i zabudowań gospodarczych.

Ksiądz Adolf Kamieński, to druga gwiazda obok księdza Cybulskiego. Za jego czasów drewniany kościół był ponownie remontowany. Był tutaj proboszczem około roku 1863. W 1860 r. nie przyjął „trebników". Zostawił piękny po sobie pomnik w postaci starych lip wokół kościoła i plebani, które sam, własna ręką zasadził. Był dobrym gospodarzem i pszczelarzem.

Ksiądz Tadeusz Makarewicz, który proboszczował tutaj przez czas krótki w latach 1896-1899, ale za jego czasów organistą w Szydłowicach był przyszły profesor i mistrz organowy w katedrze wileńskiej, Władysław Kalinowski. Kalinowski będąc w Szydłowicach, prowadził ożywioną pracę kulturalną i oświatową. Był protegowanym ks. Makarewicza i przy jego pomocy ukończył wyższe studia muzyczne w Ratyzbonie.

Ksiądz Alfons Zienkiewicz przeprowadził remont uszkodzonej w wojnie, murowanej świątyni, rozebrał stary kościół i z drzewa uzyskanego z rozbiórki zbudował plebanię.

Ksiądz Jan Czarbecki, który pracował tutaj w okresie najtrudniejszym, 1939-1947 z przerwą na zesłanie do Łagrów. Po uwolnieniu wrócił jeszcze do Szydłowie, ale wyczerpany nerwowo, wyjechał w 1947 r. do Elbląga, gdzie też wkrótce zmarł.

Nadmienię, że był także ksiądz, Onufry Rubażewicz, który nie umiał pozyskać zaufania parafian. Posługiwał się tylko językiem rosyjskim. Nikt z jego ust nie słyszał mowy polskiej ani białoruskiej. Został przeniesiony później do Rosji, ale i tam był krótko.

Teolin

Mam przed sobą list pani Alicji Tiste, z domu Winter, mojej dawnej uczennicy z Rosi, w którym pisze:

„Widziałam ten grobowiec, podobny do grobowca Olędzkich w Rosi, tylko nie tak zniszczony, którym chlubi się pan Chomczukow, że go odkrył. Rzeczywiście, cmentarz koło Kołłątajów jest zarośnięty, jak dziupla. Leżą w grobowcu: Maria Grabowska z Potockich i jej córka Grabowska, również po mężu Grabowska".

Wiadomość niespodziewana i zaskakująca. Zajrzałem do swoich notatek, poczynionych z archiwów krajowych. Trop prowadził do Teolina.

Teolin to dawna posiadłość Grabowskich, leżąca między Wołkowyskiem a Rosią. Zachowały się tutaj dwa pałacowe budynki, przebudowane po drugiej wojnie światowej, leżące w parku dworskim o obszarze 8 hektarów, założonym w początkach XIX w. Park ten dawniej otaczał kamienny mur, częściowo zachowany a z północy i wschodu bogatymi w wodę kanałami. Kanały nawadniane były wodą z rzeki Roś. W tym celu przekopano kanał doprowadzający, 200 metrów długi i 20 szeroki. Reprezentacyjna i najbardziej zadbana część parku leży na szczycie pagórka. Założeniem kompozycyjnym są dwa jednakowe dwory, stojące naprzeciw siebie. Wzdłuż kanału zachowała się piękna aleja. Park jest w dobrym stanie, ale dobrze by było przywrócić wygląd z epoki naturalizmu.

Tuż obok Teolina leży wieś Zahory i przepiękne, rozrzucone po pagórkach, Krasnogórskie lasy o malowniczym, osiemdziesięcioletnim drzewostanie, pełne dawniej jagód i wszelkiego leśnego runa, zdobione siedliskami czarnych czapli.

To właśnie przez te lasy w 1920 r. przebijały się z okrążenia zmęczone oddziały I Dywizji Litewsko-Białoruskiej.

„Był śliczny, słoneczny poranek - wspomina jeden z uczestników walk,

porucznik Korsak - Po przekroczeniu rzeki Roś, szliśmy przez dwie godziny lasami według busoli. Nie spotkaliśmy żadnej większej drogi. W połowie tego marszu zarządziłem odpoczynek. Całe wojsko, jak na komendę, padło natychmiast wśród,bujnych krzaków czernic, zaściełających cały las. Śliczne, dojrzałe jagody jedzono wprost garściami. Tak smacznych jagód nie jadłem w swym życiu".[2]

Teolin występował dawniej pod nazwą Choroszkowszczyzny, o której wiemy z dokumentu wzmiankującego „Choroszkowszczyzna alias Teolin".'

Jeszcze wcześniej, bo w 1567 r. w Metryce Litewskiej, w popisie wojska Wielkiego Księstwa Litewskiego istnieje jako Wołczkowskoje Imienije a później spotykamy w innym dokumencie, jako Dwór Wołczkowski, który otrzymali bojarzy brańscy: Stepan Sawa i Jarosław oraz Semen Kołłątajowie.[4]

W 1643 r. mamy już do czynienia z Wołczkowszczyzną - Choroszkowszczyzna jako własnością Kazimierza Romanowicza Jelskiego, który sprzedaje tę majętność Janowi Zarankowi za 10 500 złotych polskich. W 1690 r. Choroszkowszczyzna jest w posiadaniu Teofila Olędzkiego podkomorzego wołkowyskiego. Wykazywał wówczas w tym majątku dymów 1i.[5]

Nazwę Teolin nadał folwarkowi prawdopodobnie Stefan Grabowski (zm. w 1756 r.), który w ten sposób chciał uczcić swoją żonę, Teodorę ze Stryjeńskich. Brzmiało to piękniej niż Wołczkowszczyzną. Podobnie postąpił i Fleming z pobliskiego Pietuchowa zmieniając nazwę na Izabelin. Wiek oświecenia lubował się w tego rodzaju zabawkach. Rodzina Grabowskich, podobnie jak i sąsiedzi z Moczulna, byli wyznania kalwińskiego, ale o wiele później osiadła na Litwie.

Tomasz, syn Stefana i Teodory ze Stryjeńskich był początkowo żonaty z Anną Różycką, z której pozostawił synów: Zygmunta, Pawła, Alberta, Hieronima i córkę Ludwikę. Z drugiego małżeństwa, z Dorotą Ottenhauzówną, miał jeszcze trzech synów: Stefana, Michała, Jana oraz dwie córki: Joannę i Mariannę.[6]

Tomasz, gorliwy kalwin, podobnie jak i bracia, brał udział w organizacji ruchu dysydenckiego. Uczestniczył też aktywnie w synodach i sesjach prowincjonalnych.

„Wśród burzy barskiej - czytamy - za błędy swego brata, Jana Grabowskiego, ucierpiał Tomasz, który ustosunkowany z całą katolicka szlachtą, pracował spokojnie i podpisał tylko parę aktów politycznych i może tylko przez nieporozumienie został w sierpniu 1771 r. zrąbany przez partyzantów Gołębiowskiego".[7]

Wzmiankowany wyżej, brat Jan, zawdzięcza imię w historii głównie naczelnej roli, jaką odegrał w ruchu dysydenckim za króla Stanisława Augusta, ale też jako wygodny małżonek Elżbiety z Szydłowskich, wpływowej kochanki króla. Zmarł w niedalekim Izabelinie, gdzie też fundował swego czasu dwór kalwiński.

Drugi brat, Michał, również generał, stronnik króla i Rosji, walczył z konfederacją barską, za co otrzymał ordery polskie i rosyjskie.

Trzeci brat, Paweł walczył przy boku Anglików przeciwko Amerykanom. Poległ w 1777 r. przy zdobywaniu fortecy Clinton.

Po Tomaszu Teolin odziedziczył najstarszy syn Tomasza, Zygmunt, późniejszy krajczy litewski. Daty jego urodzenia nie znamy. Był szambelanem królewskim, starostą tytularnym krzemieńczuckim i posłem wołkowyskim na sejm w 1790 r. Za zasługi w sprawie dysydenckiej został odznaczony Orderem św. Stanisława I Orła Białego. Za czasów targowicy był członkiem Rady Nieustającej, ale targowiczanie

nie mieli do niego zaufania, sprzyjał bowiem emigracji i donosił Ignacemu Potockiemu o wszystkim, co się na tej radzie działo.

Osoba ta nas bardziej interesuje, gdyż żonaty był z Marianną Potocką, właśnie z tą, której grobowiec niedawno odkryto na cmentarzu pod Kołłątajami.

Marianna Grabowska, spokrewniona z okolicznymi dworami, a między innymi z Niesiołowską z Rosi i Leonem Potockim, częstym gościem w Świsłoczy, mieszkała stale w Teolinie. Była rodzoną siostrą Piotra Potockiego, ojca dawnego męża Niesiołowskiej. Ponieważ Piotr Potocki częściej przebywał w Warszawie i Boćkach niż w Rosi, Grabowska, po sąsiedzku, miała oko na Roś i w częstych listach donosiła bratu o gospodarce ekonoma Kozłowskiego. Czyniła to chętnie, gdyż na dobrach roskich był oparty posag Marianny w wysokości 150 000 florenów. Wprawdzie początkowo oparto go na dobrach Bilolówka, ale ta została sprzedana i dług przeniesiono na Roś, z którego to tytułu Piotr Potocki wypłacał Grabowskim 10 500 złotych odsetek rocznie. Dano jednocześnie do zrozumienia, że gdyby i Roś miała być sprzedana, to pierwszeństwo kupna mieliby Grabowscy. Aby pozbyć się przykrego długu, długo rozważano sprawę puszczenia Grabowskim w dzierżawę Zubowszczyzny, aż należną im sumę z dzierżawy wybiorą.

W Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie, Archiwum Roskie dochowało się około 20 listów, pisanych przez Grabowską do brata, Piotra Potockiego. Wychodziły one regularnie i nigdy nie pozostawały bez odpowiedzi aż do wyjazdu Potockiego do Turcji, gdzie objął stanowisko ambasadora Rzeczypospolitej.

Warto do nich zajrzeć. A oto niektóre z nich fragmenty:

„Teolin, 18.8.1787. U nas, jaki w całej Polsce, mąż jest na wyborach. W tym momencie właśnie odbieram wiadomość, że starosta wołkowyski i Bułharyn, pisarz ziemski, spokojnie posłami zostali obrani, chociaż były pogłoski, że bez dobycia szabel się nie obejdzie".

„Teolin, 9.2.1789. Kozłowski się tutaj walnie obraca i przedał 60 beczek żyta po 48 złotych i 40 po 40 złotych, 130 po 20 złotych, tylko ta bieda, że tylko zadatek pobrał a sama płata na wiosnę. U nas werbują - z Szowek porwali jednego gospodarza"."

Trzeba tutaj dodać, że ten werbunek do wojska, to nie było nic innego, jak porwanie rosłych mężczyzn przez króla pruskiego, który w owych czasach bezkarnie grasował na ziemiach Rzeczypospolitej. Z innych źródeł wiemy, że niektórym chłopom udało się z tego werbunku zbiec. Z samego Teolina uciekli różnymi czasy:

Michał Sozon, syn Józefa, lat 36
Aleksander Charatonik, syn Marcian, lat 26
Siemion Sozon, syn Józefa, lat 26
Marcin Radziwonik, syn Andrzeja, lat 37
Michał Podgórski, syn Jurka, lat 28
Janko Poliksza, syn Bartłomieja, lat 31
Tomasz Burdziuk, syn Piotra, lat 26
Józef Lucik, syn Macieja, lat 30
Onufry Apanowicz, syn Marcina, lat 20
Wawrzon Maszkiewicz, syn Jana, lat 32.[9]

Oto dalsze fragmenty z listów Grabowskich do Feliksa Potockiego. Prawie wszystkie adresowane są z Rosi.

„Teolin, 26.3.1803. Już od tygodnia byłam uwiadomiona o tej fatalnej nowinie, lubo każdego z nas czeka, jednak nie po to aby smutkiem i żalem nie napełniła serca familii, osobliwie mnie, która utraciwszy matkę swą jedną, miałam co więcej, że projektowałam w tych dniach jechać do niej. Dziękuję ci bardzo tak za ostatnie usługi, któreś był dopełnił tak jak i za wszystkie urządzenia, któreś tam porobił. W tych dniach poślę do Lwowa, aby mnie legitymowano a za obaczenia się w dalszych krokach naradzimy się. Ja cały ten post w łóżku przeleżałam i odtąd nie wstaję, zdrowa zupełnie będąc, ale poślizgnęłam się i wpadłam nogą pod korzeń, tę natomiast tak mocno zbiłam, że dotąd nie goją się. Ściskam Cię serdecznie i proszę przybywać do Rosi. Czekać Cię będę niecierpliwie".

„Teolin, 15.10.1805. Mniemawszy, że twoja śliczna żoneczka wszystkie trudy przebywszy, już dotychczas zdrowa, piszę ten list z podziękowaniem im obojgu rodzicom w szczęśliwym powodzeniu się przybyłej konsolacji, którą niech Pan Bóg dla dobrej familii naszej w długie lata konserwować raczy a szczęśliwym rodzicom cieszyć pozwoli. (To Zofia Potocka, żona Feliksa a przyszła Niesiołowska powiła córkę). Mój syn, Ksawery, będąc w Warszawie, pożyczył u pana Fabrycego czerwonych złotych dwanaście i dał mu karteczkę na to. Proszę, aby i te dwanaście natychmiast zapłacił panu Fabrycemu i koszta mego syna do siebie odebrał a skoro mnie oznajmisz o swojej tej dobrej uczynności, ja tu w ręce Kozłowskiego złożę, które na interes skarbowy mogą być obrócone. Nie mając spieszniejszej okazji do zapłacenia tego długu, używam tego sposobu w nadziei, że nie odmówisz mi tej uczynności, o co powtarzając prośbę, serdecznie ich obojga ściskam, jako z serca kochająca ciotka i sługa. M. Grabowska. RS. Mój mąż i Ksawery nie są przytomni (obecni). Pelisia obojgu serdecznie się kłania".[10]

„Niedziela (list bez daty) Bonjour mon cher ami, nie wiem czy będę miała satysfakcję was odwiedzić, bowiem wiele mam do czynienia, jednak będę się starała chociaż wieczorem odwiedzić. Oddawca tego listu jest ten, któremu obiecałeś dać uwolnienie od poddaństwa i któremu mówiłeś żeby się stawił, co dopełnić jemu zaleciłam. Niezmiernie i mnie zobowiązujesz wyświadczając jemu łaskę, bo poczciwy człowiek a ma swoje zasługi u was, bo był zastępcą w Boćkach"." Przytaczam te fragmenty listów, jako pamiątkę po autentycznych ziomkach, chociaż nie wnoszą wiele nowego, ale nadają kolorytu owym czasom.

Wspomniany wyżej Leon Grabowski, popularny swego czasu pamiętnikarz i pisarz, po przyjechaniu do Rosi chciał odwiedzić swoją babcię, czyli Mariannę Grabowską, której jeszcze nie znał a była już staruszką. Zofia Potocka z Rosi, późniejsza Niesiołowska, postanowiła mu spłatać figla. Znaleziono podstarzałą służącą, ucharakteryzowano na Grabowską, wsadzono do karety i wykrzyknięto:

- Babcia Grabowska przyjechała !

Bogu ducha winien Leon, cmoknął babcię w rękę i przez godzinę zabawiał ją najbardziej wyszukanymi komplementami. Ale babcia Grabowska zaprosiła wszystkich do Teolina, więc pojechano. Jakież było zdziwienie Leona, gdy przedstawiono mu babcię prawdziwą. Potocki z powitaniem się nie spieszył, ale

dumna, na szczęście o wszystkim powiadomiona Grabowska a mająca do tego poczucie humoru, uchybienie wnukowi darowała.

Wracając jeszcze do Zygmunta Grabowskiego, męża Marianny, trzeba dodać, że zawsze bronił dysydentów, twierdząc, że są dobrymi obywatelami kraju, uniewinniał konfederację słucką z 1767 r., wywołaną przez usunięcie z urzędów kalwinów, zabór ich kościołów, bronienie im nabożeństw a na dowód uczuć obywatelskich swego stryja, Jana, stawił obroną jego, który odmówił Repninowi, mimo pokusy uzyskania od niego dwóch starostw, podpisanie dokumentu porwania senatorów w 1767 r.'[2] Zmarł w 1809 r., pozostawiając córkę Pelagię i dwóch synów, Aleksandra i Ksawerego.

Pelagia wyszła za mąż za swego stryja, czyli brata jej ojca, Michała Grzegorza Grabowskiego, starostę wołkowyskiego, w którego posiadanie wszedł niezbyt uczciwie, o czym wspomina ks. Bagiński." Drugi syn Zygmunta, Aleksander, był pułkownikiem w wojsku rosyjskim i podczas wojen napoleońskich poległ w walce z Francuzami pod Krasnem w 1812 r. Grabowscy ubolewali nad tym, nie tyle z powodu jego śmierci, ile że służył w armii nieprzyjacielskiej. Odnaleźli jego ciało na polu bitwy, by później godnie pochować. Trzeci syn, Ksawery, ożenił się z Katarzyną Mellin.

Żona Zygmunta Grabowskiego, Marianna zmarła przed 1823 r., o czym świadczy notatka w *Kurierze Litewskim* z tegoż roku o eksdywizji Teolina po śmierci Zygmunta i Marii.[1]

Przypisy

1. W.G. Antipow. Parki Biełarusi. Mińsk 1975, s. 115.
2. Major Jerzy Dąbrowski. Bój odwrotowy nad Niemnem i Rosią.
3. Akta procesowe między Sapiehami a Potockimi. AGAD, Archiwum Roskie. Stara sygnatura 470).
4. K. Pietkiewicz. Wielkie Księstwo Litewskie pod rządami Aleksandra Jagiellończyka, s. 131.
5. S. Krakowski. Wykaz podatku podymnego powiatu wołkowyskiego 1690 r.,s.4.
6. Konarski. Szlachta kalwińska w Polsce oraz Herbarz Bonieckiego.
7. Polski Słownik Biograficzny. Tom VIII.
8. List Marii Potockiej do Piotra Potockiego. AGAD, Archiwum Roskie. Sygn.XLnr69.
9. Notatka w Kurierze Litewskim, nr 102/1811. Podał Piotr Kołłupajło.
10. List Grabowskiego Zygmunta i Marii Potockiej do Potockiego Feliksa. AGAD, Archiwum Roskie. Sygn. XXVIII nr34.
11. Maria Potocka i Zygmunt Grabowski do Potockiego Feliksa. AGAD, Archiwum Roskie. Sygn. XXVIII nr 34.
12. Polskie Słownik Biograficzny, tom VIII.
13. X. Bagiński. Dominikanie prowincji litewskiej (1747-1784). Wilno. s. 137.
14. Kurier Litewski, nr 67/1823.

Werejki

Z Wołkowyska do Grodna z północnego zachodu na południowy wschód, toczy się szeroka, dawniej piaszczysta, dziś asfaltowa wstęga traktu. Być może wydeptały go w 1241 r. hordy tatarskie Kajdana, który też Grodno spalił i nabrawszy mnóstwo jasyru na Wołkowysk poleciał, który również spalił, aż się gdzieś z chanem Batyjem połączył. A może też i tędy, w pamiętną palmową niedzielę 1410 r. gnał mistrz krzyżacki Urlich von Jungingen, by również Wołkowysk w gruzy obrócić.

Ściele się ten trakt z pagórka na pagórek, spadając od czasu do czasu w doliny rzeki Miżyryczy. Bielą się na prawo ściany dworku budowanego w 1799 r. przez Dąbrowskich, którzy „z dziedzińca na front filarów wymurowali cztery". Filarów już nie ma, ale dworek trzyma się jeszcze dobrze. Za następnym pagórkiem mała wioseczka Słowiki. Według dokumentów stara, bo „1654 r. dnia 23 Apryla, J.W Jan Kazimierz Chodkiewicz, kasztelan wileński, folwark nazwany Żamówką, odłączywszy od Wielkiej Brzostownicy J.P. Aleksandrowi Słowikowi za sumę 2700 zł. prawem zastawnym onerował". Ale położenie osady jest zbyt piękne, aby przodkowie tej miejscowości nie dostrzegli. Świadczy o tym chociażby ukryty w lesie kurhan, jak zwykle zwany „szwedzką mogiłą", dziś rozkopany i zaniedbany, może przez archeologów, a może przez poszukiwaczy skarbów. A na skraju wsi są ślady i cerkwiska. Nikt jej nie pamięta. Zapadła się zwyczajnie wraz z ludem i teraz należy tylko szukać pętelki, którą ująwszy, już bez trudu, cerkiew na świat boży wyciągnąć. A tak naprawdę, to tę cerkiewkę jeden z właścicieli Słowików, które sprzedał, budowlę rozebrał i wywiózł.

A za lasem otaczającym kurhan, z tartaku już niewidoczne, Tereszki, z pięknym, drewnianym, piętrowym, osiemnastowiecznym lamusem, który przetrwał wprawdzie drugą wojnę światową, ale nie oparł się sowchozowi.

Za Słowikami znów las, znowu pagórek i znów zjazd w zieloną dolinę Wiereciejki, która spiętrzona po lewej stronie szosy, rozlewa się szeroko, aż pod

Kuźmicze. Nad zalewem piętrzy się czworokąt bujnych drzew, kryjąc zaszpeconą tragiczną budowę.

O niej chcę opowiedzieć.

Jesteśmy w Werejkach. Wejerki, to dawna królewszczyzna ekonomii grodzieńskiej. W okresie, gdy te dobra były rozprzedawane, czy też rozdarowywane, Wejerki znalazły się w posiadaniu Bispingów. W drugiej połowie XVIII w. mieszkał w Werejkach Józef Bisping, stolnik starodubowski, wraz z małżonką, Teodorą z Suchodolskich. Dnia 24 lipca 1784 r. urodziła się im córka, Józefa, a później Aleksandra, fundatorka kościoła w Werejkach.

Te dwie siostry, Józefa i Aleksandra, wychowały się pod opieką matki, gdyż stolnik zmarł w 1786 r. a więc w tym samum roku, w którym przyszła na świat Aleksandra.

Zawsze rozsądna i wielce szanowana stolnikowa, umiała rządzić sama. Mimo młodego wieku, za mąż ponownie nie wyszła i tym gorliwiej zajęła się wychowywaniem córek. Lata 1786-1796 spędziła wraz z córkami, otoczona licznym dworem w Werejkach, gdzie wystawiła dworek, zachowany do dzisiaj, stanowiący przyjemny akcent wśród sowchozowych zabudowań.

Czasem, dla edukacji córek, stolnikowa wyjeżdżała do Wilna. Córki się edukowały, rosły, a stolnikowa namiętnie grała w karty.

Trafił się niejaki Toll Swietczyn, pułkownik - Rosjanin, ale z dobrej bojarskiej rodziny, błyszczący mundurem i dobrym wychowaniem. Podobno pułkownik ograł stolnikowa na 30 tysięcy rubli. To ułatwiło mu gruchanie do Bispinżanek. Stolnikowa, chcąc się pozbyć przykrego długu, poczęła przyjaźniej spoglądać na te konkury. I Aleksandra w 1806 r. wyszła za mąż za Swietczyna.

Pożycie tego małżeństwa było jednak harmonijne. Żona panowała nad mężem, który całkowicie jej ulegał, z wyjątkiem pasji wznoszenia murowanych budynków. On też wyrobił u cara pozwolenie, oczywiście za namową żony, na wystawienie w Werejkach kościoła, pod warunkiem jednakże, że wystawi jednocześnie prawosławnym cerkiew w Kuśmiczach.

Swietczyn zmarł w 1838 r. i został pochowany przy trakcie, 150 m od kościoła tam, gdzie się droga kuśmicka zbiega z szosą. Stoi tam do dzisiaj, chociaż nie jest widoczny z drogi, gdyż zasłaniają go drzewa sowchozowych ogródków, kamienny pomnik w kształcie ozdobnego krzyża z następującym napisem w języku polskim:

„Aleksandr Toll Swietczyn ze sławnej rodziny bojarów, radca stanu, kawaler stanu, kawaler wielu orderów. Kilkudziesięcioletnie życie pod trzema monarchami, pełne cnót domowych i obywatelskich, poświęcił Ojczyźnie. Zawsze prawy, szanowany przez swoich i obcych, żył w Bogu i z Bogiem. Urodzony 27 sierpnia 1774 r., zmarł 13 grudnia 1838 r."

Swietczynowa rozpoczęte dzieło dokończyła i w 1840 r., przy werejkowskim trakcie, na wzgórzu, w panoramie lasów, w „pięknym greckim stylu", stanął kościół. W tym samym roku dziekan grodzieński poświęcił go.

Nowy kościół - pisze w swoich wspomnieniach Jan Bisping - miał piękną, obiegającą w krąg galerię i dolną kaplicę grobową, gdzie w bocznych katakumbach składało się zwłoki Bispingów. Była tam pochowana Teodora z Suchodolskich Bispingowa, stolnikowa starodubowska, generałowa Aleksandra Swietczynowa, oraz Leontyna z Wołłowiczów Bispingowa (matka autora, którego cytuję) ..."

Pierwszym długoletnim proboszczem w Werejkach był ks. Kazimierz Kontryn, dominikanin rozumny, praktyczny, choć rubaszny, gorliwy sługa boży, prawdziwy HomoDei".

Kościół werejkowski był filią kościoła w Repli i niedługo cieszył się wolnością. Zawiniło powstanie styczniowe. Już 25 kwietnia 1866 r., naczelnik wojenny powiatu wołkowyskiego przesyła raport do gubernatora grodzieńskiego, że kościół katolicki, filialny w Werejkach został zamknięty 19 czerwca 1865 r., na skutek polecenia gubernatora grodzieńskiego. Naczelnik dodał, że kościół ten da się przerobić na cerkiew prawosławną. Tak też się stało. Skasowano frontowe kolumny, dobudowano wieżę. Nie pomogła interwencja ordynata Jana Bispinga. Rozmowa z wileńskim gubernatorem była krótka.

- A kiedy kościół zabrano?

- Przed kilku miesiącami.

- Ach, to za moich rządów. Wie pan, że co robię, to robię dobrze - tyłem obróciwszy się odszedł.

Odzyskanie kościoła w 1921 r. też nie było łatwe. Z jednej i drugiej strony chwytano się różnych argumentów. Szalę na stronę katolików przechylił ponoć Morawski, o którym wnuczka jego, pani Ciuńczykowa, zamieszkała w Kargowej, w jednym z listów pisała:

„Dziadek Morawski żył 104 lata, był wysokim, postawnym mężczyzną o bujnej siwo-srebrnej czuprynie. Jego wygląd zewnętrzny budził respekt i szacunek. Pracował u Bispingów jako stolarz Za jego solidną i uczciwą pracę pracodawca dał mu w nagrodę plac pod zabudowę i materiał na wzniesienie domu. Rodzina dziadka składała się z pięciorga dzieci - synów i trzech córek. Zmarł w 1922 r. i został pochowany w podziemiach kościoła w Werejkach. Spoczywała tam także matka fundatorki kościoła. Obecnie szczątki jego spoczywają na cmentarzu werejkowskim, dokąd zostały przeniesione po drugiej wojnie światowej. W cerkwi werejkowskiej znajdował się krzyż jego roboty, który po dorobieniu ukośnej poprzeczki, służył prawosławnym. Morawski miał sekretnie zamurować w jego ścianie monstrancje i tabernakulum, pozostawiając u siebie do niego kluczyki. W 1921 r. skrytkę pokazał i odmurował. Zachowany kluczyk pasował jak ulał. To też przyczyniło się do odzyskania kościoła".

I znowu żywot kościoła był krótki. Po śmierci ks. Bronisława Hryniewickiego w 1952 r. (na miarę stalinowskich czasów) budowla awansowała na magazyn, który obecnie zgnojony i zrujnowany ponownie przejęli katolicy.

W 1989 r. rozgorzała walka pomiędzy katolikami i prawosławnymi o własność świątyni.

Będąc w Werejkach w 1990 r., stwierdziłem, że to katolicy odbudowują kościół. Obniżono wieżę, odkuto zatynkowane frontowe postacie apostołów i pobielono na zewnątrz.

Nie prezentowało się to okazale. Nikt nie wiedział, jak wyglądał kościół przed zabraniem na cerkiew. Po powrocie do kraju, rozpocząłem poszukiwania w starych pamiątkach i na podstawie zapisów, jak też zachowanych fragmentów pierwotnego kościoła, opracowałem rysunek rekonstrukcyjny i przesłałem go parafianom.

Chwyciło!

Wołpa

Wołpa to miasteczko wchodzące w skład przedwojennego województwa białostockiego. Obecnie leży w obwodzie grodzieńskim, na Białorusi. W przeszłości wiele wydarzeń rozsławiało tę miejscowość. W drugiej połowie XVI w. przebywał tutaj, gdyż miał w Wołpie probostwo, Mikołaj Dycjusz, doktor teologii, sławny kaznodzieja, prałat, dziekan kapituły wileńskiej. W końcu XVII w. proboszczował tutaj ks. Mateusz Kuligowski, wierszopis i tłumacz, którego najciekawszym dziełem jest *Demokryt śmieszny...,* dziwna mieszanina rozważań nad marnością tego świata i anegdot wraz ze zbiorem wierszy na herby. Szczególne szczęście Wołpa miała do biskupów. Biskup wileński Paweł

Holszański, ostatni z tego rodu był właścicielem Wołpy (zm. 1555 r.). W czasie *potopu* przebywała w Wołpie kapituła wileńska ze swoim biskupem Jerzym Dowgiałłą, „który tutaj w 1657 r. ks. Aleksandra Kotowicza, przyszłego biskupa, na prałata wyniósł". Proboszczami byli również tutaj przyszli biskupi, jak ks. Józef Kazimierz Kossakowski, targowiczanin, swego czasu powieszony. Po nim probostwo tutejsze objął inny późniejszy biskup, ks. Jan Niepomucen Kossakowski.

Nie ominęła Wołpę jedna z bolesnych tragedii narodowych, gdy skonferedowane wojska litewskie, nie opłacane przez skarb, siedzące po królewszczyznach, czyniły gwałt i rabunek, dopominając się zapłaty. Podejrzewali magnatów o knowanie przeciwko nim i postanowili zemścić się na hetmanie polnym litewskim, Gosiewskim, który jakoby miał się na ich szkodę znosić z innymi. Wyrok zapadł w tutejszym kościele, a zbrojna delegacja wyjechała do Wilna, gdzie Gosiewskiego porwawszy, zanim do Wołpy dowlekła, gdzieś w okolicach Ostryny zamordowała.

Nawet Orzeszkowa znalazła w Wołpie wdzięczny temat do swojej nowelki pod tytułem *Gedali.* Opisała w niej biednego wołpiańskiego Żyda, a ten później pieszo o sześć mil przyszedł do niej osobiście aby jej podziękować. - „Wprzódy - mówił - nikt na Gedalego i patrzeć nie chciał, a jak pani jego opisała, to po niego pojazdowe konie przysyłają i portrety jego robią. A kiedy ja takimi końmi i taką bryczka przez Wołpę jechał, to wszyscy stawali i tylko patrzali, co to takiego z Gedalem się dzieje".

Do drugiej wojny światowej Wołpa szczyciła się dwoma drewnianymi zabytkami architektonicznymi - bóżnicą i kościołem. Osiemnastowieczna, jedna z najwspanialszych, bóżnica nie przetrwała ostatniej wojny i została spalona. Pozostał kościół, któremu chcę nieco miejsca poświęcić.

Zanim Olechno Sudymontowicz, późniejszy wojewoda wileński, wystawił kościół w Wołpie i „ad perpetuam rei memoriam" należycie go uposażył, Wołpę otrzymał od Kazimierza Jagiellończyka jako darzą wierną i długotrwałą służbę.

27 kwietnia 1478 r., wraz z żoną swą Jadwigą, wystawiony wcześniej przez siebie kościół w Wołpie a konsekrowany przez biskupa wileńskiego Jana Łosowicza w asyście dwóch kanoników, Wawrzyńca i Jana, uposaża, „nadając ludzi roboczych z synami, czynszowników z synami, ściśle określając dań miodową od nich należną, dziesięcinę wszelaką, krom ogrodowizny z dworu wołpiańskiego i starodworzeckiego, rolę kościelną, zwaną Mirowszczyzną wraz z borem, dąbrową i barciami, dwie łąki z oznaczeniem ich położenia, po dwoje służebnych obojga płci. Nakłada jednak na plebana obowiązek odprawiania dwóch mszy na tydzień, jedną za przodków a drugą za fundatora oraz za żonę i dzieci. Zleca też proboszczowi utrzymywać do pomocy stałego wikariusza".

Córka Olechny Sudymontowicza, Zofia, wyszła za mąż za Aleksandra Jurijewicza księcia Holsztyńskiego i jemu w posagu wniosła Wołpę.

Druga żona, wspomniana wyżej Zofia, wydała na świat pięcioro dzieci, z których najstarszy Paweł, późniejszy biskup wileński, ostatni z rodu Holszńskich, dziedziczył Wołpę. Powiększył on uposażenie parafii wołpiańskiej i należała ona do parafii bogatych (50 dymów). Nic więc dziwnego, że wielu o te parafię się dobijało. W1526 r. tenże biskup założył przy kościele altarię św. Anny i „mansionarię" na 4 księży, nadając plan na ich domy, 23 grosze „kapszczyzny" z Wołpy, dwa

folwarki, podatek miodowy z Gudziewicz, wstęp do lasu i młyna. Paweł Holszański zmarł w 1555 r. a Wołpę zapisał królowi Zygmuntowi Augustowi. Nie był to zapis dobrowolny, gdyż z litery prawa litewskiego, jako włość dawna książęca nadana Sudymontowiczowi, po wygaśnięciu spadkobierców wracała prawem kaduka znowu do dóbr królewskich.

Zapobiegliwa królowa Bona, gromadząca chętnie majątki, szczególnie w pobliżu brzegów Niemna, ze względu na dobrą komunikację wodną, majątek ten przejęła i po dołączeniu doń Dubna i Starego Dworca stworzyła starostwo niegrodowe. Było najbogatszym starostwem w powiecie wołkowyskim województwa nowogrodzkiego i liczyło więcej „dymów" niż pozostałe cztery starostwa razem wzięte, a mianowicie mścibowskie, wołkowyskie, jałowskie i żylickie. Dobijano się więc też o dzierżawę starostwa. Co nie zawsze przychodziło łatwo. Miał i Lew Sapieha na nie apetyt, ale „u nas pan Wolski, miecznik koronny, starosta krzepicki, Wołpę i Dubno u króla uprosił, acz się opiram jako kot na lodzie, aby tam panom Polakom nie tak często dawano, ale też jako oni w Polszczę nam dają, ale nasi starsi sami nie chcą strzec tego prawa".

W 1624 r., tenże Lew Sapieha nabył dla małoletniego syna swego dzierżawy dubieńską i wołpiańską za sumę 2000 kóp groszy. Synem tym był Kazimierz Leon Sapieha i on to był prawdopodobnie fundatorem zabytkowego ołtarza w kościele wołpiańskim.

Inny Sapieha, Paweł, znany nam z sienkiewiczowskiego *Potopu,* dużo pieniędzy własnych wyłożył na obronę Rzeczypospolitej. Należało go wynagrodzić, ale Państwo pieniędzy nie miało, więc oddano mu w dzierżawę starostwo wołpiańskie, do czasu aż uzyska z niego 100 tys. zł zysku. W praktyce starostwo wołpiańskie pozostało w rękach Sapiehów czas dłuższy.

Właśnie z czasów Sapiehów w drewnianym XVIII-wiecznym kościele św. Jana, który istnieje do dzisiaj i należy do największych w Polsce kościołów drewnianych, zachował się przepiękny, jeszcze starszy od obecnego kościoła, ołtarz. Kto i kiedy go fundował może nam dopomóc piękny kartusz z herbami, jaki się zachował w dolnej części ołtarza między cokołami kolumn. Herb w centralnej części kartusza to herb Sapiehów - „Lis". Pozostaje jednak do wyjaśnienia, do którego z Sapiehów należy. Wnioskujemy to z czterech pozostałych herbów rozłożonych wianuszkiem wokół herbu „Lis", że fundatorem ołtarza był syn Lwa Sapiehy, Kazimierz Leon. W 1643 r. gościł on w Wołpie króla Władysława IV, który wraz z małżonką Cecylią Renatą podążał do Wilna.

Zgodnie z heraldyką w prawym górnym rogu kartusza umieszczono herb matki ojczystej, a była nią Halszka Radziwiłłówna, w dolnym lewym rogu to herb babki macierzystej „Ostoja" a była nią Bohdana Drucka-Sokolińska, w dolnym prawym rogu herb prababki ojczystej „Topór", a była nią Elżbieta Tęczyńska.

Z tych przesłanek należy wnioskować, że ołtarz wołpiański powstał w pierwszej połowie XVIII w. Ołtarz, utrzymany w czarnej tonacji z licznymi złoconymi detalami, upiększają cztery o korynckich głowicach kolumny, których trzony zdobią złocone spirale winorośli. Centrum ołtarza zajmuje obraz ukrzyżowania a po bokach figury rzeźbione w drzewie św. Jana (patron kościoła) i św. Kazimierza (patron fundatora). Wieńczący ołtarz tympanon, obramowany jest dwoma półleżącymi postaciami aniołów. Wnętrze tympanonu ozdabia

płaskorzeźba stwórcy siedzącego na obłoku. Nad tympanonem między dwoma małymi kolumienkami, znajduje się obraz. Posiada owalny kształt w bogatym obramowaniu. Każda wolna przestrzeń ołtarza, która nie jest zajęta przez obrazy, kolumny czy figury, jest przykryta złoconymi arabeskami i innymi dekoracyjnymi detalami. W kościele wołpiańskim istnieją jeszcze dwa boczne ołtarze, kompozycja i dekoracja przypominają ołtarz główny, ale o wiele są skromniejsze i prawdopodobnie są późniejszego pochodzenia. Podobnie przedstawia się rzecz z ołtarzem w centralnej kaplicy pochodzącej z 1873 r. fundacji Bolesława Kretowicza. Posiada ona ołtarz bardzo podobny do ołtarzy bocznych w kościele.

Wołpiańskie kościoły, jako drewniane szybko popadały w ruinę. Siedemnastowieczny kościół penetrował jeszcze znany heraldyk Wojciech Kojałowicz, który też zanotował - „Jan Mikołaj Kniaziewicz leży w wołpiańskim kościele, gdzie nad grobem jego ten klejnot zawieszony".

W 1753 r. wzniesiono kościół nowy i do niego przeniesiono zabytkowy ołtarz, ale już w 1761 r. ks. Józef Kossakowski późniejszy biskup, który w 1761 r. otrzymał w Wilnie święcenia kapłańskie i poparty przez króla otrzymał probostwo wołpiańskie, zanotował: - „Drugie, równie pierwszemu zdziwieniu było, gdym znalazł wszystko opuszczone, kościół rujnujący się i ostatnio we wszystkim zaniedbany, bo to fundum duchowne arendami było wypuszczone. Ksiądz Massalski dziesięć lat je trzymając, dwa razy tylko przejazdem tu postał". Na dalszych stronach jego pamiętnika czytamy: „W 1771 r, widząc kościół w Wołpie rujnujący się, który upadkiem groził, gdy nie mogłem nakłonić księcia Jabłonowskiego, wojewodę nowogródzkiego i starostę wołpiańskiego, aby przyłączył się murowania za zaległości od niego należące się ze starostawa, musiałem wystawić nowy i z tymże Jabłonowskim rozpocząć proceder w trybunale duchowym, kończąc w sądzie aż do otrzymania konwikcji po wyszłych delicjach inkwizycji i weryfikacji, obejmujący dziedziczny folwark Jabłonowskiego za tradycją w posesję moją w przy zysku 70 tys. zł polskich z okładem". Pod datą 1776 dodaje: - „Obróciłem trakt na Wołpę i tam kościół przeze mnie postawiony, konsekrowałem śpiesząc do Wilna". I ten właśnie kościół przetrwał do dni dzisiejszych, czym się nie może poszczycić tutejsza malownicza bożnica.

W świetle tychże pamiętników ks. Kossakowski gospodarzem okazał się dobrym. „Zasiadłem w Wołpie - wspomina -mając za sobą ks. Masztarowskiego - misjonarza i ks. Kaczkowskiego - jezuitę, jako poufałych przyjaciół i profesorów przy kilku komentarzach. Sprowadziłem z Łyskowa misję, przez którą lud zaczął gromadzić się do kościoła. Sam często miewałem kazania, słuchałem spowiedzi i do chorych jeździłem... Żyłem w przyjaźni z sąsiedztwem, zniosłem i nie przyjmowałem żadnych opłat od ślubów i pogrzebów..." „Sporządziłem sobie przystojne mieszkanie i stół uczciwy, bez wszelkich wymysłów utrzymywałem tak, że zaproszeni do mnie sąsiedzi nie mieli oprzyczyny utyskiwać i ja w domu ich bez wystawy byłem przyjmowany. Czasu zbywało mnie i na zarządzanie gospodarką i na rozrywkę i na czytanie różnych książek, nie pospolitowałem się, anim filadelfii nie zaciągał z innymi proboszczami, lecz bynajmniej od nich nie stroniłem. W niedostatku miałem kredyt łatwy i punktualnie go spłacałem. Od

gry całkiem się odzwyczaiłem, kart nawet w domu nie było. Cały i jedyny smutek miałem ze śmierci mojego proboszcza X. Skarżyńskiego, człowieka młodego o wielkich przymiotach, jako i świętobliwości. Umarł z suchot".

Uważa też lata tutaj spędzone za najszczęśliwsze w jego życiu. Gospodarował tutaj 12 lat. „Kościół nowy, do 30 rys. złotych kosztujący, wspomina dalej, swoim kosztem wystawiłem i mieszkania dla księży i gospodarcze opatrzyłem".

Przeszłość polityczna ks. Kossakowskiego jest dobrze znana. Trzeba jednak przyznać, że był człowiekiem zdolnym, zajmował się pisarstwem i dobrze gospodarował.

Jak wyżej wspomniałem probostwo wołpiańskie było bogate i wielu księży się o nie dobijało. U schyłku Rzeczypospolitej dobra plebańskie przejął Uniwersytet Wileński. W 1799 r. przyniosły one Uniwersytetowi rocznie 6697 zł i 20 gr dochodu i obejmowały 288 poddanych w tym 26 ciągłych i 89 czynszowych.

Ten zabytkowy kościół, liczący przeszło 200 lat, jest zbudowany na planie prostokąta z dwiema wieżami o podstawie kwadratowej przylegającymi do głównej fasady oraz z dwoma pięciościanowymi transeptami kryjącymi kaplicę. Są jeszcze malutkie wieżyczki nad trójkątnym frontonem oraz nad ołtarzową częścią. Kościół szalowany deskami w horyzontalnym ułożeniu. Przed wejściem do kościoła stoją 2 rzeźby aniołów na wysokich postumentach o łącznej wysokości 2,5 m. We wnętrzu kościoła sufit jest płaski, pomalowany na niebiesko z rozetami, ściany również malowane i imitują cegłę. Oprócz wejścia głównego jest też wejście w ścianie ołtarzowej, gdzie też mieszczą się dwie zakrystie o dwóch oknach każda.

Wokół kościoła zachowało się parę nagrobków, z których najciekawszy jest nagrobek-kapliczka rodziny Hładkowskich. Stoi tuż przy bramie wejściowej, bielony, masywny, o kwadratowej podstawie i czerwonym z dachówki, czterospadowym daszku i z oryginalnym starodawnym napisem.

Źródła:

- Archiwum parafialne w Wołpie. Księgi wizyt biskupich, Józef Baliński, Uniwersytet Wileński, Kraków 1899.
- Józef Korwin Kossakowski, Pamiętniki, Kraków 1892.
- W.W. Czereszczatowa, Wołpienskij ałtar, w: Pamiatniki istorii i kultury Biełarussii, 1977, nr 1.

Zelwa

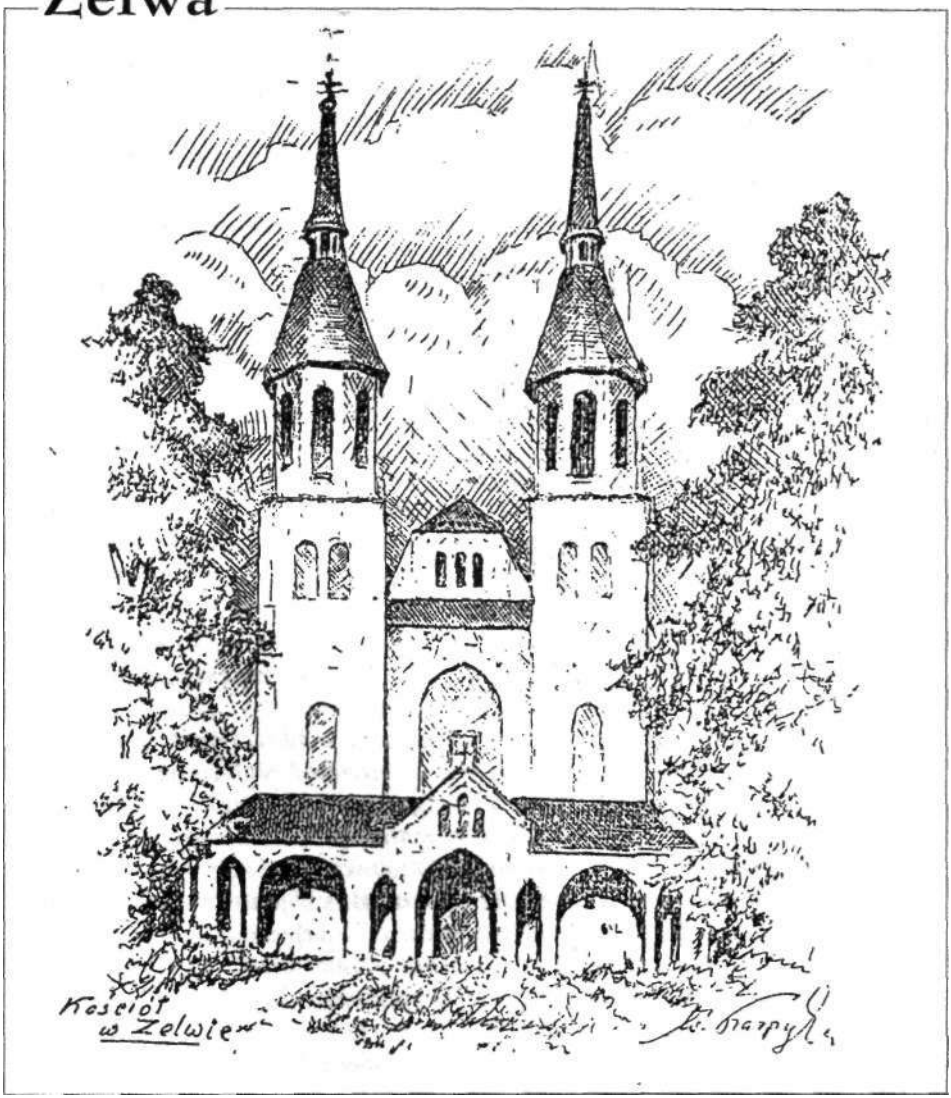

Zelwa, obecnie miasto rejonowe, w okresie międzywojennym wchodzące w skład powiatu wołkowyskiego, położone na wysokim, lewym brzegu rzeki Zelwianki, przytyka swymi południowymi krańcami rozległego zalewu, zbudowanego na rzece Zelwiance w okresie już powojennym. Zelwianka jak wszystkie średnie rzeki, bywa czasem kapryśna i niebezpieczna. Mówią, że zaklęta. Raz się utopił chłopiec a zrozpaczona matka zaklęła, by co roku i innym matkom dwoje dzieci zabierała i tak już pozostało.

Kronikarze piszą, że wojska Daniela, księcia halickiego szukając przeciwnika, plądrowały w 1280 r. nad rzeką Zelwą, lecz o osadzie tego imienia

nie wspominają.

Na widowni dziejowej miejscowość tą wspomina się w XVI w. Podobno w 1443 r. Kazimierz Jagiellończyk polecił w Zelwie zbudować cerkiew, ale źródła białoruscy pisarze nie podają. *Encyklopedia - archeologia i numizmatyka Białorusi* przypuszcza się, że zaczątkiem Zelwy była góra w tej miejscowości, która wznosi się nad okolicą na 20-25 metrów, ze śladami przypominającymi dawne grodzisko, ze szczątkami wałów, na której później zbudowano kościół, którego fundamenty są znaczne do dzisiaj.

Pewien zamęt w śledzeniu dziejów miasta sprawia fakt, że istniały równocześnie dwie Zelwy: Wielka i Mała, które w dokumentach nazywano krótko - Zelwą. Może chodziło tu tylko o jej dwie części, którymi władali jednocześnie różni właściciele.

Pierwsza, pewna data wiąże się z Michałem Naczowiczem, fundatorem w 1470 r. kościoła w Zelwie. Wdowa po nim wiodła długi spór graniczny z Kopaczową z Dereczyna. Niewiasty tym procesem wywołały tyle wrzawy, że sprawa musiała się oprzeć o króla i Kazimierz Jagiellończyk wydelegował Ilinicza, starostę drohiczyńskiego, dla rozgraniczenia. Sprawa zakończyła się w 1478 r.

Mikołaj Iwanowicz Ilinicz poślubił Annę, wdowę po Michale Naczowiczu i Zelwa przeszła do Iliniczów. W 1501 r. Hanna Mikołajewowa Iliniczowa dostaje od króla Aleksandra Jagiellończyka przywilej na jarmark w Zelwie a w 1508 r. uposaża altarię zelwiańską. Jeszcze w 1522 r. Jerzy Iwanowicz Ilinicz miał dwie części Zelwy, a po jego śmierci jeden z jego synów, Szczęsny, dostał Zelwę i Puszczę Zelwiańską.

O Zelwie Małej mamy wiadomość pod 1477 r., kiedy to Iwaszko Ginejtowicz fundował tutaj kościół. Po jego śmierci król Aleksander nadał ją „na wieczność" Stanisławowi Janowiczowi Kiżgajle w 1503 r. i w ich posiadaniu znajdowała się do 1532 r., to jest do śmierci Stanisława Stanisławowicza Kiżgajły, który Zelwę darował królowi. W rok później królowa Bona, w imieniu Zygmunta Augusta, dobra te przejęła i oddała w zarząd swojemu wypróbowanemu współpracownikowi, Iwanowi Hornostajowi, podskarbiemu ziemskiemu. Ten nie dopuszczał panów do szafowania dobrem publicznym i życia lekkiego nie miał i w jednym liście pisał: „A jeśli panie hospodynie, chciał mnie bić i za brodę brać. Wasza Miłość raczcie mnie bronić".

Później Zelwa znalazła się w rękach Sapiehów, z małym okresem przynależności do Połubińskich i była przeważnie w rękach dzierżawców. Dopiero Antoni Kazimierz Sapieha zajął się szczerze miasteczkiem. W 1720 r. otrzymuje przywilej na jarmarki i targi. Umierając a będąc bezdzietnym, ofiarował Zelwę swojemu krewnemu, Aleksandrowi Sapieże i ten był właściwym twórcą słynnych zelwiańskich targów. Piszą o nich szeroko dawne encyklopedie, Baliński w *Starożytnej Polsce* i inni. Ja swoje notatki w znacznej części oparłem na pracy Józefa Jadkowskiego *O dawnych jarmarkach w Zelwie i Grodnie.*

Oprócz tygodniowych jarmarków Zelwa organizowała też każdego roku czterotygodniowe targi, które zaczynały się 4 sierpnia i trwały do 4 września i co do swojej wielkości i znaczenia, szły bezpośrednio po lipskich. Początkowo były to targi końskie, a sam Sapieha ze swoich stadnin wystawiał na sprzedaż około

1000 koni. Z czasem targi rozszerzyły asortyment towarów. Mimo niedogodnej komunikacji kupcy zjeżdżali się z dalekich stron, a wiec nie tylko z Litwy i Korony, ale nawet z Moskwy, Kazania, Bessarabii, Kamieńca Podolskiego i innych stron. Targi odbywały się w „sukiennicach", których było około 200 a zbudowane były na kształt świsłockich, czy różańskich, a te ostatnie dochowały się do czasów naszych. Część dochodów z targów przeznaczali Sapiehowie na utrzymanie różnych instytucji i klasztorów. Wydatki na utrzymanie targów były minimalne. Szły one przeważnie na utrzymanie ochrony wojskowej, dozorców przy sklepach, światło, zakłady gospodarcze i teatr.

Operacji handlowych dokonywano na „Psiej Górze", gdzie w „Mysiej Norze" sprzedawano wina i napoje, czyli w obszernej sali drewnianego domu, znajdującego się na uboczu. Tam odbywały się huczne zabawy do samego rana. Tańczono w czapkach i konfederatkach.

Był i teatr. Przedstawienia odbywały się trzy razy tygodniowo. W programie figurowały przeważnie tańce i *Zabawy indyjskie*. Ale były i inne atrakcje. Dowcipny Melchior Wańkowicz, pisząc w okresie międzywojennym reportaże o kresach, zanotował anegdotę: „W 1830 r. zjechała do Ze lwy *Ponoptikom Spektaculum*. Pani marszałkowa Sieheniowa i podkomorzyna Bychowcowa jednym dworem stały. Urządziły więc familijną naradę, czy można te cuda pokazać dorastającym córkom, jako że był tam obraz prawie nagiej Kleopatry. Dagobert Czapliński podjął się tam przeprowadzić wywiad i wydać w tej sprawie sąd. Ponieważ spotkał tam posągi żywo przypominające nagusów, odradził. Ale mocno zaciekawione uporem Czaplińskiego panie, postanowiły tam się udać. Ten oczywiście, a był to znany kawalarz, uprzedziwszy zwiedzających, rozebrał się do naga i stanął w charakterze eksponatu. Panie były oczarowane. Sieheniowa i Bychowcowa po dokładnym zlornetkowaniu, zauważyły, że nawet owłosienie było przez artystę oddane nadzwyczajnie".

Tłum jarmarczny był różnorodny. Ktoś wyliczył, że na jednym z tych jarmarków na 100 chrześcijan przypadało 146 Żydów, po 2 Cyganów i Tatarów. Na jeden zaś zelwiański jarmark zjechał niespodziewanie sam król cygański. J. Ficowski, powołując się na T Narbutta, opisał to następująco:

„U nas w Litwie król cygański, Marcinkowski, według powieści starych Cyganów, okazywał wytworność przepychu w całej okazałości. Nosił się po staropolsku, głowy nie golił, wąs miał rzęsisty, kontusz krótki, pas bogaty, szarawary pąsowe, bizun zamiast szabli u pasa, laska z buzdyganem w ręku, kołpak barankowy na głowie. Kiedy w dawnym czasie przybywali na jarmark do Zelwy królowie cygańscy z końmi swoimi, wystrojonymi i wymalowanymi - wystawiali gatunek wjazdu triumfalnego, przez co powszechności całej ściągali ciekawość: śpiewy, okrzyki cyganów z daleka zapowiadały jarmarkującym ich przybycie. Słowem: nic nie zapomniano co by mogło zachęcić do nabycia koni przez zaciekawione oka. Przodem jechało śpiewaków do dziesięciu, których pałkier bijący w dwa małe kociołki, poprzedzał. Za nimi w małej odległości sam król na dzielnym koniu, w rząd suty ubranym, postać jego olbrzymowata, strój dziwacznie polski, bogaty kołpak z kutasem złotym na wierzchu zielonym, aksamitnym, który otaczało siedem złocistych promieni na wzór kiteczek spod barana wyglądających. Za nimi siedem Cyganów młodych w różnobarwnym

stroju na różno farbowanych strojach. Dalej prowadzono konie luźno po trzy w rząd, licząc w to konia, na którym prowadzący jechał, jeden pod lekkim przykryciem, inne bez żadnego, inne zupełnie zakapione i tych liczba czasami sto przechodziła. Za tymi jechała sama królowa na starożytnym rydwanie pąsowo wymalowanym, ciągnionym ośmioma bachmatami. Ubiór jej był bogaty w perły, diamenty, złoto, srebro na zausznikach szyi, głowie, palcach jaśniały. Ona sama i otaczające ją niewiasty były przybrane w aksamit, jedwabne materie, krepy, gazy, muśliny, kartuny, płócienka w guście prawdziwie maskaradowym. Pierwszy szambelan królowej miał zaszczyt być jej woźnicą. Przy rydwanie, z obu stron jechały dwie młode Cyganki prawdziwej urody, na małych tarantach, w czapeczkach krymskich bez płacht na ramionach. Za pojazdem królowej szedł wóz czterokonny z kuchnią i kucharzami, łachmany najrozmaitrze, którymi okryci byli i to wszystko, co kuchnię składało, wystawiało widok tak niemiły, że najgłodniejszy nań patrząc, pozbył by się apetytu".

Jarmarki chyliły się ku upadkowi. Nieurodzaje i wojny a później powstanie w 1863 r., jak też zbudowanie kolei warszawsko-petersburskiej a wreszcie usiłowanie rządu przeniesienia jarmarków z Zelwy do Grodna , przyczyniło się do ich całkowitego upadku.

Tuż przed powstaniem styczniowym spłonęły murowane, budowane w czworobok, kramy. W 1857 r. gubernator grodzieński Szpejer wystąpił z wnioskiem do władz centralnych o przeniesienie tych jarmarków z Zelwy do Grodna. Sprawa się wlekła. Koniec sprawie położyło powstanie styczniowe. Jarmarki zelwiańskie upadły a podobnych w Grodnie nie zorganizowano, a raczej nie osiągnęły one poziomu zelwiańskich.

Wróćmy jednak do spraw kościelnych. Jak już wspomniałem pierwszy kościół w Zelwie fundował Michał Naczowicz w 1470 r., uposażając go „dziesięcinami wszelkiego zboża z dworu swego w Szydłowicach oraz siedmiu ludzi z Małaszkowicz" z obowiązkiem odprawiania dwóch mszy za zmarłych co tydzień. Kościół był zbudowany na piaszczystej górce, nad stawem.

W 1508 r. wdowa po Naczewiczu, Anna Iliniczowa, uposażyła altanę zelwiańską, nadając 5 poddanych z Borodzicz, 6 stert siana, wstęp do lasu, „uszatek" miodu, „kamień" wosku, dwie kopy groszy dla altarzysty na kościół zaś 13 poddanych ze Studzieńca, dziesięciny zbożowe z Zelwy, Wielkiej Krzemienicy, Szydłowicz i Świsłoczy, karczmę w Zelwie. Na szkołę zaś i uczniów zapisała 8 beczek żytniej mąki, beczkę grochu i dwa wieprze a na szpital dwie beczki żytniej mąki i 14 beczek grochu.

Czy długo istniał ten kościół trudno określić. Wizyta biskupa Mikołaja Słupskiego, który parafię zelwiańską odwiedził tuż po wydarzeniach wojennych zwanych „potopem" widział tu jeszcze „kościół drewniany, starodawny". Kościół ten z czasem się wysłużył i w 1773 r. ksiądz Konstanty Jaskold, na tym samym miejscu, gdzie stał stary, wybudował nowy. Ksiądz Jaskold był proboszczem zelwiańskim oraz kanonikiem katedry wileńskiej. Kościół był drewniany, a jego rozmiary wynosiły: długość - 30 m, szerokość - 30 m i wysokość - 1 i m . Posiadał cztery ołtarze. W wielkim ołtarzu był obraz rzeźbiony św. Trójcy, zaś obrazy w ołtarzach bocznych przedstawiały: Chrystusa na krzyżu, Matkę Boską Częstochowską i św. Antoniego. Budowla dotrwała do powstania

styczniowego.

W 1860 r. rozebrano stary kościółek a obok niego postawiono tymczasowo z plecionki i w tymże roku ksiądz Kotzigh rozpoczął budowę nowego. Do 1863 r. zdołano wznieść mury „po okna". Po powstaniu zakazano dalszej budowy. Do kasacji kościoła, może owego z plecionki zwrócił się do władz gubernator grodzieński, pisząc: „Kościół w Zelwie jest już bardzo stary a przy tym bardzo szkodliwy dla prawosławia. Proszę pozwolić go zamknąć". 5 kwietnia 1866 r. kościół zamknięto i zabrano na cerkiew prawosławną.

Zaburzenia rozpoczęły się, gdy prawosławni zaczęli zwozić kamienie na cerkiew, która miała być zbudowana z rozpoczętej budowy kościoła, którego mury były wzniesione „po okna". Tłum katolików zastąpił furmankom drogę. Interweniowała policja carska. Był to feralny dzień 2 stycznia 1907 r. Doszło do salwy karabinowej. Rozkaz otwarcia ognia wydał „policejskij nadzieratiel", Komorowicz. Poległo 7 osób:

1. Emilia Malinowska, lat 38, osierociła męża Wincentego i dzieci: Waleriana lat 12, Piotra lat 9, Walerię lat 6. Pogrzebana w Zelwie przez księdza Ludwika Kluka i innych księży.
2. Wincenty, syn Józefa Kananowicza, lat 30, pozostawił żonę Julię z Pietraszówi córkę Stanisławę.
3. Józef, syn Józefa Nowysza, lat 52, pozostawił żonę Józefę z Zarychtów i synów: Stanisława łat 20, Izydora lat 10, Gabriela lat 8, Kazimierza lat 2.
4. Michał, syn Wincentego, Malinowski, przeszyty kulą i dobity sztyletem lat 20.
5. Antonina Archimowiczowa, wdowa lat 45, pozostawiła syna Jana lat 23.
6. Antoni, syn Franciszka Janulewicza, lat 30, kawaler.
7. Michał, syn Kazimierza Czerniewicza lat 60, pozostawił żonę Katarzynę z domu Sosnowską i dzieci: Jana, Stefana, Józefę, Emilię i Antoninę.

Dane pochodzą z *Tygodnika Wołkowyskiego* nr 3/1928.

Według książki P. Kubickiego *Bojownicy kapłani,* w czasie sprzeciwiania się policji, ranni zostali: Józef Kanonowicz, Henryk Dobjakowicz, Józef Woronowicz, Antoni Soroczyński z przestrzeloną stroną pleców, Józef Hryszkiewicz toż samo, Piotr Kuprasz z raną w prawej dłoni i prawym biodrze, Piotr Woronicz, Józef syn Jana Kuprasz z oparzeliną na piersiowej klatce i Katarzyna Pławska z oparzoną skórą na brzuchu. Ubrania mieli postrzelone: Izabela Pietrasz, Jan Tukalski, Piotr Malinowski, Józef Daniuk, Józef, syn Andrzeja Woronowicz, Piotr Jakuszewicz, Ignacy Woronowicz i Adam Jakimowicz. 20 mężczyzn i 2 kobiety pociągnięto do odpowiedzialności sądowej. Podsądni siedzieli w więzieniu wołkowyskim. Bronili ich adwokaci: Bolesław Olszanowski z Petersburga, Kazimierz Mitkowski, Kazimierz Giedrojć i Jan Aleksandrowicz. Niektórych zasądzono na jeden miesiąc aresztu innych uniewinniono.

O zajściach tych pisała, współcześnie wychodząca w języku białoruskim *Nasza Niwa*.

„Naczała adna baba prabirać prystawa, dyj lahla prabitaja szablaju. Naród pokazywaje na nijakoho Kamarewicza, kandydata u prystawy, katory nadta u swajom majsterstwie sprawny. Jon kidausia na ludzkiej puszczajuczy w ruch swaju szablu i acierau pot z czoła. Szabla z krouju tak i bliszczały u powietry. Adzin saudat, szto wiarnuusia z wajny, siedzieu u hety czas u chaci. Nie znajszou

jon śmierci ad wajny, tak tut zhinuu ad kuli. U jeho chatu paczali strala'ć. Do hetaj pary Biełarusy, prawasławnuje i katoliki żyli u zhodzie i adzin na druhoho jak zwiery nie ahladalisia... Dyj i lahło narodu sześć czaławiek. Ranienych było boisz pietnaccaci".

(Nasza Niwa m 15,1907 r.)

Parafianie, korzystając z porewolucyjnej odwilży w 1905 r., zbudowali nową, wspaniałą świątynię gotycką, według planu Józefa Dziekońskiego, znanego architekta z Warszawy w 1914 r. Poświęcenia dokonał proboszcz wołkowyski a piękne przemówienie wygłosił ks. Stanisław Maciejewicz poseł wileński. Po letargu w czasach sowieckich kościół znowu ożył. Dnia 9 grudnia 1989 r., po gruntownym odnowieniu kościoła przez parafian, dokonano jego poświęcenia i udostępniono do kultu.

Istniały jeszcze w Zelwie i inne kościoły katolickie, które z braku tu miejsca pominę.

O dawnych cerkwiach w Zelwie mamy skąpe wzmianki. Jedną z nich o cerkwi unickiej przytaczamy w całości: ,,15.v.l797 roku ks. Jan Jankowski dopomina się o probostwo w Zelwie po księdzu Kazimierzu Dawidowiczu, dziekanie wołkowyskim, rządcy cerkwi zelwiańskiej. Cerkiew pod wezwaniem św. Trójcy w dobrach dziedzicznych książęcia Franciszka Sapiehy, uposażona 6 włókami w 1654 r. a po zawekowaniu niegdyś cerkwi w Bereżkach a potem, po przeniesieniu tejże cerkwi z Bereżek do Zelwy, na miejsce pogorzałej zelwiańskiej i przekazanej przez Sapiehę ks. Kazimierzowi Dawidowiczowi. 14 VII 1665 r. Aleksander Pałubiński pisarz polny Wielkiego Księstwa Litewskiego a 11.12.1681 r. Zofia Pałubińska marszałkowa wielka Wielkiego Księstwa Litewskiego poświadcza po dwie włóki ziemi w każdej zmianie z sianożęciami, gdzie folwarków dwóch zabudowanych. Część placu funduszowego za zgodą ks. Kazimierza Dawidowicza, parocha, w roku 1784 przez Żyda Jankiela Morduchowicza na pobudowanie zajęta i asekuracja przez Mejera Irszowicza temuż Dawidowiczowi dana, za co wosku do cerkwi każdego roku funtów 5 na wieczność i łoju po pół kamienia, co nie dochodzi. Dach w cerkwi reparacji potrzebuje. Jankowski przedtem był pomocnikiem parocha w Zelwie".

(Archieograficzeskij Zbornik Dokumentów,t. 13, s. 134).

W 1808 r. jest wzmianka o istnieniu tutaj cerkwi unickiej kollacji Sapiehów, grupującej 3584 parafian. Obecna cerkiew, murowana mieści się w dawnym kościele fundacji Ogińskich z roku 1635, odbudowanym w 1796 r. w murze, prawdopodobnie kościele franciszkańskim.

W przeszłości pod Zelwą miały miejsce dwie większe bitwy. Jedna z nich w 1792 r., po wojnie polskor-osyjskiej w obronie Konstytucji 3 maja, w której odznaczył się Józef Sułkowski, przyszły adiutant Napoleona. O bitwie tej sam Sułkowski pisze, co następuje:

„Z tej strony rzeki znajduje się miasteczko w połowie drewniane a w połowie murowane, w środku którego jest wzmocnienie górujące nad całą okolicą... z powodu bliskości majątków Potockich, cała okolica była usiana szpiegami... Major Wedelstedt widząc, że co chwila z lasku wychodzą oddziały kozackie, przechodzi brodem rzekę ze sto towarzystwa, którem napada na kozaków.

Utarczka była zacięta. Kozacy , dzielnie napierani przez naszych, wnet ustąpili z pola walki i poniósłszy straty cofnęli się do lasu, dokąd nasi nie mogli ścigać, gdyż w lasku ukryta była piechota rosyjska. Zaledwie odwrót ukończono nadbiegał pewien wieśniak z wiadomością, że znaczny oddział rosyjski ukrywa się za borem, gotując się do natarcia... Na ulicach miasta Rosjanie zostali odparci a nasi utrzymali brody".

Nieprzyjaciel był cztery razy silniejszy i posiadał 10 wobec 2 armat. Według Sułkowskiego straty polskie wynosiły 10 ludzi a Rosjan 300. Na temat bitwy pod Zelwą, generał rosyjski Kreczatnikow, pisał: „To jednak, co nastąpiło, można nazwać wszystkiem, tylko nie sukcesem. Sześciogodzinny bój o Zelwę, siedmiokrotne ataki przeważających batalionów rosyjskich, wspartych wydatnie artylerią a w końcowym wyniku wejście, po ośmiogodzinnym zaprzestaniu działań, do opuszczonego miasteczka, po poniesieniu dotkliwych strat, to dowód raczej niezdolności. Dodać tu muszę, że sam byłem zaskoczony postawą i sztuką dowodzenia żołnierzy polskich. Bili się doskonale. To nie konfederaci".

Pod Zelwą, w dniu 8 października 1914 r Legion Puławski, zwany także Legionem Polskim, formacja walcząca w składzie wojsk carskich stoczył ostatnią swoją bitwę, w której wykrwawiwszy się stopniał do 7 oficerów i 105 podoficerów i szeregowych. Resztę Puławczyków wycofano z frontu, kierując najpierw do Słucka a później do Bobrujska, na wypoczynek, gdzie stały się kadrą formowanej Brygady Strzelców Polskich. Pod Zelwą legion uderzył wzdłuż toru kolejowego na oddziały niemieckie, które się usadowiły w opuszczonych okopach rosyjskich, wyrzucił je stamtąd gwałtownym atakiem na bagnety i zepchnął do Zelwianki. Po zajęciu okopów legioniści zorganizowali obronę, co przyczyniło się do opanowania paniki wśród żołnierzy rosyjskich i ponowne ich skierowanie do walki.

Dzieje miasteczka toczą się dalej i uchodzą wraz z Zelwianką, o której Czesław Zabielski, dawny jej mieszkaniec pisał:

Szybko płynąca rzeko,
nurt twój szybko brodzi.
O rzeko Zelwiankojak niebieska wstęga.
Latem jesteś pokorna, latem
twapotęga.
Nawet najwyższe brzegi
topią się w powodzi.

Magazyn Polski nr 1/1998

nZancewic!z;e

Urodziłem się we wrześniu 1913 r. we wsi mojej babki, Zieniowcach, powiatu wołkowyskiego. Chrzcił mnie w starym, szydłowickim, dziś już nie istniejącym kościółku, ksiądz Kazimierz Stanionis, Litwin, ten sam, który tuż przed pierwszą wojną światową wzniósł w Szydłowicach okazały kościół murowany, a wieża tego ogromnego kościoła była widoczna z każdego zakątka parafii. Jeszcze nie zdążono w nowych murach odprawić nabożeństwa, a wojenna zawierucha wieżę kościoła zmiotła. Ksiądz był bliski obłędu. Gdy przyszli bolszewicy, uciekł do Bierdzik, zrzucił sutannę i buty, a przewiesiwszy przez ramię dziadowską torbę, pasał w zaroślach Jawje gospodarskie krowy. Szukano go i tutaj, aż zastano przy stole siorbiącego kwaśne mleko. Sytuację uratowała gospodyni. Zwymyślała księdza od ostatnich durniów i rzuciwszy opończę księdzu, warknęła:

- Trasca! Dawali ziawać! Ż e ń karowy!

Teraz już nikt nie miał wątpliwości, że jest to prawdziwy pastuch, zwłaszcza, że chodził boso, nóg nigdy nie mył, a zarostu nie golił. Chodzenie na bosaka po rosie dobrze zrobiło zbiegowi. Ozdrawiał i odzyskał równowagę psychiczną. Zmarł w 1924 r. i pochowany został przy szydłowickim kościele.

Zieniowce to malutka, o kilku chałupkach wioska, wtulona w pierścień wysokopiennych lasów. Cztery wątłe dróżynki łączyły ją ze światem i niezależnie, którą się wybrało, czy tę do Piatczyc, Sznipowa, Ozieranek, czy Dychnowicz, po stu czy dwustu metrach, ginęła w gąszczu lasów, dyszących w zależności od pory roku, aromatem brzozowego soku, poziomek, lub grzybów.

Dom mego matczynego dziadka Bronisława Roszczewskiego, kryty jak wszystkie domy na wsi słomą, był jednak obszerny i wygodny, stał jako trzeci od

strony Piatczyc. W pierwszym, stojącym nieco na uboczu, mieszkał wąsaty leśnik Huzar. W 1801 r. stała tutaj karczma, niewielka, ale dostatecznie duża, aby rozpoić miejscowe chłopstwo, a właścicielowi przynieść przyzwoity dochód. „Karczma z drzewa kostowego - czytamy w starym inwentarzu - słomą kryta. Wchodząc do sieni, drzwi na biegunach z klamka do izby, okien dużych dwa, trzecie małe, piec piekarniczy z gliny ubity, do komory drzwi także na biegunach, w której okienko małe".

Okno kuchenne domu naszego dziadka otwierało widok na pole uprawne z dwoma niewielkimi kurhanami, zniszczonymi już bardzo, a o swoim istnieniu dawały czasami znać wyorywanymi kośćmi, czy też kamieniami. Po drugiej stronie ulicy, za stodołami, królowała odwieczna, stara grusza, wyjątkowo stary i okazały zabytek przyrody. Miała w obwodzie ponad trzy metry, a żadne pokolenie nie mogło zaświadczyć czasu jej urodzenia. Wszyscy dziadowie, uporczywe pytania wnuków zbywali krótkim stwierdzeniem:

- Za moich czasów była taka sama. Gruszę tę w 1939 r. spiłował kuzyn, Ignal Roszczewski, w obawie, aby zwalając się ze starości nie zburzyła stodoły. Za gruszą zalegały łąki, a dalej w olszynach leniwie sączyła się rzeka Olszanka. Tuż za nią, na wzniesieniu, rozłożyły się zabudowania folwarku Jelskich, Hermanowszczyzny.

W 1801 r. Zieniowce były zamieszkałe przez cztery chłopskie rody: Cimoszków, Szczypieków, Reprejów i Jaromików. Roszczewscy zamieszkali tu w połowie XIX w., ale to już saga.

Roszczewscy, według udostępnionych mi dokumentów, siedzieli w sąsiadującej z Zieniowicami Zubowszczyźnie już w XVII w., kiedy to „pan Stefan Roszczewski z imienia zastawnego Zubowszczyzny płacił podatek za dym jeden". W rodzinie tegoż Roszczewskiego rozegrała się tragedia. Według wypisów z ksiąg grodzkich wołkowyskich za rok 1685, wypadek miał przebieg następujący:

„ Leta od narożenija Bożeho - czytamy dokument pisany zgodnie z obyczajem, w Wielkim Księstwie Litewskim, w języku białoruskim - tysiacza sześćsot wosiemdziesiat piatoho, miesiąca najabra siemoho dnia ... - a dalej już w streszczeniu pisze po polsku. Akt oskarżenia zarzuca, że winni, będąc w zmowie, w noc z dnia 15 na 16 sierpnia 1685 r., dopilnowawszy, aż Jan Roszczewski spokojnie w domu zasnął w majętności nazwanej Zubowszczyzna, śpiącemu pętlę na szyję zarzuciwszy, po izbie włóczyli i obuchem dobili, następnie przy współudziale małżonki zamordowanego ciało na wóz włożyli i nocą na pole na pożarcie zwierzom wywieźli, gdzie go nazajutrz Krzysztof Kozioł, idąc na robotę znalazł. Winnego Szymanowicza osadzili w areszcie na zamku wołkowyskim, ale uciekł. Sąd skazał go „na okrutnuje śmierć i tarhanie kleszczmi, włóczenie po moście ićwiartowanie".

Mamy wiadomość, że w połowie XIX w. mieszkał w Zubowszczyźnie i na dworze Dąbrowskiej był kucharzem w Sznipowie, Aleksander Roszczewski. W tym samym Sznipowie, przy trakcie Wołkowysk-Brzostowica, stała karczma. Przejezdnym gościom usługiwała tam niejaka Antosia Krukowska. Pradziad mój, Aleksander, z nią się ożenił.

Krukowscy mieli kiedyś majątek pod Grodnem, zwany Gibulicze. Ojciec

Krukowskiej nie tylko Gibulicze przegrał w karty, ale i siebie wraz z rodziną sprzedał w poddaństwo, odstawiony został do Dziewiatkowców i tam przepisany na prawosławie. Antosia jednak ocalała, gdyż w tym czasie pracowała w cukierni w Grodnie. Została przez Dąbrowskich sprowadzona do Sznipowa. Dąbrowska „ofiarowała" nowemu małżeństwu pozostałą w Zieniowcach pustkę (ziemię) po zbiegłych Cimoszkach. Stali się Cimoszkami.

Roszczewscy, co nie ulega wątpliwości byli rodziną szlachecką. Bracia pradziadka z Mostów swoje szlachectwo udowodnili, ale oślepły na starość pradziadek Aleksander, udowodnić tego nie mógł, czy też nie chciał. Pozostał na roli, chodził po omacku do odległej o 2 km karczmy w Piatczycach. Żył 105 lat.

Prababka Antosia była podobno bardzo ładna, pobożna i anielskiej dobroci. Dziadek mój Bronisław, gospodarował początkowo w Zieniowcach i dorywczo zajmował się rymarstwem, ale potem przeniósł sie do Kwasówki, gdzie długie lata pracował jako ekonom u Oznabiszyna. Była to ta sama Kwasówka, o której Orzeszkowa pisała w noweli *Śmierć domu.*

„Kwasówka od wieków należała do Buchowieckich, a teraz należy do Oznabiszyna. Nim sprzedali majątek, zlicytowali wszyściutko, co było na dworze, który przez kilka miesięcy stał kompletną pustką. Uderzyło to w moja wyobraźnię tym bardziej, że miejsce to było mi znane od dzieciństwa. O mało nie byłam nawet jego stałą mieszkanką, bo młody dziedzic Kwasówki, pan Henryk Buchowski, starał się o mnie i tylko moja matka nie zgodziła się na to".

Dziadek Bronisław zarządzał tym majątkiem w latach 1892-1906, kiedy to dziadka z tej funkcji zwolniono za to, że nie dopilnował i „rewolucjoniści" w 1905 r. spalili zabudowania w Kwasówce. tegoż roku Sznipów został sprzedany przez Dąbrowskich hr. Potockiemu, więc dziadek objął zarząd tego majątku i tu mieszkał do I wojny światowej, a rodzina pozostawała w sąsiednich Zieniowcach.

Pewnego dnia, gdy Bronka Roszczewska (to jest moja mama) szatkowała kapustę, zjawili się swaty. Przystojny, trzydziestoletni praporszczyk, pobrzękujący szabelką i ostrogami, Piotr Karpyza (to jest mój ojciec) oświadczył się i został przyjęty. Pochodził z pobliskich Zancewicz, ale mieszkał w Grodnie. Nie wiem, co się narzeczonemu przytrafiło, ale po dwóch oświadczynach przepadł i pojawił się po roku. Bronka była wściekła. Sprawę jednak załatwiono i ślub odbył się w szydłowskim kościele, a wesele w Zieniowcach w 1912 r.

Moje pierwsze wspomnienia w Zieniowcach wiążą się z lasem. Mała polanka leśna. Plączę się, zagubiony w trawach, pierwszy raz chyba w życiu oglądanych, badylach. Na tle ciemnej ściany lasu przesuwają się bliskie postacie kobiece. Kto to mógł być? Zapewne mamusia, ciotki, Janinka, Maryńcia...

Nie przypominam jednak, opowiadanej przez matkę sceny zaatakowania mnie przez krowę. Podobno posadzono mnie pod świronkiem, przestrzeń jednak między świronkiem, a rogami krowy, okazała się zbyt obszerna, aby życie dziecka zostało zdławione.

Moje pierwsze spotkanie z książką nastąpiło w Zieniowcach i nie należało do przyjemnych. Niepoślednią rolę w tym spotkaniu odegrała książka z historii carów. To grube tomisko leżało na wysokiej etażerce, ale mi je czasem demonstrowano, trzymając oczywiście, w przyzwoitej ode mnie odległości, wskazując ryciny i krótko objaśniając.

- To car Piotr, a to Wielikaja Katieryna.

- Ilika Liceryna! wykrzykiwałem więc na widok carycy i dołki na policzkach mamusi się pogłębiały, w uznaniu mojej wielkiej mądrości.

Pewnego jednak razu do podręcznika z carami dorwałem się samodzielnie. Odnalazłszy carycę i wykrzyknąwszy „Ilika Liceryna", w zapale twórczym zrobiłem kilka ołówkowych zygzaków na jej obliczu, a następnie kartę wydarłem. Podobny los spotkał i innych dostojników. Wujek Janio, który nabijał gilzy do papierosów przy sąsiednim stoliku, uśmiechnął się zachęcająco, ale wujek należał do tych, którzy często nucili *Czerwony sztandar.* Nadbiegła matka i otrzymałem solidnego klapsa. Konsternacja!

Wieczorem tegoż dnia, gdy zasypiałem w wiklinowej kołysce, od stodoły, gdzie składano siano, niosła się zgodna, chóralna pieśń mojej rodziny: *Nasz sztandar ptynie ponad trony,* co oznaczało, że wujek z matką uzgodnili poglądy polityczne, a także poglądy na wychowanie dzieci.

Wybuch wojny światowej rozwiał sielankę. Ojciec z pułkiem kobryńskim odszedł na front galicyjski. Szybko awansował do stopnia kapitana i jak nam mówił, był trzy razy ranny: raz w palec, raz w obojczyk i raz w głowę. Po ranie w głowie pozostała ojcu głęboka szrama. Mieszkanie w Grodnie zlikwidowaliśmy, sprowadzając meble, znaczną bibliotekę, grającą szafę i akordeon do Zieniowców. Matka ze mną wybrała się .do Kijowa, aby być bliżej męża leżącego w szpitalu, ale wskutek bałaganu i przeładowania wagonów, tam nie dotarła.

Wróciliśmy więc do Zieniowców.

Ojciec pisywał, wojna szła, plany nasze się zmieniały. Wkraczałem w okres życia, który już nieco pamiętam, wkraczałem w okres dzieciństwa.

Głos znad Niemna 24 - 30 kwietnia 1995 r.